



14709

El. Orzeszkowa

60205

ROMANS GAŃSKI

wp.

W podanie wiei gę
kiej Tej, która wie snu
aradzi siostę po piórze
autoke
Teresa Wodowska

T. Prażmowska



ROMANS GAŃSKI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WARSZAWA

NAKŁAD I Druk SYNÓW ST. NIEMIRY

Plac Warecki 4

1904

Дозволено Цензурою
Варшава, 7 Ноября 1903 года.



KOMPUTER

886-3

821.1621-311.2

I

— Chodźmy już, Jagienko.

Nie odpowiadając, niżej pochyliła tylko głowę, głębiej twarz w rękach ukryła, a szczupłutka jej kibić, zgrabnym i wytwornym obciśnięta żakietem, zgięła się tym ruchem miłosnego ukorzenia, z jakim szczęśliwcy wierzący na twarz padają przed ołtarzem.

Nie podnosiła się jednak z kolan, tak cała w modlitwie bez słów zatopiona, że wątpić nawet można było, czy półszeptem wyrzeczone słowa matki doszły do jej uszu, zaledwie widnych z pod naczęsanych na nie włosów, jak len jasnych, bardzo puszystych i obfitych.

Ale pani Jaworzyńska nie należała do tych, które pozwalają, aby głos ich przechodził mimo uszu, nie słuchany.

— Jagienko — powtórzyła z naciśkiem, dotykając ramienia córki — musimy iść. Czas na śniadanie, a wiesz, że ojciec nie znosi nieakuratności.

Jagienka powstała z kolan i spojrzała na matkę wzrokiem osoby, która tak długo przebywała myślą w sferze innej, że nagle do rzeczywistości strącona, nie może sobie odrazu zdać sprawy z jej wymagań.

Nie rzekła nic, ale machinalnym ruchem zgarnawszy fałdy sukienki, niezbyt jasnej i niby skromnej, lecz jedwabnemi podszewkami szeleszczącej, przyklekła po raz ostatni przed ołtarzem i poszła za matką wyprostowana, wysmukła, gibka, z twarzą, w obramowaniu lnianych włosów, delikatnie zaróżowioną.

Powolnym, jakby ociągającym się krokiem przesuwiała się przez kościół, opustoszały już prawie. Gdzieś tam tylko widać było w ławce postać jakąś,

kornie w modlitwie pochyloną, bijącą się w piersi ze skrucą. Lecz za to pod sklepieniem starej gotyckiej katedry zdawały się drgać jeszcze tony hymnów kościelnych, echa westchnień, prośb i jęków, zanoszonych tutaj do Przedwiecznego...

Górą płynęły dymy kadzideł, w głębi jarzył się światłem ołtarz wielki, w półmroku kaplic błyskały złocenia lub blade lampek ogniki, krzyżowały się tęcze smugi światła, przez witraże przepuszczonego; przez drzwi główne, na oścież otwarte, buchała ogromnym słupem jasność dzienna.

Szła ku niej Jagienka, nie przed sobą nie widząc, z myślą jeszcze w zapamiętaniu się modlitwennym unieruchomiona; oczy jej, szczerze niebieskie, do kwiecia lnu świeżo rozkwitłego podobne, mgliły się ekstazą dusznego upojenia...

Pani Jaworzyńska, prędzej od córki przebywszy kościół, czekała na nią w kruchcie i żegnając się wodą święconą, zagadnęła pośpiesznie:

— A nie zapomniałaś też powiedzieć kucharce, że ojciec nie znosi kopru w białym sosie, ani w kaszce na sypko? I że kaszka powinna być zupełnie sypką? Każda krupka osobno... Pierwszy raz przyrządzać ją będzie Maryanna... Jagienko! Nie odpowiadasz?

— Nie... Nie wiem, mamu... — jakby przez sen odparła Jagienka.

— Nie wiesz? O czym ty myślisz, Jagienko? Czy podobna być do tego stopnia roztargnioną? Powiedziałaś, czy nie?

— Przepraszam, mamuniu. Zapomniałam...

— Zawsze to samo! Nikim się wyrećzyć nie można, a tobą mniej, niż kimkolwiek. Zapomniałaś! Maryanna robi sos tak, jak go podają wszędzie i ojciec śniadania do ust nie weźmie... Dlaczego zapomniałaś?

— Śpieszyłam się do kościoła — tłómaczyła się Jagienka zmieszana i poczuciem własnej winy zgnębiona.

— Posłuszeństwo rozkazom matki jest najmiłszą Bogu modlitwą.

Temu ani myślała przeczyć Jagienka, przejęta do głębi sumienia poszanowaniem dla obowiązku, choćby postać jego do mikroskopijnych spadła rozmiarów. Milczała więc czas jakiś skruszona, a potem gdy obie były już niedaleko domu, jednym tchem z pokorą wielką wyrecytowała:

— Przepraszam, mamusiu... Już tego więcej nie zrobię, poprawię się, z pewnością poprawię, moja mamusiu droga...

A mówiąc to, miała minkę tak nieśczęśliwie pokutniczą, że pani Jaworzyńska rozbrojona, uśmiechnęła się po błazliwie.

— Oj ty, ty, gaseczko moja! Taka duża wyrosła, a takie jeszcze z niej dziecko!

A Jagienka, słysząc to, poweselała w mgnieniu oka, uśmiech dziecięcej radości rozchylił bladawe, ładnie zarysowane jej usta i wyprzedzając matkę o parę kroków, ze zwróconą ku niej profilem drobną, białą twarzyczką, szczeniotać poczęła, jak ptaszek w chłodny poranek promieniem słońca nagle muśnięty.

— No, kiedy mnie mama gąseczką nazwała, to już nie boję się niczego. I zobaczy mamusia, że wszystko będzie dobrze!

— Co mianowicie? — spytała matka, ubawiona widokiem zmiany tak nagle w Jagience zaszłej.

— A sos! Pokaże się, że go Maryanna zrobi bez kopru. I kaszkę także... Zobaczy mamusia!...

— Oby! Oby! — nie bez powątpiewania westchnęła matka.

Zrównały się już z domem i skręciły w bramkę żelaznych sztachet, oddzielających od ulicy obszerny, ładnie urządzony dziedziniec, z trawnikiem pośrodku, arabeską różnobarwną obrzeżonym, z zakrzewieniami po rogach, z chodnikiem do ganku doprowadzonym.

Wewnątrz domu, od progu już sieni, kolorowemi oknami oświeconej, rzuciła się w oczy zamożność, połączona ze smakiem wyrobionym i z wielką o wygodę dbałością.

Świadczyły o tem barwy kobierca, zaścielającego schody, które wiodły na pierwsze piętro domu, do mieszkania właściciela wyłącznie; świadczyły kształty wazonów z roślinami ozdobnemi, oraz kanapek i stoliczków, poustawianych na załomie półpiętra lub we wgłębieniu ścian klatki schodowej; świadczyło urządzenie przedpokoju, który był naprawdę pokojem wchodowym nie zaś wązkim i ciemnym przesmykiem. Przez drzwi, gościnnie na wszystkie strony się otwierające, widać było cały szereg pokoi dalszych, tworzących powabną dla oka perspektywę barw, światła i linii, zharmonizowanych tak umiejętnie, że wzrok, nie zdążywszy jeszcze rozpoznać szczegółów, już się lubował wrażeniem zadowolenia estetycznego.

— Ach, jak tu ślicznie! — mawiali lub myśleli ci nawet, którzy posiadali więcej pięknych sprzętów i kosztowniej urządzone salony.

— Jak tu dobrze! — mawiali lub czuli goście i domownicy.

Istotnie — ślicznie było i dobrze. Były tu w oczy nie tylko dostatek i wytworność; pachniało tu zgodą i miłością rodzinną, zarówno jak i wielkiem przywiązaniem do domu — widomego znaku prac, zabiegów, starań podejmowanych w celu zwiększenia sumy szczęścia całej przebywającej tu rodziny.

A rodzina była to liczna, z trzech aż pokoleń złożona.

Pan Jaworzyński, dziś 70-letni już przeszło, wielką cieszący się wziętością adwokat, ożenił się był po raz pierwszy w młodym bardzo wieku i z małżeństwa tego miał córkę, od lat kilku już owdowiałą. Pani Konstancja Ubyszowa, panią Kocią zwana przez znajomych, owdowiawszy, zamieszkała z dwojgiem dzieci przy ojcu i niezmiernie zaprzyjaźniona z macochą, o parę lat za ledwie od niej starszą, chociaż miała być niezależny, apartamencik własny i własne kółko znajomych, zajmowała jednak w domu stanowisko starszej córki, uprzywilejowane, lecz od emancypacji zupełnej dalekie.

Przy boku też ojca i pod jego kierunkiem rozpoczynał zawód adwokacki, młodszy od pani Koci, Gustaw, który z czasem przejąć miał całą klientelę ojcowską, a tymczasem narzekał na przyklus życia rodzinnego, gorącym pomimo to będąc zwolennikiem wygod i korzyści, które mu „siedzenie na kupie“ przynosiło.

Epikurejczyk z temperamentu i z zasady, pociąg miał do hulanek nieprzezwyciężony i folgował mu, ilekroć zdarzyła się sposobność po temu. Jeżeli się powstrzymywał, czynił to tylko przez wzgląd na ojca, którego bał się i szanował zarazem, przez wzgląd także na macochę, która słabość mając do „urwisa“, wstawiała się zawsze za nim do ojca, chociaż zawsze się odgrażała, że czyni to poraz ostatni.

Drugiego takiego „urwisa“ miała we własnym bracie, także Gustawie, specjaliście nie tyle od medycyny, którą przed rokiem za ledwie ukończył, ile od wodzirejstwa na balach i od zawracania swoją urodą głów panińskich, a jeśli się trafiała sposobność, to i mężatkowskich.

„Gutkowie“, jak ich zwano w mieście i w okolicy całej, w wielkiej byli z sobą przyjaźni i razem z panią Kocią stanowili w rodzinie opozycję — niegłosną zresztą i nader oględnie ujawnianą — przeciwko władzy, uosobionej w panu domu i ojcu rodziny.

Sprawowanie bowiem władzy i mocne trzymanie w ręku steru nawy rodzinnej, uważał pan Jaworzyński nie za przywilej swój, lecz za najświętszy z obowiązków. Łagodny i dobry, lecz do fanatyzmu religijny, z fanatyczną też gorliwością przestrzegał wypełniania dosłownego wszystkich nakazów i przepisów wiary, nie gatunkując ich na pierwsze i drugorzędne, lecz wszystkim jednakową przypisując ważność.

Podobna dogmatyczność, z konsekwencją nieubłaganą w życie wprowadzana, wyrażała się w postępowaniu surowością, ściągała nawet na pana Jaworzyńskiego zarzut despotyzmu.

Za despote miały go też dzieci i za despote uważała go żona, dla której

zresztą bożyszczem był i wyrocznią. Wziął ją z domu rodziców młodziutką, najmniej z dzieci kochaną, nieposażną, przywiązał ją do siebie okazywaną jej miłością, otoczył ją dostatkiem, nie wzbraniał zabaw i przyjemności, ale starszym od niej będąc o lat dwadzieścia pięć, potrafił w nią wpoić wiarę niezachwianą w nieomyślność swego zdania, poszanowanie dla swego rozumu i ślepe, bezkrytyczne dla swej woli posłuszeństwo. Jak zręczny kuglarz, zeskałmotał jej indywidualność i zanim się opatrzeć zdołała, uczynił ją echem swoim i odbiciem.

I taką już pozostała. Rozwinęła się umysłem, rozkwitła spóźnioną urodą pewnego typu brunetek, nabrała tej dystygowanej pewności siebie, jaką daje obracanie się w dobrem towarzystwie oraz przeświadczenie o pewności zajmowanego w towarzystwie stanowiska, ale osiłą jej życia i regulatorem czynności był tylko mąż.

We wszystkim, co z natury rzeczy usuwało się z pod jego kompetencji, samo-

dzielna i energiczna, obrotna i radzić sobie umiejąca, wzorową była gospodynią i panią domu. Z męża w tem biorąc przykład, a poczęści i za pobudką własnego idąc charakteru, od dzieci i od służby wymagała posłuszeństwa bezwarunkowego, nie dla siebie wszakże, lecz zawsze w imię „Pana“ lub „Ojca“.

Wyrazy te rosły w jej ustach i tak szczerze majestatem swoim jej samej imponowały, że stawały się imponującemi i dla innych, nabierały znaczenia argumentu niczem nie zwalzonego, „ultima ratio“ życiowej.

I dlatego bywały chwile, w których „koper w sosie“ następował zaraz po nabożeństwie i stawał się dla pani Jaworzyńskiej prawdziwą kwestyą stanu.

II

Przy śniadaniu, którego, jak się pokazało, nie zepsuła Maryanna dorzuceniem kopru do sosu, zeszła się cała rodzina.

Obok pani domu, poważnej i imponującej, lecz wzrokiem odgadującej każde życzenie męża, zasiadła strojna, pulchna i wesoła pani Kocia, z poufałością przyjaciółki „ty“ do macochy mówiąca.

Drobne, wypieszczone jej ręce gestykulowały żywo i ciągle, rumiane, pełne usta nie próżnowały ani chwili, na przemian to rozmową, to jedzeniem zajęte, obie te czynności z jednakowem spełniając zamiłowaniem.

Bezpośrednio z panią Kocią sąsiadowali Gutkowie, stale kłócąc się od lat niepamiętnych o to, na którego z nich przypada dzisiaj kolej siedzenia tuż przy niej i przekomarzania się z nią, że na półmisku, z którego wzięła, nie już dla „profesyi wyzwolonych“ nie zostało.

Pan Jaworzyński zajmował miejsce naprzeciwko żony, szerokością stołu od niej oddzielony. Prosto się trzymający, szczupły, siwy, niegdyś zapewne tak jasnowłosy, jak dziś nią była Jagienka, lubił ją mieć przy stole obok siebie i nie ukrywał tego wcale, że w niej ma ukochanie swoje najdroższe.

Pieszczochą też była domu całego i chociaż „Gąską“ ją zwano w rodzinie, nie było w tem nic ubliżającego. Owszem, z intonacją wyraźnie pieszczotliwą wołano na dziewczkę tem przezwiskiem, nadanem jej przez panią Kocię, zapaloną (w tajemnicy przed ojcem) czytelnickę romansów francuskich.

Bo już, jeżeli kto, to Jagienka w niczem nie była podobną do „pół-dziewicy“

i miano „Gąski“ uważać można było za rodzaj patentu, wystawionego jej na dzieństwo wyobraźni, na naiwność zupełnie szczerą, a tak wielką, że zdawała się nieraz graniczyć — z głupotą.

Dziesięciu lat nie miała jeszcze, gdy matka dotknięta długotrwałą chorobą, oddała ją na pensję, a właściwie na opiekę krewnej—zakonnicy, przebywającej w klasztorze, położonym u stóp Beskidów.

Łagodne i cichego usposobienia dziewczątko wzrastało przez lat siedm pod okiem Maryi-Annuncjaty, kobiety światowej niegdyś i rozumnej, lecz długim pobytem w klasztorze oderwanej od życia i uważającej zbawienie duszy za jedyną sprawę godną zabiegów chrześcijanina, a „świat“ za miejsce, w którym sprawa ta mimowolnie, lecz niechybnie przegraną być musi. Łagodnie więc i z miłością lecz z całą powagą wieku swego, położenia, oraz przez praktykę życia ustalonych już przekonań, wpajała w Jagienkę pogardliwą dla „świata“ obojętności wpoila

ją tem łatwiej, że dziewczynka miękka była z natury i do milczących zadumań skłonna.

Nie znosiła blasku, wrzawy i wesołości głośnej, łatwo się więc nauczyła uważać je za wykroczenie, za zdrożność, wytrącając duszę ze stanu błęgiego skupienia, w którym dusza chrześcijańska pozostać zawsze powinna, jeżeli nie chce stać się głuchą na wezwanie Oblubieńca niebieskiego.

Na tle takiej pobożności mistycznej nadziemskimi wzlotami wysubtelnionej, wszystkie uczucia Jagienki nabrały zabarwienia specjalnego.

Silniej od innych dzieci w jej wieku odczuwając piękno przyrody, nie piękność stworzenia podziwiała, lecz objawioną w niem wszechmoc Stwórcy. Pochopna do czynów miłosiernych, a do roztrząsania sumienia przywykła, niepokoiła się pytaniem, co w niej przeważa: czy wrodzone dla nędzy i cierpienia współczucie, czy posłuszeństwo nakazowi miłosierdzia. Obowiązek czuwania nad każdym słowem

uczynił ją małomówną i w wyrażeniach powściągliwą; przestrzeganie czystości myśli przyzwyczaiło umysł, z natury już niezbyt śmiały, do unikania myślenia samodzielnego, które grzechem stać się mogło.

A kształtowi istoty moralnej odpowiadała i zewnętrzność. Chód był spokojny, wzrok nieśmiały, głos przyciszony, ruchy na wodzy trzymane; zdawało się, że na całą jej, pół-dziecinną jeszcze osobę, coś, od młodości silniejszego, wkładało tłumik i hamulec.

To coś nie było jednak bez wdzięku. Nadawało Jagience cechę zupełnie osobistą, wyróżniało ją w gronie rówieśnic, podnosiło nad poziom przeciętnego podlotka.

Ani sroką nie była, ani dzierlatką, ani dudkiem: zwać ją gołębicą było za uroczyście, gołąbką — zbyt sentymentalnie, najlepiej też może pasowało do niej przezwisko „Gąski“, które i tę przytem miało zaletę, że było zupełnem *à propos*. Z rozmów bowiem prowadzonych przez

starsze rodzeństwo oraz Gutka-wuja doleciał jej uszu wyraz „pół-dziewice“ i widocznie zastanowić ją musiał.

„Co to jest pół-dziewica?“ spytała raz Gutka-brata, którego najwięcej z całego rodzeństwa kochała.

A gdy Gutek, własnym jego mówiąc językiem, „zbaraniał odrobinę“ i nie wiedział jak jej na to odpowiedzieć, ona odpowiedziała sama sobie: „Ach, to pewno takie, co już przestały być dziećmi, a jeszcze nie są pannami dorosłymi? Takie, jak ja... prawda Gutku?“

A na to pani Kocia, z uśmiechem patrząca na zakłopotanie brata, rzekła ze stanowczością wielką: „Nie, Jagienko, takie jak ty, nazywają się jeszcze gąskami. I w rodzinie pożądanymi są od półdziewic.“

Pomimo łagodności swojej obraziła by się może była Jagienka, ale pani Kocia, mówiąc to, przyciągnęła do siebie młodszą siostrę i ucałowała ją tak serdecznie, że Jagienka odczuła wszystko,

co było w tych słowach niedopowiedzianego i odpłaciła pani Koci uściskiem.

W tem powiedzeniu młodej kobiety kryło się może trochę mimowolnego żalu, że własna jej córka, szesnastoletnia już Jaśka w żaden sposób nie może być gąską nazwana.

Śliczny to był podłotek, rozchichotany i figlarny, jak rozpieszczone kociątko wszystkim się w domu przymiłający, ale zanadto sprytny, zanadto żywy i ciekawy, a jak mucha wszędobylski i wścibski! Pani Kocia chełpiła się urodą córki, cieszyła się jej szczęściem do ludzi, ale zamiast ją wychowywać, pozwalała jej rosnąć przy sobie swobodnie i bujnie, zastępując dyscyplinę moralną troskliwym baczeniem na pleć, figurę, ruchy, na salonowość układu i na umiejętność znalezienia się w towarzystwie.

Dzieckiem jeszcze była Jaśka, gdy po skończeniu lekcji wołała iść do saloniku matki, niż bawić się z rówieśnikami. Nad własny pokój, pełen zabawek, przenosiła zawsze rozmowę gości, których

wesołe grono codziennie otaczało panią Kocię w godzinach popołudniowych. Przyśluchiwała się rozmowom, śmiała z żarcików, uśmiechała się domyślnie z nie-domówień, umiała wtrącić przy sposobności słówko dowcipne lub odezwać się z uwagą, dowodzącą, że nic z tego, co koło niej mówiono, baczności jej nie uchodzi.

Matkę bawiło to niezmiernie, a Gutkowie przepadali poprostu za Jaśką i nadskakiwali jej, jak dorosłej pannie. Gutek Rajski flirtował nawet z nią nie na żarty, co widząc, Gutek Jaworzyński zupełnie słuszną czynił nieraz uwagę, że Jaśce nie zaszkodziłby pobyt w owym klasztorze, w którym wychowywała się Jagienka.

Pani Kocia wzruszała na to ramionami i czyniła białemi rączkami giest, oznaczający zupełne i wesołe lekceważenie korzyści, jakie z wychowania klasztornego spłynąć mogły na Jaśkę, a Jaśka groziła wujowi paluszkami różowym i jak pieścidełko utoczonym i zapewniała go ze śmiechem, że już dla niej zapóźno na poprawę.

— I zresztą zawsze było zapóźno—dodawała—bo ja się już urodziłam taka wesoła.

— Wesoła? Ty jesteś rozpuszczona! — przekomarzał się wuj.

— A wujaszek nie? — odcinał się nieposkromiony podłotek—wujaszek myśli, że ja nie wiem o wczorajszej „*partie fine*?” To dziadzio nie wie o niczem... Ale ja! Oho!

W istocie „dziadzio” nie o wszystkim wiedział w domu, a już co najmniej to o tem, w jaki sposób wychowywaną była Jaśka. Zbyt zajęty, aby miał czas osobiście wglądać we wszystko, dawał tylko ogólne wskazówki postępowania i pewien był, że każdy z członków rodziny jest im ślepo posłuszny. Do głowy mu nawet nie przyszło, że córka jego może mieć poglądy odmienne od tych, które on uważał za jedynie właściwe i oburzyłby się, gdyby mu powiedziano, że te rączki, tak chętnie gestykulujące, dopuszczają się gestu lekceważenia względem tego, co on poważnem nazywał i czcigodnem.

Jaśka też w obecności dziadka, którego zresztą przy śniadaniu tylko widywała i przy obiedzie, przybierała minkę najpotulniejszego z niewiniątek i języczek trzymała na wodzy, cała na pozór oddana czuwaniu nad „czwórką“.

Składali ją czterej chłopcy, z których najstarszym był dziesięcioletni Ignaś, nadzieja rodu Ubyszów, a najmłodszym sześciolatek Jaś Jaworzyński. Dwaj starsi jego braciszczowie, ośmioletni Jędrus i Tomek, bliźniętami byli i ich to przyjście na świat, przyprowadziwszy matkę o długą i ciężką chorobę, stało się powodem oddania Jagienki na pensję, skąd przed rokiem niespełna wróciła.

W tem liczmem kole rodzinnem panowała miłość i zgoda, lecz gdy się pod okiem ojca zebrało, czuć się w niem dawał przymus i skrepowanie. Powaga i dogmatyczność Jaworzyńskiego mroziły wesołość pani Koci i Gutków, nie zawsze czyste mających sumienie, imponowały żonie, trzymały w karbach Jaśkę, napępniały pobożnym lękiem serduszka „czwórki“.

Jedna tylko Jagienka, kryształowa i cicha, nie przestawała być sobą w obecności ojca. Kochała go więcej niż matkę i uwielbiała jak doskonałość wcieloną, a za każdą pieszczotę, którą otrzymała od ojca, gotowa była paść mu do nóg z wdzięcznością.

I ojciec też głaskał najczęściej jasną jej główkę, z największą tulił do piersi tkliwością tę białą dziewczynkę swoją, której pobożność i uległość wzruszały mu serce dziwną słodyczą.

Przy stole panowało z początku milczenie, przerywane tylko banalnemi uwagami o smakowitości potraw lub ich przyrządzeniu. Lubiono tu jeść dobrze i dużo, ściśle zresztą przestrzegając wszystkich postów pod względem jakości.

Dopiero gdy podano owoce, a po nich czarną kawę, pan domu przeglądając zaczął dzienniki przy jego nakryciu leżące i po niejakej chwili rzekł, zwracając się do żony.

— Wiesz, Józiu, dowiaduję się z „Odgłosu“, że w przyszłym tygodniu będzie

miał odczyt w Warszawie Gruszczyński. Twój kolega z uniwersytetu, Gustawie?

— Tak, ojcie.

— Znam go z artykułów, zamieszczanych w „Rozwoju Etycznym“. To bardzo zdolny i dobrze myślący młody człowiek i niepoślednia siła literacka. Wartoby pojechać i posłuchać?

— Zapewne — odparła żona — rozrywek umysłowych nie mamy tu wiele. Pojedziesz?

— Pojadę. I ty ze mną, nieprawdaż?

— Jak najchętniej — pośpieszyła z odpowiedzią pani Jaworzyńska, zdążywszy już skombinować, że w przyszłym tygodniu przypada właśnie pora wyprzedaży dorocznych po wielkich magazynach warszawskich.

— Zabiorę i jedną z córeczek. Która z was pojedzie?

— Ja, ojcie, nie mogę — z rezygnacją odezwała się pani Kocia — nie mam komu powierzyć Jaśki na lekcye tańca, a przerywać ich nie chcę.

— Bardzo słusznie — potwierdził ojciec, z którego „spóźnionej naiwności“ śmiała się nieraz pani Kocia w poufnych rozmowach z Gutkami, — należy zawsze kończyć to, co się zaczęło.

Pani Kocia miała przedewszystkiem do skończenia sprowadzony niedawno transport romansów francuskich, a także i flircik, rozpoczęty z pięknym i elegancym kolegą brata, który przychodził zabierać z lekcji tańca siostrzyczkę i zapewne tęsknotą braterską wiedziony, zjawiła się natychmiast po rozpoczęciu lekcji, mającej trwać dwie godziny.

Obliczyła też sobie, że nie jadąc teraz, wyrwie się do Warszawy na wiosnę i zamiast słuchać nudnego odczytu, przyglądać się pojeździe wyścigom, grać będzie w totalizatora, jednym słowem, użyje karnawału letniego.

Otrzymawszy teraz pochwałę z ust ojca, zerknęła Kocia w stronę Gutków, ci uśmiechnęli się dyskretnie pod wąsem, a pan Jaworzyński nic tego nie widząc, rad, że mu się zdarzyła sposobność po-

dania córce obroku duchowego, znowu zwrócił się do żony ze słowami.

— To może zabierzemy Jagienkę? Jak myślisz?

A Jagienka, nie czekając na to, co matka o zamiarze ojca myśleć może, poróżnowiała aż po sam brzeg włosów, gładziutko na czole przyczesanych i z ojca na matkę przenosić zaczęła błagalne, nadzieją radosną rozpromienione oczęta.

— I czego się to głupiątko cieszy? Gąska prawdziwa! — pomyślała Jaśka, która swoją niby ciocię kochając serdecznie, uważała ją jednak za istotę, znacznie mniej od niej, Jaśki, dojrzałą.

— Niech jedzie — zdecydowała matka — pozna trochę Warszawę, przedstawi ją znajomym.

— Jako dorosłą pannę — dokończył wesoło ojciec, co słysząc, Jaśka rzuciła na dziadka wymowne spojrzenie.

Matka dała jej oczyma znak, aby była ostrożną, bo dziadek ku niej właśnie zwrócony zapytał:

— A ty, Jaśko, chciałabyś pojechać także?

— O, chciałabym, dziaduniu! Ale nie na odczyt... — wyrwało się Jaśce.

— Dlaczegoż nie na odczyt? Bardzo będzie pouczający i piękny i odniosłabyś z niego wielką korzyść. Nic nie znam pożyteczniejszego nad przyzwyczajanie myśli od młodu do zastanawiania się nad kwestyami poważnemi...

Jaśka szeroko roztwarzała piwne oczy, pełne iskerek i uśmieszków, aby nadać twarzy wyraz uważnego wsłuchiwania się w „piłowanie dziaduniowe“, a pan Jaworzyński tak ciągnął dalej rzecz swoją:

— I przekonany jestem, że taki Gruszczyński, pomimo młodości swojej już chlubnie znany, zawdzięcza wczesne wyrobienie sobie wziętości i wpływu tylko temu, że od lat młodzieńczych, zamiast oddawać się płochym rozrywkom — tu spojrzał znacząco na Gutków — nagiął umysł do wnikanania w głębie życia duchowego i społecznego, do roztrząsania jego zagadnień i formułowania jego postulatów.

— No, ja nie wiem, czy wyłącznie o tem myślał Gruszczyński—wtrącił Gutek, który wybornie pamiętał wspólne hulanki i wnikania w głębie życia... nie duchowego wcale.

Ale ojciec, nie zwracając uwagi na słowa syna:

— Przekonany też jestem, że będzie to jeden z ludzi najbardziej wpływowych — mówił dalej — że ujmie w rękę ster życia moralnego swojej epoki. Era odrodzenia religijno-etycznego, w którą wступujemy obecnie, liczyć go będzie do najwybitniejszych swoich działaczy!

— Zdaje mi się, że ojciec przecenia zdolności Gruszczyńskiego, a zwłaszcza wartość jego moralną—odezwał się Gutek. Nie jest to inteligencja twórcza...

— W dziedzinie etyki nic stwarzać nie potrzeba—przerwał mu ojciec żywo. Etyka chrześcijańska, a o innej mowy być tu nie może, stanowi całokształt skończony i ściśle zwarty w sobie. Nakazy jej nie tyle potrzebują objaśnień, ile wskazówek, ułatwiających wprowadzenie

ich w życie. Wprowadzenie dokładne i dosłowne.

— Najskuteczniejszą z wskazówek będzie chyba przykład życia, ściśle odpowiadającego nakazom owej etyki — zauważył Gutek.

— Niewątpliwie. A Gruszczyński prowadzi podobno życie wzorowe. Dowiadywałem się o to, bo interesuje mnie ten młody człowiek, tak mało podobny do ogółu młodzieży dzisiejszej. Gorliwie wypełnia obowiązki religijne...

— Odkąd został adwokatem konsystorza, a raczej odkąd zaczął czynić starania, aby nim zostać—przerwał Gutek.

— Nie wiem odkąd, wiem jednak, że je wypełnia—odrzekł ojciec z żywością. Mówili mi o tem bardzo czcigodni kapłani, zbudowani jego pobożnością. Przykładny jako syn, sumienny w sprawowaniu obowiązków zawodowych, oddany pracy i nauce.

— Tak: na stronie, na pokaz wystawionej, niema żadnej plamki.

— Sam Bóg widzi głęb sumień: ludzie sądzą po czynach. A nie zaprzeczysz chyba: że to „Bractwo wzajemnego umoralniania“, w którym pracuje tak gorliwie, ten wpływ, jaki przez to osiąga na zepsute pospólstwo wielkowiejskie, przynoszą pożytek niezaprzeczone i tak wielki, że pokrywa z lichwą krzywdę, wyrządzoną może jednostkom przez drobne, nikomu niewiadome wykroczenia. Wyrozumiałym na nie być trzeba.

— Przypomnę to kiedyś ojcu — żartował Gutek.

— Nie przypominaj zbyt często — w tym samym tonie odparł mu ojciec — bierz przykład z Jagienki; ta wyrozumiałości nie potrzebuje.

I pieszczotliwie pogłaskał ją po twarzy, a ona, ująwszy cienkimi paluszkami rękę ojcowską, z miłością przylgnęła do niej ustami.

— Ba! Nie każdemu dano być gąską. Prawda, Jaśko?

I zwrócił się z uśmiechem do siostrzenicy, która, nie namyślając się długo, odparła z udaną dobroduszością:

— Hm! Pewno, że nie... To zależy od wujaszków.

I słowa swoje akcentując figlarnym, wiele mówiącym uśmiechem, żywo zerwała się z miejsca, bo właśnie pani domu dała hasło wstawania od stołu.

III

Świat literacki warszawski dużo sobie obiecywał po zapowiedzianym na drugą połowę postu odczycie młodego adwokata Gruszczyńskiego.

Współpracownik pism katolickich, rozgłośny działacz na polu filantropii, inicjator ruchu etycznego, socyalista chrześcijański, założyciel „Bractwa wzajemnego umoralniania“, „Ogniska czci Przenajświętszej Dziewicy“, oraz różnych stowarzyszeń i kółek religijno-społecznych, Gruszczyński od lat paru silnie zajmował sobą opinię.

Różni różnie sędzili o rzutkim i żadnym rozgłosu młodzieńcu. Nie wszyscy wierzyli w jego szczerość: niektórzy po-

mawiali go nawet o obłudę, zarzucali mu, że z pobożności, zawsze dobrze u nas widzianej, robi sobie reklamę, tem skuteczniejszą, iż pod sztandar, którego obrońców przerzedził materyalizm, zaciąga bojowników nowych, wezwanych w imię demokratycznego współczucia dla nędz społecznych.

Faktem było, że zasady, których rzecznikiem się obrał, głosić jał dopiero po wyjściu z uniwersytetu, gdy przekonał się, jak zdobycie klienteli trudną jest rzeczą dla człowieka zdolności miernych, a pozbawionego przytem tego oparcia, jakim są stosunki i wyższe położenie towarzyskie.

Sprytny, obrotny, ambitny, a nadmiarem skrupułów nieprzeciążony, prędko spostrzegł, że społeczeństwo nasze, przywykłe widzieć wśród siebie jawnych i szczerych wyznawców religii, rzadko podaje w wątpliwość ich dobrą wiarę i że podejrzliwą skądinąd opinię publiczną pod tym względem zawsze łatwo okłamać można.

Podług tego nakreślił sobie plan działania i trzymał się go z wytrzymalnością, godną najlepszej sprawy.

Przedewszystkiem zaczął od tego, że pojechał do Częstochowy, niby to w interesie klienta, który zresztą tylko w wyobraźni jego istniał. Tam „tknęła go łaska Boska“, jak opowiadał i innego zrobiła zeń człowieka. Zerwał z dawnymi kolegami, o ile,—według obecnych jego przekonań — zasługiwali na miano bezbożników, począł poszukiwać towarzystwa ludzi znanych z pobożności, jednego z najświatlejszych kapłanów uczynił swym spowiednikiem i często powoływał się w rozmowie na jego zdanie, dając do zrozumienia, że rozstrzyga daną kwestyę tak, jak ją słyszał rozstrzygniętą przez czcigodnego prałata. „Uczą nas“, „każą nam wierzyć“, „utrzymywać tak musimy“, były to słowa, które miał ciągle na ustach, wyznając w nich niejako bezsporne i ślepe poddanie rozumu pod władzę Kościoła. Przychodziło mu to zresztą z łatwością, bo myślicielem głę-

bokim nie był wcale i samodzielności myśli nie posiadał ani trochę.

Trudniejsza już była sprawa, gdy przychodziło poddać nakazom moralności chrześcijańskiej namiętności i żądz własne. Miał ich wiele: brudne były i niskie, a uparte i gwałtowne.

Lichy to był zresztą charakter i zadziwiająco wolny od wszelkiej domieszki tej wysubtelnionej szlachetności, która świadczy o tresurze moralnej, przekazanej w dziecinnym spadku rodowym. Inteligencya chwytna, lecz do żadnych wzlotów niezdolna—instynkty poziome, a pragnienie wywyższenia się bezgraniczne; zamiast woli—zachcenia gwałtowne, zamiast wytrzymania—upór, zamiast przekonań—uprzedzenia, zamiast myślenia samodzielnego—rezerstwo dogmatyczne i zaciekiłość sekciarska.

Zarozumiałość — aż do śmieszności wygórowana, a tak naiwna i tak szczerą, że nad śmiesznością litość budziła; egoizm posunięty — aż do okrucieństwa, słabość charakteru—aż do podłości, dba-

łość o pozory—aż do obłudy najbezcelniejszej, prawowierność — aż do umyślnego zacieśniania widnokregu umysłowego, który i tak zbyt szerokim nie zataczał się nigdy kręgiem, pobożność—aż do bigoteryi.

Katolikiem był zapamiętałym, choć chrześcijaninem wartości wątpliwej. Ale że religijność swą obnosił jak monstrancję, uwierzyli w nią ludzie ci nawet, którzy znali go dawniej, a i on sam uwierzył w nią czasem. W rozmaitych powikłaniach życiowych bronią mu była odporna, a władać nią nauczył się tak doskonale, że zawsze umiał wycofać się szczęśliwie z trudnego położenia. W najkrytyczniejszej bowiem dla niego chwili opanowywał go zawsze żal za grzechy, żal pokutny tak ciężki, że pogrążony w nim i o poprawie tylko w danej chwili myśleć zdolny, zapominał zupełnie o zobowiązaniach, następstwach, skutkach, jakie każdy postęp ludzki nieodzownie pociąga za sobą.

Opowiadano o nim, że w przystępach takiej skruchy udawał się do matki, błagając z pokorą o natychmiastowe wydalenie służącej, która mu się stała powodem do... żalu za grzech popełniony, a matka, pocziwa lecz ograniczona kokosz, rozczulona postępowaniem jedynaka, dziękowała Bogu, że jej dał dziecko tak wstydlive i tak poczuciem moralności przejęte.

Zwolna, dzięki poparciu duchowieństwa, o którego łaskę zabiegał umiejętnie, dostał się do sfer, przedtem dla niego niedostępnych, wyrobił sobie stosunki, zarówno pożyteczne jak i zaszczytne i stanął pewną nogą na stanowisku, do którego wspinali się nadaremnie zdolniejsi i więcej pod każdym względem warci od niego.

Przyjaciół miał mało, ale gdy kogo potrzebował, narzucić mu się umiał; nieufnych oszałamiał frazeologią samochwalczą, a potulnych przygniatał namaszczeniem, z jakim zwykł był zabierać głos w kwestyach moralności i wiary.

Jeżeli ten i ów z dawnych kolegów, pomnąc jego dezercję z pod sztandaru, przy którym się opowiadał za młodu, nazywał go z ironią nowo-kreowanym ojcem kościoła, to ogół, ciągle o jego działalności słyszający, widział w nim wybrańca — szermierza odradzającego się chrześcijaństwa, apostoła ery nowej: Postępu sprzymierzonego z wiarą.

Odczyty jego i konferencje budziły zaciekawienie ogromne, artykuły wywoływały polemikę lub stawały się tematem gloss i kanwą do parafraz nieskończonych; dyskusje, które toczył po salonach, odbijały się echem w prasie, dostarczały materiału do rozpraw w doborowym gronie inteligencji.

Jaworzyński miał go za luminarza nad luminarze i za złe poczytywał synowi sceptyczne odzywanie się o Gruszczyńskim. Żałował nieraz w duchu, że nie takiego dał mu Bóg syna i śledził rosnącą wziętość młodego działacza z ojcowskim niemal rozradowaniem.

Uważał też sobie za obowiązek współdziałanie z tak użytecznym pracownikiem i jeżeli teraz jechał do Warszawy, to nie tyle dla wysłuchania odczytu, ile dlatego, że przyszła mu myśl zaproponować Gruszczyńskiemu, aby przyjechał z odczytem do Nadbystrza.

Z tą myślą zwierzył się żonie.

— Ułatwię mu przeprowadzenie formalności, zaznajomię go z towarzystwem, dopomogę, w czem się da. Taki człowiek, jak on, dużo tu zdziałać może. Jak myślisz, Józiu?

Józia nie myślała nigdy inaczej, jak mąż, ale myśli jej sięgały czasem dalej.

— Młody jest zresztą, nieżonaty, podobno bardzo przystojny — podpowiedziała, cała na pozór zajęta układaniem na noc bujnych i lśniących włosów. Podobać się może z łatwością...

— Komu? Czyżbyś myślała o Jagience?

— A dlaczegóżby nie? Ośmnasty rok zaczęła.

— Takie dziecko! — zaprotestował gorąco ojciec.

Ale po chwili milczenia odezwał się do żony, naciągającej spreparowane kremem lanolinowym rękawiczki nocne:

— Może i niezłą masz myśl... Kobiety, młodo wydane za męża, bywają uległymi żonami. Jak ty, droga moja— dodał, z upodobaniem spoglądając na żonę, ponętą jak owoc w miarę dojrzwały i niezmiernie powabną w nocnym neglizżu, suto zdobnym w przezrocza koronek i haftów.

Ale ona, zauważywszy spojrzenie męża, ukłękła do pacierza wieczornego i dopiero, gdy się z kolan podniosła:

— Dla córki naszej nie potrzebujemy, dzięki Bogu, łapać męża — podjęła — ale znasz przecież tutejszą młodzież? Jeden hulaka, drugi gracz, trzeci utracyusz, ten — robigrosz bez zasad, tamten — niedowiarek i sceptyk, inny znowu — hreczkosiej bez wykształcenia lub udający wielkiego pana szlachetka. Komuż ją tutaj dasz?

— No, no, nie obmawiaj ludzi — dobrotliwie upomniął ją mąż. — Weźmie Jagienkę ten, komu ją Bóg przeznaczył.

— Naturalnie—odparła żona posłusznie i nie było już o tem mowy między małżonkami, ale Jaworzyńska wiedziała doskonale, że słowa, przez nią rzucone, nie wypadną z pamięci męża i wzięte zostaną pod rozwagę.

A Jagienka, nie domyślając się wcale rozmowy rodziców, układała się do snu na niklowanem, secesyjnego rysunku łóżeczku, ocienionem draperyą, na której tle bardzo bladoliliowem majaczyły ciemniejsze nieco irysy i odcinały się wyraźnie wielkie, proste lilie białe.

I w rojeniach przedsennych marzył jej się rycerz jakiś, w pancerzu z blachy srebrnej, z orlemi u ramion skrzydłami, z krzyżem w jednej, a piórem w drugiej ręce. Otaczały go rzesze wydziedziczone, cierpiące, w pomroce niewiary obłąkane, jak łódź bez steru i bez wiosła po morzu wzburzonym pędząca, a on ręce z krzyżem i piórem wyciągał nad niemi

i ku nim i światło na drodze ich czynił i skrzydeł białością zgęszczone mroki rozpędzał.

U Koci zaś najweselej bywało wtedy, gdy ojciec udał się na spoczynek. Godzina wieczoru, wczesna jeszcze, pozwalała na zbieranie się poufniejszych gości.

Śmiechy, muzyka, żarty przeciągały się do późna w noc, powtarzano wesołe anegdoty, których obydwaj Gutkowie mieli zasób niewyczerpany, śpiewano kulety, treść ich uzupełniając mimiką, a Janka nie ustępowała matce w ożywieniu. Towarzystwo, zebrane w saloniku młodej wdowy, dzieliło się zazwyczaj na dwie grupy, zarówno wesołe i hałaśliwe, zarówno w flircie wprawne.

W jednym rej wodziła matka, otoczona gronem młodzieży, wśród której pojawiała się czasem ta lub owa młoda pani, zabawy żadna lub cnoty mężowskiej strzegąca.

W drugim królowała samotnie Jaśka w nieodstępem towarzystwie Gutka Rajskiego, a dowcipy, jakie tutaj krążyły,

wywoływały częściej na twarzy Jaśki rumieniec podniecenia, niż wybuchy młodego śmiechu.

W tym saloniku każdy z członków rodziny miał sobie nadane przezwisko i tutaj to Gąską ochrzczona została Jagienka.

Wesołą wdówką zwała się Kocia, Jaśka—z początku poprostu Kociątkiem, potem zaś gdy zapowiedziała Gutkowi „Eskulapięciu“, że go na kawaleczki poszarpie, jeżeli się ośmieli „sypać oko“ do kogo innego, jak do niej—zaawansowaną została na Tygrysiątko.

Ojca, dziadka i szwagra mianowano tu „empêcheur de danser en rond“, co zresztą było świetnym pomysłem Gutka, „obrońcy wdów“ i przyjęte zostało z oklaskami. On także nazywał macochę, którą zresztą kochał i szanował prawdziwie „zamaskowaną tyranką“ i upominał się za to o dyplom na psychologa rodziny.

Dyplomu wprowadzie nie otrzymał, ale Jaśka nie omieszkała wyrazić mu uznania:

— Wujaszek wart buzi za swój dowcip!

— To mi daj buzi—rzucił jej wesoło.

— E! co tam wujaszekowi przyjdzie z mojej buzi? Ja przecież nie jestem specjalistka od całowania.

— Alboż są takie?

— Niechże wujaszek nie udaje naiwnego... Wujaszek przecie nie Jagienka.

— No! I ty nie...

— A, chwała Bogu!—zawołała z akcentem tak silnego przekonania, że chórem zaśmiali się wszyscy.

I dzisiaj także wesoło kończono wieczór u Koci. Młody wielbiciel z lekcji tańca przyniósł ogromne pudło cukierków, które matka i córka chrupały na wyścigi białymi ząbkami.

Rozmawiano o projektowanej przez starszych wycieczce do Warszawy.

— Pan Bóg zawsze czuwa nad sierotami—odezwała się Jaśka tonem osoby pouczającej nieświadomych.

— Skądże doszłaś do tego przekonania? — spytała matka od niechcienia,

wyciągnięta na otomanie, usłanej poduskami najrozmaitszej wielkości i barwy.

— Stał, że dziaduniowi nie przyszło na myśl zabierać mnie z sobą na ów odczyt. Co jabym na nim robiła?

— I pewno!—wtrącił Gutek Rajski.

— Eskulapię przewielebne, nie puszczaj się na dowcipkowanie, bo zrobisz fiasco sromotne — upominała go Jaśka i pogroziwszy mu piastką, rozpamiętywała dalej:

— I co to za Warszawa z dziaduniem i jego wierną małżonką? Odczyt, wystawa, ciocie różne i kuzynki, a jako szczyt rozkoszy światowych, moralna sztuka w teatrze.

— A panna Jaśka wołałaby niemoralną?—spytał dawca cukierków, Henryk Przybylski.

— I pewno!—odezwało się znów ze swego fotelu Eskulapię.

Jaśka nie zdążyła go zgromić, bo jednocześnie rzucił jej wuj pytanie:

— Z kolacyjką po teatrze? Z szampusem?

— Nie odzywaj się ze swoim „i pewno“, Eskulapię—żywo zawołała Jaśka—bo teraz ja powiem: I pewno!

— O kolacyjkę trudno, ale szampusia pozwolić sobie możemy... Jak myślisz, Kociu? — zwrócił się do niej brat.

— I owszem! A kolacyjkę w restauracyi zastąpi nam przekąska — zerwała się Kocia z otomany. Zaraz podać każe.

Wniesiono po chwili sardynki, pasztet ze zwierzyny, zimne jakieś pieczyście, owoce i ciasta, obrońca wdów kazał przynieść szampana i biesiadować poczęto wesoło.

Gdy już pienieł się szampan w kieliszkach:

— Za czyje zdrowie pijemy?—spytał Przybylski.

— Gruszczyńskiego! — wyrwała się Jaśka, ogieńcie już rozrzuconiona i co chwila rzucająca w gwar rozmowy krótki, urywany swój śmieszek.

— A to z jakiej racyi?—dopytywać zaczęli wszyscy.

— Bo gdyby nie jego odczyt, nie jechałby nikt do Warszawy, nie byłoby mowy o teatrze, o szampanie...

— Prawda, prawda!—krzyknęło całe grono—Wiwat Gruszczyński! Niech żyje Gruszczyński!

— I Tygrysiatko...—szepnął jej do ucha Gutek Rajska.

— No, jeśli z Gruszczyńskim, to lepiej niech żyje Jagienka—bez namysłu odpaliła Jaśka. — Ja wolę z tobą, Eskulapię...

IV

Wielka sala Towarzystwa wioślar-
skiego jarzy się od światła i roi od tłumu
zebranych na odczyt Gruszczyńskiego
słuchaczy.

W pierwszych rzędach zasiedli kry-
tycy, dziennikarze, literaci, jedno tylko
miejsce naprzeciwko katedry prelegenta
pozostaje dotychczas niezajęte.

Rzędy dalsze pełne strojnych różnego
wieku kobiet, studentów, młodzieży cy-
wilnej, mężczyzn dojrzałych z piętnem
pracy umysłowej na czole i osiwiąłych
starców z twarzą życiem zbrózdzoną,
z iskrą zaciekawienia w przygasłych
zmęceniem oczach.

Gdzieniegdzie widać także suknię
duchowną i świeżo wygoloną tonsurę
młodego kapłana, który z prowincyi znać
przybywszy, rozgłosem prelegenta zwa-
biony, a prawowierności jego pewien,
przychodzi tu usłyszeć słowo nowe...

W rzędach ostatnich, a zwłaszcza na
miejscach stojących, tłoczą się ludzie
ścianą zwartą. Inaczej wyglądają od
tamtych: strój odświętny, lecz nie wy-
tworny, ręce czyste lecz zgrubiałe i rę-
kawiczkami nie osłonięte, postacie spra-
cowaniem ocieężałe, twarze o rysach gru-
bych, o czaszkach twardo nad nieroz-
winiętym mózgiem zasklepionych. Ale
w oczach błyska im myśl rozbudzona,
na twarzach znać wzruszenie uroczyste,
we wzroku wlepionym we drzwi, z któ-
rych ukazać się ma prelegent, maluje
się to oczekiwanie, z jakim wygłodzeni
oczekują na chwilę posiłku.

To ludzie pracy: rzemieślnicy, stróże,
tragarze, przyszli słuchać tego, który od
lat już kilku przemawia do nich jak brat
i nauczyciel zarazem i opowiadając im

o braterstwie w Chrystusie, zaleca im cierpliwość, doskonalenie się moralne i dążenie do oświaty, a naucza przezorności, mającej się przyczynić do polepszenia twardych warunków ekonomicznych.

„Bratem Adolfem“ zwać się każe, choć naukę ma inteligenta i panem jest z panów, jak mniemają.

W gwarze rozmów, szeleście sukien, hałasie przesuwanych krzeseł, tupocie kroków, wśród tłumu twarzy nieznamym, pod spojrzeniami oczu ciekawych, lub obojętnych, dąży do swego miejsca Jagienka. Toruje jej drogę ojciec, idzie za nią matka, ale chociaż się czuje pod opieką rodziców, zmieszana jest i oniesmielona.

Jest przytem wzruszona ogromnie, bo za chwilę posłyszeć ma tego, o którym mówi cała Warszawa, jako o człowieku wyjątkowych zdolności i charakteru wyjątkowego, do wielkich rzeczy powołanym...

Jakie to są te wielkie rzeczy, nie uświadamia sobie Jagienka, ale rwie się

ku nim całą gorącością serca, rozpłomienionego ekstazami mistycznymi, całą wiarą w zbawcze posłannictwo tych, co w imię Chrystusa rzesze zwołują.

I drży cała przeczuciem jakiegoś wniebowzięcia, w którym rozkwitną wielkie, proste lilie wiary, w ogródcu jej serca ręką Maryi Annuncyaty zasiewane...

Tłum z każdą chwilą się powiększa, ale miejsce naprzeciwko katedry prelegenta, wciąż zostaje niezajęte.

Aż wreszcie szmer się czyni wśród pierwszych rzędów; dyskretny szmer ludzi dobrze wychowanych, których coś nagle zelektryzuje.

Z za portyery, oddzielającej salę czytową od pokoju, w którym zapewne prelegent oczekuje chwili wejścia na estradę, ukazuje się szczupła, średniego wzrostu kobieta i zmierza ku niezajętemu dotąd miejscu.

Mężczyźni, zajmujący pierwsze rzędy, znają ją widać wszyscy, bo jeden po drugim podchodzą do nowo-przybyłej, witając ją ukłonem lub uściśnieniem ręki,

a z zachowania się ich widać, że niezajoma jest kimś, wybitne zajmującym stanowisko w świecie.

Jaworzyńscy mają miejsca pod oknem, na prawo od katedry i z krzesła swego Jagienka widzieć może doskonale całą postać kobiety, która hołdy sobie składane przyjmuje z powagą i prostotą.

Niepierwszej jest młodości, ale klasycznie rzeźbionym jej rysom czas nie może wyrządzić zbyt wielkiej szkody. Odebrał im wprawdzie świeżość kolorytu i wdzięczne młodocianego wieku zaokrąglenie, ale nie zdołał im odjąć szlachetności linii i przedziwnego ich zharmonizowania.

Twarz ta, przywiedła i przybladła, jakby zawielkim pożarem wewnętrznym zwarzona, dziwnie jest wyrazistą i uduchowioną.

Jak dwie gwiazdy ciemno-szafirowe, palą się na niej oczy, natężeniem myśli rozgorzałe, smętne i mądre, otoczone już siecią drobnutkich zmarszczek.

Czoło myślące, a dziewiczo czyste, podłużna zmarszczka rozdziela brwi wąziutkim zarysowane łukiem, czarne włosy srebrzy już przedwczesna siwizna.

Spadziastość ramion i proste trzymanie się, nadają elegancję kibici zawątlej, lecz kształtnej, a wytworna prostota stroju podnosi wdzięk całej postaci.

Z uśmiechem i swobodą dobrze wychowanej kobiety, odpowiada na powitanie i prowadzi urwaną rozmowę, lecz oczy jej biegną co chwila ku portyerze, której spuszczone draperya zakrywa przed publicznością prelegenta.

— Kto to taki?—szeptem pyta ojca Jagienka.

— Gdzie? O kogo zapytujesz?

— O tę panią. Tę, w pierwszym rzędzie, w białej sukni sobolami przybranej.

— Nie wiem, dziecinko. Ale do wiedzieć się mogę.

I do poważnego sąsiada, z którym poprzednio już zawiązał był rozmowę, zwrócił się Jaworzyński z zapytaniem.

— To pani Ef-er-ja — odparł zapytany, wymieniając pseudonym autorski kobiety, znanej z urody i należącej do śmietanki towarzysstwa.

I z własnego już popędu dodał:

— Podobno kochają się z Gruszczyńskim i mają zamiar się pobrać, chociaż ona o kilka lat starsza od niego.

— Alboż owdowiała? — zapytał Jaworzyński. — Nie słyszałem o śmierci jej męża...

— Żyje na jej i swoje utrapienie. Ale ona czyni starania o rozwód, opłaciwszy zezwolenie męża odstąpieniem całej swojej sumy posagowej.

— Z czegoż żyć będzie?

— Zarabia sporo piórem. Zresztą Gruszczyński ma już dzisiaj wcale okazałe dochody.

— Nie zdaje mi się, aby się ożenił z rozwódką! Nie licowałoby to z jego zasadami.

— Czy to szanowny mecenas nie wie, że miłość bywa silniejszą od zasad? A ci się kochają! I nie od dzisiaj podobno...

Jagienka chciwie łowiła uchem każdy wyraz rozmowy, którą, przez wzgląd na dziewczęce jej uszy, prowadzili obaj panowie głosem, więcej nawet przyciszonym, niż tego wymagały okoliczności.

Ojciec powtórzył jej wprawdzie, kim była piękna pani w sobolach, której nazwisko łączono z nazwiskiem Gruszczyńskiego z powodów, dla Jagienki niezbyt jasnych, skoro dosłyszała jaknajwyraźniej, że mąż rozgłośniej autorki żyje dotychczas. Nie będąc wolną, nie mogła przecież iść za mąż, a czyż godziło się przypuszczać, że taki człowiek, jak Gruszczyński, kocha się w cudzej żonie?

Prostej i prawej dziewczeczce wydawało się to czemś niepodobnem do wiary, skazą, ideał jej szpecącą...

Zbudził ją z zamyślenia grzmot okłasków. To publiczność witała tak owacyjnie prelegenta, który pewnym i śmiałym krokiem wstępował na przygotowaną dla niego estradę.

Sklonił się, białą, wypieszczoną ręką powiódł po bujnych, ciemno-blond wło-

sach, spoczął przez chwilę spojrzeniem na twarzy pięknej pani w sobolach, z zachwytem nieukrywanym wpatrzony w niego i dźwięcznym, miękim, przebudnie modulowanym głosem mówić zaczął z pamięci.

A mówcą był niepospolitym i wszystkie zalety oratorowi niezbędne, posiadał w stopniu najwyższym. Gra wyrazu twarzy, umiejętność cieniowania głosu, gestykulacja powściągliwa, lecz stosowana trafnie, sama wreszcie powierzchowność jego, będąca szczęśliwym połączeniem urody męskiej z niedającym się opisać urokiem efeba, wszystko to sprawiało, że najbanalniejsze myśli, ustami jego wypowiedziane, zdawały się być żywym głosem serca, przebłyskiem jakichś zniczów, oczyszczających zatęchłą pomroki i błędu atmosferę.

I to, co mówił dzisiaj, aczkolwiek nie było rzeczą nową, a przez niego samego, niewiadomo, ile razy powtórzonym już zostało, porywało jednak słuchaczy. Jednych rozbrajała z krytycy-

zmu tak powszechna skłonność do pójścia owczym pędem, następstwo lenistwa umysłowego lub niedorozwoju myśli, drugich — życzliwe dla prelegenta usposobienie, innych wreszcie — współczucie dla niedoli bliźnich, których orędownikiem i lekarzem obrał się Gruszczyński.

A lekarstwo na nią widział jedynie w powrocie do wiary i prostoty pierwszych wieków chrześcijaństwa, w ścisłym zjednoczeniu się z Kościołem.

„W braterstwie i równości chrześcijańskiej odrodzenie wasze i odpoczynek, o wy, których barki zgięte przedwcześnie ciężarem pracy, a ręce wysileniem jej omdlały. W braterstwie i równości chrześcijańskiej usprawiedliwienie wasze i zadośćuczynienie, o wy, którzy spożywacie owoce znoju bliźnich i z plonu ich pracy czynicie sobie zbytku wezgłowie. W braterstwie modlitwy, w równości pokory i skruchy wzniosą się poniżej społeczne do sfer, zdawna już skąpanych w promieniach oświaty, a z Krzyża Chry-

stusowego spłynie na nas słowo, w którym zawrze się program nowej ery“.

Publiczność powitała zakończenie mowy burzą długo niemilkających oklasków; godności pełnym ukłonem dziękował za nie prelegent, do którego cisnąć się poczęli znajomi, winszując mu jednego więcej tryumfu.

Jagienka, która słuchała w niemem zachwyceniu, oczu nie spuszczać z Gruszczyńskiego, dopiero teraz wzrok przeniosła na twarz Eferyi, promieniejącą głębokiem i dumnem rozradowaniem.

Powodzenie człowieka, gorąco znać kochanego, upajało ją szczęściem, które rzucało blask młodości na twarz jej mizerną i zmęczoną.

W oczach i na ustach miała pełno uśmiechów, kształtna kibić prostowała się ruchem energicznym, jakby pragnąc dorównać wzrostem wyżynie, na której stanął ukochany.

Wychodząc z sali, rzucił na nią Gruszczyński przelotne niby, lecz zrozumiałe dla niej spojrzenie, bo podniosła się ze

swego miejsca i przyjąwszy ramię sąsiada, udała się do przyległego pokoju.

Rodzina Jaworzyńskich miała się już ku wyjściu, gdy zbliżył się ku nim jeden z wybitnych literatów, dawny Jaworzyńskiego znajomy i zapraszać ich począł, aby resztę wieczoru spędzili u niego.

— Żonie mojej niewolno narażać się na zmiany temperatury i dlatego przybyć tu nie mogła — mówił. — Mnie jednak poleciła sproszenie kółka bliższych znajomych. Nie spodziewałem się zastać tu państwa, ale korzystam ze sposobności... Nie wymawiaj się, mecenasie — żywo podchwycił, widząc że Jaworzyński czyni ruch, zapowiadający odmowę — wiem, że rad będziesz bliższemu poznajomieniu się z Gruszczyńskim.

— A! Więc będzie i Gruszczyński?

— A jakże! A jakże! Będziemy mu winszowali tryumfu. „Great attraction“ rautów tegorocznych! Dobijają się o niego... Mogę więc liczyć na państwa?

— Z przyjemnością służyć kochanemu panu będziemy — odpowiedział za

żonę Jaworzyński, a Maryniewicz pobiegł dalej śpiesznie w obawie, aby mu się nie porozchodzili niezaproszeni dotąd goście.

— Kogo tam spotkamy? — spytała Jaworzyńska męża, gdy znaleźli się już w karecie, wiozącej ich na jedną z odleglejszych ulic Warszawy.

— Wszystkich — odparł mąż. Cały świat literacki i całą mniej więcej inteligencyę nie pisującą. Maryniewicz rozległe ma stosunki i przyjmować lubi. Dobrze się zdarzyło dla Jagienki, że pozna odrazu tylu ludzi wybitnych.

— Nie będę nawet śmiała odezwać się pomiędzy nimi — szepnęła Jagienka, zawczasu już nieśmiałością zdjęta.

— To nic nie szkodzi. Panienska w twoim wieku nie powinna być zanadto rozrzucona i narzucająca się. Czy nie mam racyi, mamó?

— Niewątpliwie. Trzeba jednak umieć utrzymać się w mierze, aby nie zostać pōsądzoną o parafianstwo. Gąską w rodzinie tylko być uchodzi.

— No, no! Nie gderaj mi, matko, na dziewczyninę. Zepsujesz jej humor — ujął się ojciec za Jagienką, której drobna rączka poszukała w ciemności ręki ojcowskiej i poniosła ją do ust z pieśczętą.

W chwilę potem kareta wjeżdżała w bramę jednego z nowych domów i jasno oświetlonemi schodami wchodzili Jaworzyńscy do mieszkania frontowego, które na czwartem piętrze zajmował Maryniewicz z rodziną.

Apartamencik był niewielki, lecz urządzonej elegancko, pełen śladów życia umysłowego i wszelkich do niego ułatwień. Kwiaty, obrazy, reprodukcje arcydzieł pędzla i dłuta zapełniały wszystkie kąty i ściany, ładnie oprawne albumy leżały na stoliczkach, pracownia pana domu nie wyglądała na warsztat zarobkowy, lecz na ulubiony kątek człowieka, oddanego pracy umysłowej.

Jaworzyńska, kryjąca w głębi duszy przypuszczenie, że w domach literatów zawodowych niema innych siedzeń nad niezasłane łóżka, a miejsce talerzy za-

stępują papiery, w które obwijaną bywa po sklepach wędlina, z parafianśkiem nieledwie zdumieniem spoglądała na ładne mebelki, na lśniące posadzki, na ilość zupełnie jednakowych filiżanek, w których zgrabna i wyświeżona pokojówka obnosiła herbatę i na dobrane do nich talerzyki do ciastek, świadczące, że w tym domu literata znajduje się serwis kompletny.

Uprzejmie, z uprzedzającą nawet grzecznością zajęła się nią pani domu, Jaworzyńskiego kołem otoczyli znajomi, Jagienka ujrzała się nieco osamotnioną.

Panienki w jej wieku nie było żadnej, a nieliczne w tem towarzystwie kobiety, znające się między sobą i wszystkim tu znajome, nie miały bynajmniej zamiaru zajmowania rozmową osoby, o której wiedziano tylko, że jest córką bogatego adwokata, zamieszkującego jedno z miast prowincjonalnych.

Nie zbliżał się do niej nikt, chociaż ten i ów spoglądał na nią z przyjemnością.

W powłóczystej, blado-niebieskiej sukni, obcisłością kroju rysującej szczy-

plutkie jej kształty, z wielkim białym złocieniem u piersi, a drugim takim samym, wpiętym w zwój włosów, nisko na delikatny karczek opuszczonych, z drobną i białą twarzyczką, zmniejszoną przez zakrycie ucha gładko naczesanemi włosami, miała w sobie jakąś dziwnie ładną dziewiczość i spokój, zakonny niemal. Niebieskie jej oczy, jasną rzęsą obrzeżone, spoglądały na snujące się koło niej postacie z łagodnem zadumaniem istoty, przywykłej do wpatrywania się w światłokrąg, który czoła świętych otacza.

Przypominała jakąś kasztelanę średniowieczną i ładny stanowiła obrazek, nie przyciągając wszakże oka siłą tego uroku, który ciągnął spojrzenia ku Eferyi.

Przybyła nieco później od Jaworzyńskich i zajęty przez nią fotel stał się od razu ogniskiem, w którym skupiło się ożywienie grup, po całym salonie rozstrzelonych. Odrazu uczynić potrafiła rozmowę wymianą myśli to głębokich, to lotnych, to znajomość życia zdradzających, to od rzeczywistości oderwanych,

lecz zawsze unoszących rąbek tej zasłony, która otacza duchową treść człowieka.

Do rozmowy tej przyłączyli się najpoważniejsi z mężczyzn, a między nimi i Jaworzyński. Lubił towarzystwo kobiece i jakkolwiek w przewagę rozumu męskiego wierzył niezachwianie, nie unikał wszakże rozmowy poważnej z kobietą — pod warunkiem, aby była nie tylko wykształconą, lecz dobrze wychowaną i — ładną.

„Niemytych działaczek“, jak nazywał kobiety, zaniedbujące swoją powierzchowność dla nauki, lub dla pracy społecznej — nienawidził, jak grzechu i nazywał je zakałą kobiecości, a w ogóle wołał, ażeby działaczki, najstaranniej nawet umyte, stały po za obrębem najbliższego koła rodziny.

W tem kole bowiem lubił spotykać takie tylko, dla których wola jego była prawem, a rozum — wyrocznią najwyższą.

A że tam, po za plecami jego, ośmieszały go przezwiskami dzieci własne, obchodziło go to tem mniej, że ufny w nie-

tykalność swego majestatu, głowy rodziny, nie przypuszczał wcale, aby coś podobnego mogło mieć miejsce.

W kole rodziny zawsze surową niemal powagę zachowujący, w towarzystwie pozbywał się jej nadmiaru i stawał się niesłychanie miłym przez swój dowcip wytworny i ogładę światową.

Zapominano wtedy o jego wieku i rozległej wiedzy, z której słynął jako prawnik i ekonomista.

— Jaki ten mój tatuś jest miły! — zwierzała się wówczas Jagienka Jaśce, która przymrużała piwne oczy i z najpoważniejszą w świecie miną przyznawała:

— A tak, Gąseczko, bardzo miły!

I spojrzeniem filuternie szydzącem, porozumiewała się z matką, lub tym z Gutków, którzy się blisko niej znajdował.

Gruszczyński ukazał się późno, tłómacząc spóźnione przybycie niedomaganiem matki, o której zdrowie wpadł się dowiedzieć po odczycie.

Maryniewiczowa przyjęła to oznajmienie nie tając zachwyty, jakim ją przejmuje podobnie rzadki objaw miłości synowskiej i wiadomość o nim zakomunikowała szeptem najzaufanszym swoim.

W pięć minut potem wiedziało już całe towarzystwo, dlaczego Gruszczyński tak późno się pojawił.

Opinia publiczna, gdy jej się przypodchlebia ktoś, dla kogo trudno wymyśleć jako tako przypadający do niego

epitet pochwalny, wpadać zwykła na szczęśliwy pomysł nazywania takiego pana wzorowym synem, przykładnym mężem, najlepszym ojcem i t. p.

Rodzice nie zaprzeczają, żona milczy, dzieci nie bywają dopuszczone do głosu i epitet przyrasta do człowieka. Często nawet stanowi oś, koło której grupują się inne epitety, równie pochwalne i równie mało ugruntowane.

Gruszczyński zawiele miał sprytu życiowego i zbyt zręcznie zabiegać umiał o powodzenie, aby się nie postarać wcześniej o tę pospolitą, lecz mocną podwalinę, na której wzniesć się miał z czasem gmach samozwańczej jego wyższości moralnej.

Oddawna już posiadał patent na specjalność bycia „synem wzorowym“ i tłómaczył się obowiązkiem dotrzymywania towarzystwa matce, ilekroć uważał za właściwe podrożyć się ze swoją osobą.

W każdą niedzielę wprowadzał arcy-niepokaźną mieszczańeczkę na mszę spóźnioną, na której zbiera się świat elegancki i sadzał ją ostentacyjnie na miejscu naj-

widoczniejszem, sam zaś klękał obok jej krzesła z pokorą chłopięcia.

Zjednywał tem sobie kobiety, te zwłaszcza, które powagą lat i charakteru wpływ mają na opinię. Takim okazywał cześć nieledwie synowską i uszanowanie pieśczośliwe, ale w gruncie rzeczy szorstkim był dla matki.

Wychowany wśród kobiet ograniczonych, zawczasie poznawszy kobiety lekkiego życia, lekcewał sobie cały mniej więcej rodzaj niewieści.

Jeżeli czynił wyjątek, to dla Eferyi. Imponowała mu gruntownością swej wiedzy i bystrością inteligencyi, a próżność jego mile łechtało przeświadczenie, że tak wyjątkowa kobieta nie tai się z miłością dla niego.

W gabinecie, przyległym do salonu, rozmawiał właśnie Jaworzyński z Eferyą, gdy w rozchyleniu portyery ukazała się kształtna, nieco sztywna postać Gruszczyńskiego.

W oczach kobiety zabłysł promień radości, rumieniec szczęsnego wzruszenia

uderzył na twarz, na której ciągle praca myśli twórczej pozostawiła ślady znużenia.

— Pozwoli pan mecenas, że mu przedstawię najmilszego i najbardziej szanowanego z moich przyjaciół — odezwała się, dając znak Gruszczyńskiemu, aby się zbliżył.

Po dopełnieniu przedstawienia, gdy młody człowiek z uszanowaniem skłonił głowę przed znanym mu z opinii mecenasem, Eferya, której rękę podniósł do ust Gruszczyński, spytała go z troskliwością niespokojną:

— Cóż pan tak późno? Zmęczony może odczytem?

— Nie. Matuchna niezupełnie dobrze się czuje. Nie mogłem przewyciężyć chęci, aby rąk jej nie ucałować i nie zapytać o zdrowie...

Mówił to z prostotą doskonale udaną, głosem, w którym drgać się zdawało ciepło serdeczne.

Kobieta ogarnęła go spojrzeniem, pełnem rozrzewnienia miłosnego.

— Dobrze pan zrobiłeś — miękko rzekła. — Dałeś matce jedną więcej chwilę szczęścia.

A oczy jej dopowiadały mu, że szczęścia, większego nad ujście go, wyobrazić sobie nie może.

Chłodne, stalowo-niebieskie oczy mężczyzny odpowiedziały jej spojrzeniem, zalecając ostrożność i zwróciły się natychmiast ku Jaworzyńskiemu, który pytał:

— Pan jesteś jedynakiem?

— Tak, panie mecenasie. Matka, od lat kilku owdowiała, ma mnie tylko jednego.

— Starczysz jej pan za całe grono dzieci — rzekł Jaworzyński — jeżeli zawsze otaczasz ją taką troskliwością.

— Czyż mogłoby być inaczej? Do służby społecznej przygotować się tylko można służeniem rodzinie.

— Słusznie, bardzo słusznie... I pięknie to pan powiedziałeś... Zamało pamięta się o tem, że społeczeństwo to dalszy ciąg rodziny...

— A pamiętać się powinno koniecznie — dokończył Gruszczyński — inaczej cały wysiłek pracy pójdzie na marne... Zdrowie moralne mas zależy od zdrowego pojmowania obowiązków względem rodziny; odrodzenie ich etyczne rozpoczynać się powinno od wzmacniania węzłów rodzinnych.

— Gdybyż to wszyscy, tak jak pan rozumieli — westchnął Jaworzyński, potakując z uznaniem słowom młodego człowieka.

— Nie moja w tem zasługa — odparł tenże skromnie — lecz mistrzów i przewodników duchownych, których mi Bóg znaleźć pozwolił.

— Zasługą pana jest posłuszeństwo, tak rzadkie w tej epoce wybujałego indywidualizmu.

— Lub doktryn, poczętych z altruizmu, który troszczy się o doczesność jedynie.

— Jesteś pan ich przeciwnikiem?

— Zaciętym! Bezpłodne są i oszukańcze, bo ludzą obietnicami przemiany

na lepsze, a zawierają w sobie pierwiastek rozkładu społecznego.

— W czym tkwi, podług pana, istota pierwiastku rozkładowego?

— W obojętności dla wiary i odezwaniu się od Kościoła. Ewangelia jest najobszerniejszym kodeksem społecznym, a stolica Piotrowa jedyną katedrą do wykładu jego uprawnioną.

— Lubię przekonania określone tak wyraźnie i do żadnych kompromisów nieskłonne. Nie przyjechałbyś pan z odczytem do nas, do Nadbystrza?

— Nie znam tam nikogo... Prócz pana mecenasa — szybko poprawił się Gruszczyński.

— Potrafię się panu przydać—rzekł Jaworzyński nie bez pewnego uczucia dumy.—Mieszkam tam od bardzo dawna i stosunków mam sporo...

— Wdzięczny będę panu mecenasowi, jeżeli mi pozwoli z nich skorzystać. Kiedy mi pan każe przyjechać?

— Sądzę, że im prędzej, tem lepiej. Zanim ucichnie w prasie polemika, wy-

wołana odczytem dzisiejszym i głos pochwał, jakie się panu dostaną.

— A więc w przyszłym tygodniu?

— Koniecznie! I nawet w początku tygodnia, jeżeli pan może. A teraz, ponieważ mam nadzieję, że pan, jako kolega mego syna, będzie naszym gościem, pozwoli pan, że go przedstawię żonie mojej i córce. Były obydwie na odczytacie i miło im będzie poznać pana.

I poprowadził młodego człowieka do salonu, wzrokiem szukając żony.

Siedziała, rozmawiając z kilkoma mężczyznami, stanowiącymi śmietankę zebranego tu towarzystwa. Dystygowana, pewna siebie, wytworna, dobrze reprezentowała znaczenie i majątek męża.

Nieopodal od niej siedziała Jagienka, trochę przybladła od gorąca, spokojna i cicha, z uwagą przysłuchująca się rozmowie.

— Żono — przemówił Jaworzyński, z właściwą mu w podobnych wypadkach emfazą ceremonialną—pan Gruszczyński,

którego odczytu słuchaliśmy z taką przyjemnością, pragnie ci być przedstawionym.

Młody człowiek pochylił przed nią głowę w niskim ukłonie, a Jaworzyńska podała mu rękę i wyrzekła parę słów uprzejmych.

— Prosiłem pana Gruszczyńskiego, by zechciał być naszym gościem, gdy przyjedzie do Nadbystrza—rzekł mąż.

— Bardzo nam będzie miło mieć pana w domu naszym — grzecznie, lecz z godnością odpowiedziała — postaramy się, aby czas nie upływał panu zbyt nudnie na partykularzu.

Gruszczyński miał już w pogotowiu frazes o tem, że zbyt jest pracy oddany, aby mógł się nudzić gdziekolwiek, a zwłaszcza w Nadbystrzu, gdzie w celu specjalnym przyjeżdża, ale nie dał mu przyjsć do słowa Jaworzyński, przedstawiając go Jagience.

Zelektryzowana obecnością człowieka, o którym od paru godzin ciągle koło niej mówiono, rozplamieniona jeszcze w głębi duszy zachwytem, jakim ją słowa

jego przejęły, Jagienka podniosła na niego oczy, pełne wielbiącego podziwu. Z takim samym spojrzałyby zapewne na wskrzeszonego krzyżowca lub skrzydłatego uszarza z pod Wiednia, gdyby który z nich zjawił się przed nią nagle.

Gruszczyński znał sztukę cieniowania ukłonów. Ten, który złożył przed Jagienką, jakkolwiek odpowiadający wszelkim wymaganiom etykiety, nie nosił już na sobie cechy tego głębokiego poszanowania, z jakim głowę pochylił przed Jaworzyńską.

— Jakże pani bawi się w Warszawie?—stereotypowym frazesem zagadnął Jagienkę, siadając na wolnem obok niej miejscu.

A Jagienka, ochłonawszy już z pierwszego wrażenia, powzięła bohaterskie postanowienie, że w rozmowie z tak niepospolitym człowiekiem nie okaże się gąską, podobnego zaszczytu niegodną.

Odparła więc ze śmiałością dla niej samej zdumiewającą.

— Nie o zabawę mi chodziło. Przyjechaliśmy dla odczytu pana głównie.

— I jakiż sąd wydaje pani o nim?— zapytał dla podtrzymania rozmowy z panienką, głupiotką zapewne i banalną, ale niebrzydką i... posażną.

— Nie moją jest rzeczą wydawanie sądu... Mogę tylko zazdrościć panu...

— Czego?—zadziwił się szczerze.

Czegóż bowiem zazdrościć mu mogło takie półdziecko, dla którego ambicya i zrobienie kariery nazawsze pozostać miały zapewne czczym dźwiękiem wyrazu?

— Tego, że pan tak czuje i myśli— odparła Jagienka śmiało — że pan tak pięknie o tem mówi!

— A! — pomyślał — parafianeczka łapie się na wielkie słowa. Kto wie? opłaci się może pojechanie do Nadbystrza.

— Jeżeli mówię nieźle, to dlatego, że czuję gorąco i myślę naprawdę to, co mówię — odparł tonem pouczającym, którym chętnie przemawiał do kobiet. — Ale czy panią w jej młodym wieku inte-

resuje przedmiot tak poważny, jak ten, o którym mówiłem?

Przebijało w tem mimo woli jego i wiedzy zwykle mu lekceważenie władz umysłowych kobiecych, ale nie odczuwała go Jagienka.

— Wychowywałam się w klasztorze — odparła z prostotą. — Zakonnica, której byłam powierzona, rozmawiała ze mną niewiele, ale zawsze o rzeczach poważnych. Dlatego nawet nie bardzo umiem się znaleźć w salonie — dodała, ogarnięta nowym przypływem nieśmiałości.

— O, wcale tego nie widzę!—uprzejmie zaprotestował Gruszczyński. — Ma pani w sobie skromność i prostotę, które są ozdobą jej wieku...

— I tatuś mówi to samo—wtrąciła Jagienka uradowana.

— A widzi pani... I nawet kobietom starszym przystoją więcej, niż zbyt-
nia pewność siebie.

— A pani Eferja?—z prawdziwą już teraz naiwnością gąski rzuciła niespodzianie Jagienka.

Gruszczyński spojrział na nią badawczo.

— Czy „enfant terrible“, czy bezczelna—przemknęło mu przez głowę pytanie.

Sklonny był odpowiedzieć sobie twierdząco na to drugie.

Ale w jasnych oczach Jagienki malowała się tak bezgraniczna prostota dziecka, że uspokoił się natychmiast.

— Coś może zasłyszala, ale nie rozumie — pomyślał.

— Pani Eferja — odparł wreszcie, jakby niechętnie wymawiając jej nazwisko — korzysta z przywilejów swego zawodu i położenia. Zresztą jest już niemłoda...

— Ale taka jeszcze śliczna!—z zachwytem zawołała Jagienka.

— Tak... ludzie uważają ją za piękną...—przyznał z pewnem wahaniem.

— A pannie?—rzuciła gąska pytanie.

— Urody jej nie odmawiam, ale wolę kwiaty mniej rzucające się w oczy i... mniej przekwitłe.

Spojrzała na niego zdziwiona. A! więc nieprawdą być musiało to, co opowiadał jej ojcu sąsiad z sali odczytowej? Bo gdyby było prawdą, czyżby mówił tak o Eferji Gruszczyński?

Tak rozumowała Jagienka i prześlicznie rozpogodzona, nie onieśmielona już ani trochę, rozmawiała z Gruszczyńskim aż do chwili, gdy matka dała jej znak, że czas już zabierać się do odjazdu.

Gruszczyński sprowadził obie panie do karety i gdy ruszyła, Jagienka rzucając okiem przez okno, ujrzała jeszcze ukłon, którym żegnał odjeżdżających.

— Jakże się bawiła moja dziewczynka?—zapytał ojciec.

— Doskonale, tatusiu. Z początku nie wiedziałam, co z sobą mam zrobić, potem zaczęłam uważać, co mówią, a potem bawiłam się doskonale... I rozmawiałam z panem Gruszczyńskim! — pochwaliła się ojcu, dumna z odznaczenia, jakie ją spotkało.

— Widziałem, widziałem...

— Dość długo nawet — wtrąciła matka.

— Nie bardzo, mamusi. Tak mi czas schodził doskonale, że żal mi było wyjeżdżać.

— Patrzajcie, jak się rozhułała! — zażartował ojciec — o czymże tedy rozmawiałś z Gruszczyńskim? To rozumny młody człowiek i skromny jak rzadko.

— O jego odczycie, ma się rozumieć, i to najwięcej. Ale z początku tylko... A potem o klasztorze, o pani Eferji...

— O pani Eferji!!! — zawołali oboje rodzice, nie mogąc ukryć zdumienia. — Cóżes ty z nim o niej mówić mogła?

— Ja się zachwycalam jej urodą, a on odpowiedział, że woli mniej przekwitłe.

— Tak? — zadziwił się ojciec — tak powiedział?

A matka pomyślała z zadowoleniem:

— Znudził mu się już widać romans z niemłodą literatką. Nie mówiłby tak, gdyby miał zamiar żenić się z nią... A ona nieprędko podobno otrzyma rozwód...

I znowu w rojeniach przedsennych unosiła się przed Jagienką postać, z miłością wyciągająca ku rzeszom ręce, krzyż i pióro trzymające, ale stała tym razem na mównicy, miała znane jej już rysy Gruszczyńskiego i słała ukłon za odjeżdżającą w głąb ulicy kareta.

VI

— Dlaczego znikłeś tak wczoraj nie spodzianie? — pytała Eferya Gruszczyńskiego, bujającego się na fotelu z biegunami.

Trzymał w ręku książkę, lecz śledzące go troskliwie oczy kobiety dostrzegły z łatwością, że nie czyta jej wcale.

— Alboż potrzebowałem opowiadać się, że wychodzę? — odparł szorstko i ruchem zniecierpliwienia otrząsnął popiół z papierosa.

Po twarzy kobiety przemknął cień przykrości, jaką jej sprawiły słowa Gruszczyńskiego, a więcej jeszcze ton, jakim były wyrzeczone.

Wypogodziła jednak czoło i po chwili odezwała się łagodnie:

— Najdroższy mój, czyżbym wymagała czegoś podobnego? Ale podzielaś mi się niewiadomo gdzie...

— A ty nie mogłaś dać sobie rady bezemnie? — przerwał tym samym tonem, z dość wyraźną domieszką przedrwiwania.

Eferya zbladła: z pod czarnych brwi głęboko osadzone oczy sypnęły iskrami.

— Nie o to chodzi, czy ja dam sobie radę bez ciebie, czy nie — odrzekła ze stanowczością wyniosłą — chodzi o to, żeś być przy mnie powinien.

— Powinien? Proszę! — sarknął niecierpliwiej jeszcze niż poprzednio. — Skąd ta powinność?

— Stąd, że należymy do siebie, że stosunek taki, jak nasz, uprawniony być tylko może...

— Małżeństwem. A do rozwodu daleko — rzucił jej twardo i krótko.

— Nie przerywaj — zawołała porywczo — i nie mów do mnie takim tonem. Nie zniosę go...

— A zatem?— jakby od niechcienia zapytał.

I zapaliwszy nowego papierosa, spokojnie zaczął puszczać na pokój kłęby dymu.

— A zatem—spokojniej już mówiła Eferya — jeżeli przyszła żona twoja ma być szanowaną przez ludzi, ty pierwszy powinienes jej okazywać uszanowanie. Każde uchybienie twoje upoważnia ludzi do rzucenia na mnie kamieniem.

— Nie dbaj o to, jak nie dbałaś przez lat tyle. Lub staraj się nie zasługiwać — dodał dogmatycznym tonem moralisty.

— Jeżeli zasługuję, to przez ciebie...

— Przechemnie!!! Że też wy kobiety zawsze lubicie zwać na kogoś następstwa waszego postępowania!

— Postępowanie moje, jeżeli jest zdrożnem—ze łzami już w głosie odpowiedziała Eferya—to jest naszym... Twojem jest także... I nie twoją rzeczą wyrzucać mi je!..

— Niezrozumiałą dla mnie jest rzeczą, jak postępowanie „twoje“, może być „mojem“ lub „naszem“. Tak słynna autorka powinna by wyrażać się jaśniej.

— Proszę cię, przestań dowcipkować.

Przez chwilę dość długą panowało milczenie, niespokojne od słów niedomówionych i przemilczanych wyrzutów, których oboje pełne mieli serca i usta.

Przerwała je Eferya, mówiąc pojednawczo:

— Dolku mój, po'co my rozmawiamy z sobą takim tonem? To drażni... i w pamięci zostaje...

Nie zaprzeczył, skrzywił tylko usta uśmiechem sarkastycznym, który nie uszedł uwagi kobiety.

— Kochamy się przecie — mówiła pół-błagalnie, pół-pytajaco, tonąc oczyma w przystojnej jego twarzy, chłodny i zły mającej teraz wyraz.

Nie widziała go, czy widzieć nie chciała. Na czole istoty najukochańszej, jaką dla niej zawierał świat cały, położyła pieszczotliwie rękę małą, o dłoni

mocno zaróżowionej, tak chudą, że wszystkie niemal kosteczki policzyćby się dały przez skórę bladą, pielęgnowaniem ciąglem wydelikacaną.

— Kochamy się...—szepnęła rozmazana, zatapiając usta w gęstwinie ciemno-blond włosów Adolfa.

I teraz nawet nie odpowiedział ani słowa, lecz pochyłoną nad nim kobietę pchnął spojrzeniem, twardem jak szturchaniec, przez złośliwego chłopaka ukradkiem wymierzony koledze.

Po chwili zdjął sobie z ramienia jej rękę i lekko dotknął jej ustami, a ona, policzkiem do włosów jego przytulona, mówiła jakby rozmyślając głośno:

— Kochamy się. Musimy się kochać... Cóżbyśmy byli warci, gdyby nie było pomiędzy nami miłości?.. Ogromnej, mocnej, płomieniem swoim i siłą oczyszczającej sumienia nasze...

Słuchał zniecierpliwiony i znudzony tem, co nazywał nieraz jej liryzmem i chłostał sarkazmem lub obojętnością.

— Ty bo, Jadwisiu — rzekł wreszcie—dziwne masz usposobienie. Lubisz czynić z życia dramat... Po co? Miłość jest potrawą bardzo apetyczną, przysmakiem bardzo wyszukanym, ale spożywać go należy bez podlewki tragiizmu. Wybornie się bez takiej zaprawy obchodzi.

Ona wstrząsnęła głową smutnie. Przeczyła mu, bolejąc nad tem, że przeczyć jest zmuszoną. Miłość jej dla Adolfa była od lat już kilku jedyną treścią jej życia, szczęśliwością jego najwyższą i męką zarazem niewysłowioną.

Młodość jej przeszła spokojnie, bez wzruszeń namiętnych, bez uniesień i szalów, w zaciszu wiejskiem, wśród książek, z których chciwieczerpała wiedzę, w upartej walce z trudnościami, które przełamać musi każdy, kto chce się wypowiedzieć słowem drukowanym i mary czy marzenia własnej wyobraźni oblec w szatę wyrazów.

Męża swego kochała z początku tak, jak kochać zwykły mężów kobiety ucz-

ciwe: nierozmówiona w nim ani trochę, przyzwyczaiła się jednak do pożycia z nim.

Później, gdy gorączką spekulacji porwany, straciwszy znaczną część majątku, wpadł w rozstrój nerwowy i brutalizować ją począł, usunęła się od niego i żyć zaczęła samoistnie, oddana pracy literackiej.

Zdobyła sławę i uznanie, zdobyła byt niezależny i czuła się zupełnie szczęśliwą.

Jak, dlaczego przyszła na nią ta miłość? Tegoby powiedzieć nie umiała.

Przyszła, jak ów wicher pałacy, co się zrywa w popołudnia upalne i porwała ją, jak nawałnica — ją — która nie była przecie trzcina chwiejną, ani latoroślą, młodziutkimi korzonkami słabo jeszcze w grunt wrosłą.

I niosła ją, pomimo oporu zasad moralnych, rozsądku, przywyknień całego życia.

Rozbudziła uśpione w niej dotąd zmysły, gorączką ich strawiła twórczość,

nadmiarem wzruszeń serdecznych osłabiła wyobraźnię, stepiła chęć do pracy, zamknęła życie wewnętrzne, tak silnem bijące dotąd tętnem, w ciasnym zakresie uniesień i niepokojów miłosnych.

Nie poznawała samej siebie i nie poznawał jej nikt. O miłości jej dla Gruszczyńskiego mówiono jak o chorobie, która nagle na nią spadła, jak o jednym z tych niewytłomaczonych zboczeń, którym podlegają nieraz najpotężniejsze nawet umysły.

Przyczyniło się to jednak niemało do podniesienia Gruszczyńskiego w mniemaniu ogółu.

Musi to być jednak człowiek niepospolity, skoro potrafił wzbudzić miłość Efery — mówiono.

I piedestał, który z takim mozołem grudka po grudce budował sobie ambitny młodzieniec, urósł nagle do wysokości, mogącej zaspokoić jego nawet zarozumiałość.

Czy kochał kobietę, która rzuciła mu pod nogi cały swój dorobek moralny

i zaryzykowała dla niego utratę szacunku, jakim dotąd była otoczona?

Nie wiedział nikt, a nawet on sam. Nie wątpił także nikt, bo zdawało się rzeczą niepodobną, aby miłość tak wielka, tak śmiało ujawniona, tak szczerym głosem serca o sobie mówiąca, mogła pozostać nieodwzajemnioną.

Eferya, choć od Gruszczyńskiego starsza, była jednak jeszcze bardzo piękną, posiadała wszystko, co nęcić mogło człowieka, pnącego się z nizin towarzyskich ku wyżynom.

Tak urodzeniem i wychowaniem jak rozgłosem, zdobytym przez talent, zajmowała ona miejsce jedno z najpierwszych. Schyliła się ku niemu i prosto, szczerze, bez zuchwalstwa, lecz i bez ukrywania się kłamliwego postawiła obok siebie wybranca swego serca.

Kochanka! Mówiło o tem rozkoszne upojenie jej uśmiechu, miękka pieśczoćliwość głosu, jakim do niego przemawiała, żar rumieńca, który ją odmładzał, i znikając, pozostawiał bladość miłosnych omdleń oblubienicy.

Z początku umiał cenić niespodziewane dobrodziejstwo jej miłości.

Zarówno w zmysłowości swojej jak i w miłości własnej rozkosznie polechtany, przysięgał Eferyi, że ją kocha, ją pierwszą i jedyną, na zawsze, na życie całe!

Sam nawet wierzył w to potrosze, przywykły już do tego, że uczucia, zrodzone w wyobraźni lub w porywach krwi, przesadzał do serca i wmawiał potem w drugich i w siebie, że prosto z niego wyrosły i w cieple serdecznem rozkwitły.

A ona — wielka pani uczucia i czystej krwi arystokratka ducha, podniósłszy do siebie plebejusza na dorobku, uwierzyła w szlachectwo jego moralne i w królewskość inteligencji. Przyznała mu wyższość nad sobą i w upojeniu na pół mistycznym, na pół z oszołomienia zmysłowego wynikiem, oddała mu się na zawsze, na życie całe, jemu pierwszemu i jednemu...

Powzięli tedy zamiar pobrania się po otrzymaniu rozwodu.

Ona czuła potrzebę przywiązać go do siebie węzłem, miłość ich uprawniającym, być w zgodzie z opinią i z sumieniem własnem, on—wówczas jeszcze podstawy materyjalnej pozbawiony, wiedział, że się dobrze ożeni i uzyska zarazem prawo obywatelstwa w sferach, gdzie jeszcze nie czuł się u siebie.

Ale było to dwa lata temu.

Od tej pory on nabrał opinii myśliciela i reformatora społecznego, stał się „naszym znakomitym“ i nabrał przekonania o pierwszorzędnosci znaczenia swego w społeczeństwie, oraz roli, jaką do odegrania w niem jest powołany. Ona zaś przekonała się o mierności inteligencji oraz o ogromie zarozumiałości jego.

Ale pomimo to stosunek ich pozostał niezmiennym.

Nie przestała być dla niego świetną partią i reklamą pochlebną i kochała go, kochała, kochała...

Zdawało się nawet, że kocha go więcej jeszcze, odkąd się przekonała, że

ubóstwiony przez nią ideał posągiem jest... o nogach glinianych.

I zamaskowanie tego kalektwa uczyniła miłości swojej probierzem i obowiązkiem.

Ona, tak dawniej zdania swego pewna i tak wymownie bronić go umiejąca, mawiała dziś wobec ludzi, przeświadczo-nych o wyższości jej umysłu:

— Myślałam dotąd inaczej, lecz Adolf twierdzi...

I to jej korzenie się przed nim było najwyższym, najsubtelniejszym hołdem, jaki złożyć mu mogła.

Bo tak kochają kobiety czyste i dumne, gdy duszę zaprzepaszczą w miłości.

Pomimo to, stosunek ich zaczął się stawać nierównym i przykrym. Niema harmonii w duecie, który jedno śpiewać chce pieśnianym głosem duszy, podczas gdy drugie wtóruje mu krzykiem ciała, głuszonym kiedyniekiedy przez szept wyrachowania.

Od pewnego bowiem czasu zaczęło przychodzić na myśl Gruszczyńskiemu, że mógłby ożenić się dobrze.

Eferya, rozterką duszną targana, zarabiała teraz mało. Przewidywał chwilę, w której zdystansowaną zostanie przez talent młody, tętna chwili silniej odczuwający.

Posag zaś jej, znaczną wynoszący sumę, uszczupliły niefortunne spekulacje męzowskie. Resztą jego opłacić musiała zezwolenie na rozwód, którego kosztą pochłaniały niewielkie jej oszczędności.

Rodzinę miała bogatą i wpływową, ale dumni szlachcice, na dziedzicznych włościach siedzący, znać nie zechcą krewniaczki, rozwiedzionej dla poślubienia gryzipiórka, którego ojciec był woźnym bankowym, a matka pochodziła z drobnej szlachty, na pół schłopiałej.

Liczyła sobie przytem Eferya lat trzydzieści ośm, podczas gdy on trzydziestki jeszcze nie przeszedł.

Rasowość i uduchowanie jej urody, które sobie tak cenił z początku, jako przysmak, rzadko na uczcie miłosnej spożywany, spowszedniały mu już nie-mało. „Toujours des perdrix“ zaczynało

mu się przejadać, a szybowanie po naziemiach z orlicą stawało się zawrotnem i nużącym.

Były przecie na rynku małżeńskim dobrze upasione kokoszki, bądź to potulne, bądź czupurne, ale bezmózgie i bezskrzydłe. Były lśniącocióre kaczułny, które przenosiły stojącą wodę sadzawek nad wartki nurt głębin życiowych, było wiele istot o ptasim mózgu, śpiącej duszy, a dobrze wypchanej kieszeni, po rękę których mógł sięgnąć z wielką dla swej karyery korzyścią.

A wczoraj, gdy tak uprzejmie zapraszał go do Nadbystrza Jaworzyński, gdy Jagienka nie taila zachwyty, jakim była dla niego przejęta, przyszło mu na myśl, że mógłby sięgnąć i po taką gąskę bielutką...

I byłaby to żona w sam raz dla mnie!—myślał—pobożna, dobrze wychowana, z dobrej rodziny. Od razu stanąłbym dobrze. Teś (tak w myśli zwał już Jaworzyńskiego) pieniądze ma i stosunki... Taka żona, na pół dziecko, prze-

szałaby z pod władzy rodzicielskiej pod mężowską. Uległa, z wyobraźnią spokojną, niewymagająca, siedziała w domu, nie wtrącając mi się do niczego. A brzydka nie jest i ma w układzie coś dystyngowanego.

Wartoby spróbować... Jeżeli się uda, to będę mógł powinszować sobie... Jeżeli nie... Ha! nie ona jedna na świecie...

Jest w ostateczności i Eferya... Jak ona wyglądała wczoraj. Królowa i pani! A jaki ton! Choćby w tych słowach, którymi przedstawiła mnie Jaworzyńskiemu. Odrazu dała mu poznać, że nie jestem pierwszym lepszym...

Nie przyszło mu jednak na myśl, że powinien okazać jej wdzięczność, choćby tylko oszczędzając jej przykrości szorstkiego z nią obejścia.

Wiedział już z doświadczenia, że od niego wszystko przyjmie i zniesie.

Po rzuceniu jej słów ostatnich, milczeli długi czas oboje.

On układał zapewne w myśli plany przysłego postępowania, rozważał szanse

najbliższego posunięcia na szachownicy życiowej, ona siedziała zadumana, wpatrzona w tę bezdeń otchłanną, która się otwiera przed kobietą, tracącą wiarę w ukochanie swoje...

— Jadwisiu — odezwał się wreszcie Gruszczyński tonem swobodnym, jakby nie rzucił był słów tylu, boleśnie raniących serce kobiety — czy pisałaś co dzisiaj?

— Nie — odparła smutnie.

— Dlaczego? Cóżś robiła przez cały dzień.

— Nie mogłam — na pierwsze tylko pytanie odpowiedziała. — Coś się we mnie dzieje takiego, że zupełnie pisać nie mogę — tłómaczyła się przed sobą więcej niż przed nim.

On, przypuszczając, ma się rozumieć, że przed nim usprawiedliwia się z bezczynności, powtórzył pytanie:

— Cóżś przez cały dzień robiła?

— Wstałam późno... Trochę korespondencyi zaległej... Odwiedziło mię parę osób... Czytałam też trochę...

— I tak zszedł ci dzień cały — do-
kończył tonem nauczyciela niezadowo-
lonego z opieszałości ucznia. — Jak też
wy, kobiety, nie umiecie korzystać z czasu!
I dlatego to, co sławą waszą nazywacie,
efemerycznem jest i gołosłownie tylko
istniejącem... Trwałego niema po was nie!

Nie odpowiedziała nic, przywykła
już do podobnych uwag.

W wielkim pożarze, który ogarnął
całą jej istotę, zgorzała jej miłość własna.
Urazić ją mogło teraz tylko niepowodze-
nie Adolfa.

A odkąd spadły z jej oczu łuski,
zasłaniające jej mierność umysłową Adol-
fa, obawa tego niepowodzenia prześlą-
dowała ją ciągle.

Uspakajała ją, oddając mu całe bo-
gactwo własnej nauki, całą górność da-
leko sięgającej myśli, przelewając w niego
czystość natchnień swoich i zwartą lo-
giczność rozumowań.

Utrzymywała go całym dorobkiem
swego ducha, czyniąc to z delikatnością

i taktem, na który zdobyć się może tylko
kobieta prawdziwie kochająca.

On z darów jej korzystał łaskawie,
nie zastanawiając się nigdy nad tem,
że najżywotniejsza organizacja umysłowa
może się uczuć wysiloną, gdy sokami
swemi nieustannie czczość drugiej nalewa.

Jeden z gorących wielbicieli jej ta-
lentu, wyraził to nawet w sposób bardziej
trafny niż zręczny:

— W pseudonimie pani jedną tylko
literę zmienićby potrzeba — rzekł jej, gdy
po dłuższej rozmowie z Adolfem znowu
do niej powrócił.

— Jaką? Nie rozumiem...

— Egeryą zwaćby się pani powinna.
We wszystkim co mówi pan Gruszczyń-
ski, gra echo duszy pani...

Bluźniercą wydał się jej wtedy i od-
powiedziała mu z żywością, dumnie spo-
glądając na mówiącego:

— Pan Gruszczyński ma umysł zbyt
niezależny i przekonania zbyt wyrobione,
aby mógł być echem czyjemkolwiek.
Zgodność naszych myśli jest dla mnie

sprawdzianem, że nie mylę się w rozstrzyganiu zagadnień i formułowaniu dogmatów życiowych.

Mężczyzna skłonił się z uszanowaniem — nie wolnem od zazdrości — człowieka, огоłoconego z tego skarbu, jakim jest miłość kobieca, czujnie i wiernie stojąca na straży godności ukochanego.

Nie pamiętała w tej chwili o wszystkim, co jej Adolf zawdzięczał. Z czasów, w których w wyższość jego wierzyła jeszcze święcie, pozostało jej przyzwyczajenie do tego tonu dydaktycznego, który przybierać lubił.

— Powinnaś pracować — nauczał ją, biorąc jej milczenie za znak skruchy. — Przyznawano ci zdolności, męzkim niemal równe. Powinnaś je zestrzelić w jakiejś pracy większej, która usprawiedliwi choć w części nadzieje w tobie pokładane.

— Napisałam już niemało — broniła się z łagodnością, której nie okazałaby nikomu innemu. — Krytyka, chwając moje utwory, widziała w nich ślady ciągłej pracy nad sobą i stwierdzała rozwój talentu, pogłębianie się myśli...

— Moja droga, nie powtarzajże tych oklepanek, które szafują dla znajomych panowie krytycy...

Wiedziała, że szafują! Czytywała przecie dytyramby, drukowane dla niego w pismach, grających w prasie rolę chora-giewki na dachu.

— Najlepsza z twoich rzeczy, „Ultima“, leży u ciebie w biurku, nieskończona.

Tak było w istocie. Nie kończyła poematu dramatycznego, którego plan układali wspólnie w pierwszych początkach znajomości, bo on narzucał jej nieodczuwaną przez nią psychologię bohaterki głównej, a ona — nie chciała się z nim sprzeczać.

— I kończyć jej nie będę. Od czasu, kiedy pisać to zaczęłam: zmieniło się we mnie tak wiele, że nie rozumiem już postaci, których charakteryszcikowaliśmy wówczas wspólnie. Wyszłyby mi z pod pióra papierowe i martwe.

— Tak ci się zdaje. Jako młodszy od ciebie i jako mężczyzna, lepiej znam dzisiejszych, najmłodszych...

— Nie przeczę. Ale ja malować nie mogę tego, czego nie znam. Rysunek będzie niepoprawny, a koloryt blady.

— Prawdziwie kobiecy masz upór i zarozumiałość szaloną. Daj mi to, co masz gotowego z „Ultimy”. Zabiorę się do tego i dokończę.

— Dam ci plan i odstąpię cały pomysł, ale nie dam początku. To całość drobna, ale w sobie skończona i zużytkuję ją inaczej.

— Boisz się, aby ci jej nie zepsuło moje współpracownictwo?—sarknął obrażony.

— Boję się poprostu, aby nie widać było złatania dwu odrębnych sposobów wyrażania myśli. Ja mam już formę własną...

— Nie lękasz się, aby przeszła w maniérę? — rzucił złośliwie.

— Bądź spokojny. W maniérę wpadają ci, którzy wyczerpawszy to, co w ich talencie samorodnem jest i samorzutnem,

naśladować zaczynają samych siebie. Ja tego nie uczynię, zamilknę raczej.

— Alboż wy, kobiety, milczeć umiecie? Grafomania, która jest plagą literatury współczesnej, wśród was grasuje przeważnie.

Mogła była mu odpowiedzieć, że nawiędzonym przez grafomanię był i on sam, drukujący przez protekcję nieudolne wierszydła, w których „chłopiec—oparty o piec” zalewał łamy dość poczytnego tygodnika falami robionego liryizmu.

Mogła była przypomnieć mu także artykuł, nafaszerowany tanią erudycją i gadulstwem deklamatorskiem, pomieszczony przez dziwną jakąś nieuwagę sekretarza redakcyi, na którą się ciągnął szczere oburzenie jednych, a złośliwe drwiny drugich.

W artykule tym, do którego posłużył mu za materyał świeżo zaszły w Warszawie wypadek pojedynku amerykańskiego. Gruszczyński z właściwą sobie arbitralnością nazywał ten rodzaj pojedynku przestępstwem kryminalnem. Nie

wywołałoby to może zbyt wielkiego zgorzienia, gdyby jednocześnie nie stawał był gorąco w obronie pojedynku zwykłego, „czcigodnego zabytku rycerskości naszych przodków, nie zanikłej jeszcze wobec czci dla złotego cielca religii honoru i t. d. i t. d.

Ciągnęło się to przez szpalt kilka i ośmieszyło go na długo.

Nie przypominała mu tego Eferya, choć zapewne wiedziała o tem i pamiętała.

Rozmawiając, krzątała się po pokoju.

W pąsowym szlafroczku, swobodnie na wątlej kibici puszczonej, niezmiernie jej było do twarzy, ściągłe policzki zapłonęła gorączka doznanych wzruszeń, oczy miały blask wilgotny bratków, z rosy jeszcze nie obeschłych.

Adolf spojrział na nią raz i drugi i do przechodzącej wyciągnął ramiona. Usunęła się, powstał i objął ją wpół.

— Gniewasz się? — szepnął miękko i ustami ust jej zaczął szukać.

— Proszę cię... Nie... nie...—broniła się, głowę w tył odrzucając.

— Nie gniewaj się... Moja-ś ty przecie... Moja! moja! Żono!

Prośbą jego głosu zwyciężona, dobrowolnie podała mu usta i padła mu na piersi upojona.

VII

W Nadbystrzu panowało ożywienie nadzwyczajne. Gazetka miejscowa zapowiedziała przybycie Gruszczyńskiego z odczytami, dodając, że zatrzyma się „w gościnnym domu powszechnie szanowanego mecenasa Jaworzyńskiego“.

U Jaworzyńskich drzwi się nie zamykały.

Pod pozorem upewnienia się, bądź to co do godziny, bądź co do treści odczytu, wpadały panie i panny z ukrytą chęcią ujrzenia prelegenta, który przyjechał pociągiem przedpołudniowym i złożwszy gospodarstwu krótką wizytę powitalną udał się do przeznaczonego dlań pokoju.

Cały porządek domowy Jaworzyńskich, z pedantyczną akuracją zachowywany, przewrócony został dnia tego do góry nogami.

Obiad, podawany zwykle o godzinie szóstej, naznaczony został na godzinę czwartą: odczyt bowiem miał się rozpocząć o siódmej.

Jaśka, wyrwawszy się pod jakimś pozorem od lekcyi, tak szczęśliwie wymiarowała sobie porę, że wpadła do przedpokoju w chwili, gdy przechodził przezeń Gruszczyński.

Obrzuciła go spojrzeniem ciekawem i pędem pobiegła do matki.

— Wiesz, „mater“—zawołała znacząco—nie głośniej, niżby dobrze wychowanej panience przystało—widziałam!

— Co? kogo? — zapytała leniwie Kocia, z książką w ręku siedząca w głębi ogromnego fotelu.

— Kogóżby, jak nie fenomen? Przyjechał, zobaczył, został zobaczony, jeszcze nie zwyciężył, ale... — trajkotała Jaśka, jak młyn w ruch puszczony.

— Widziałaś go? No i cóż? Jaki? Jak ci się wydał? — zainteresowała się Kocia, całą postacią zwracając się do córki.

— Ładny chłopiec! O! ładny! Zobaczysz sama... Ty się nawet lepiej na tem znasz odemnie...

— Jaśka!

— No, cóż? Jaśka! Zaraz „Ja-śka!“ Wiem, że Jaśka! Gdybym nie była Jaśką, nie miałabyś „mater“ jedynaczki...

— Plagi egipskiej! — dokończyła matka.

— Tak się to tylko mówi... Przyjechał, złożył pokłon przed wielkim ołtarzem i poszedł skupiać się do swego pokoju. Ciemny blondyn, wysoki, palto ma na atlasowej podszewce, krawat modny, czarny z białym, spodnie tylko za ciemne, wyglądają na czarne, a czarne spodnie na wizytę ranną...

— Zapewne, że nie uchodzą — odpowiedziała Kocia, bynajmniej nie biorąc za złe córce kierunku, w jakim ćwiczy swoje zdolności spostrzegawcze.

— Kto go przyjmował?

— Matka rodu i sam *Beda Venerabilis*.

Kocia wiedziała już o kim mowa, spytała więc tylko:

— Jagienka była w salonie?

— Nie. Nie wróciła jeszcze z ochronki.

I bystro spojrzawszy na matkę, krzyknęła, własną domyślnością zdumiona:

— „Mater!“ wiem już! To będzie konkurent dla Jagienki!

— Bardzo być może. Sama już o tem myślałam...

— Widzisz, „mater!“ A nie powiedziałaś mi ani słowa? Zawsze cię uczę, żeś powinna brać ze mnie przykład cnót rodzinnych! — i nucąc wesołą jakąś piosenkę, wybiegła Jaśka z pokoju.

W tak zwanej szkole czekał już na nią profesor historyi, którego lubiła zbijać z tropu uwagami w rodzaju następującej.

— Panie profesorze, Kazimierz Wielki powinien być mieć synów. Dlaczego ich nie miał?

— Nie wiem, panno Janino.

— E! musi pan wiedzieć. Mężczyźni podobno wszystko wiedzą. Tylko powiedzieć mi pan nie chce.

Profesor zżymał się w duchu, a ona, strojąc minki niewiniątka, obiecywała mu:

— Już będę się uczyła jak anioł, jak sama Klio... Czy może Melpomena? bo zapomniałam... Tylko niech mi pan wszystko mówi, mój złoty panie!

Przy stole posadzono Gruszczyńskiego na honorowem miejscu, obok Koci. Z drugiej strony miał obrońcę wdów, który, nie dając się zrazić napuszonoscią Gruszczyńskiego, wpadł z nim odrazu w ton poufałego koleżeństwa.

Rozmowę prowadzili tylko dorośli: paniom i dzieciom nie wolno było odzywać się niezapytany, co było obyczajem domowym, praktykowanym jeszcze za czasów dzieciństwa Koci i Gutka.

Przykrzyła sobie ów obyczaj Jaśka, poddawała mu się bez szemrania mało-mównainieśmiała Jagienka. Czwórce nie

przyszło nawet do głowy buntować się przeciwko przepisom obowiązującym.

Jaśka zmaśniała się czasem z matką lub z Gutkami i przez którego z nich zagadnięta, puszczała wodze językowi.

Dziadek słuchał z początku pobłażliwie, niebawem jednak odzywał się do starszej córki:

— Kociu, czy Jaśka nie zawiele mówi na tak młodziutką panienkę? Jako matka, powinabyś zwrócić na to uwagę.

Kocia rzucała na dziewczynkę spojrzenie nietyle karcące, ile zachęcające do ustępstw, a Jaśka ściągała usta grymasem niechęci i lekko wzruszała ramionami.

— *Empêcheur de danser en rond!* — mówiły wyraźnie jej oczy.

Raz wyrwało jej się:

— Mówić muszę, dziaduniu, za siebie i za Jagienkę. Jako starsza odemnie, ma już chyba prawo odzywać się przy stole, a nie mówi nic.

— Bierz z niej przykład—ostro rzu-
cił jej dziadek, nie znoszący najmniej-
szego sprzeciwienia się jego woli.

Dziś za to milczała przykładnie, za-
jęta przypatrywaniem się Gruszczyńskie-
mu. Podobał się jej z urody, coś ją
jednak odpychało od niego.

— Pewno ożeni się z Jagienką —
myślała. — Jak też nazywać go będę
wtedy? Po imieniu? Możnaby... ale czy
to u nas pozwolą?! Nie wy-pa-da — prze-
drzeźniała w myśli przeciąganie, do które-
go uciekał się dziadek, gdy chciał nadać
słowom swoim nacisk wyrażniejszy. —
Wujaszkiem? Cóż znowu?! Jagience mó-
wię przecie po imieniu... Aha! wiem już!
Pociotem go nazwę... O! doskonale... I co
miktozrobi? Powiem: „stary wyraz polski.“

I znowu przedrzeźniała w myśli
dziadka, który dla starych wyrazów ży-
wił cześć jakąś szczególną.

Rozmowa toczyła się tymczasem o li-
teraturze najnowszej, o nowych prądach
literackich.

Gruszczyński odmawiał im prawa
bytu w literaturze, nazywał je wyrazem
zwyrodnienia i zepsucia smaku, histe-
rycznymi odruchami duszy, która prze-
stała mieć głos sumienia za busolę.

— Nie czytuję tego wcale — utrzy-
mywał.—Nie chcę sobie zaśmieszać umysłu.

— Skądże wiedzieć możesz kolega,
ile jest złego w utworach, których nie
znasz wcale? — sprzeciwił mu się młody
Jaworzyński.

— Polegam na zdaniu tych, którym
ufam tak z obowiązku, jak i z przeko-
nania.

— Ci, jeżeli spowiedników i kazno-
dziei masz na myśli, mogą być sędziami
kompetentnymi wtedy jedynie, gdy cho-
dzi o rozstrzygnięcie, czy dany kierunek
zdrożnym jest, czy nieszkodliwym. Ale
o zwyrodnieniu i zepsuciu smaku wyro-
kować tylko ten ma prawo, kto utwory
pisarzy dzisiejszych ocenia z punktu wi-
dzenia literackiego. A na to przeczytać
je trzeba.

— Mamy przecie zdolnych krytyków—bronił się Gruszczyński.

— Tak. Ale ci zdolni i jeszcze od nich zdolniejsi należą do różnych szkół i obozów różnych. Inaczej oceni dany utwór „Rola“, inaczej „Chimera“. Komuż mam ufać?

— Tym przedewszystkiem, co nie podnoszą kalectwa do godności dogmatu—wtrącił Jaworzyński.—Mówię to, ma się rozumieć, z punktu widzenia zasady, bez żadnego zastosowania do kwestyi, która stanowi przedmiot sporu. Ja także nie czytuję utworów nowych. Nie dlatego, abym je potępiał ryczałtowo...

— I gołosłownie—półgłosem podpowiedział mu syn.

— ...Lecz poprostu dlatego, że mi brakuje czasu na zajmowanie się belletrystyką. I pan doświadczać musisz tego samego?

— Ależ naturalnie!—pośpieszył z odpowiedzią Gruszczyński, wdzięczny za mimowiedne przyjście mu z pomocą.— Czytywać muszę tyle rzeczy specyal-

nych, przestudyować je trzeba, przetrawić, przyswoić sobie...

— Podać potem za swoje—z udaną dobroduszością podsunął mu były kolega.

— Czynimy tak wszyscy—odparował cięcie Gruszczyński.—Z pojęć przekazanych nam przez dorobek umysłowy ludzkości, z teoryi sprawdzonych jej doświadczeniem, wnosimy...

— Chyba nawet nie zamki na lodzie? Bo i do takiego budowania potrzeba rzutkości, inicjatywy samodzielnej i pomysowości trochę, a na to nie zdobędzie się społeczeństwo zachwaszczone nadprodukcją bierności.

— Biernością nie można nazywać korzystania z zasobów, które pozostawili nam poprzednicy—rzekł znowu Jaworzyński, niezadowolony z tonu zaczepnego, jaki syn nadawał dyskusyj.—Pojęciu oderwanemu nadawać kształt, konkretny dowodzić prawdziwości teoryi mozolnem przystosowywaniem jej do praktyki, na to bierność nie zdobędzie się nigdy. A na tem przecie zasadza

się postęp, powolny może, lecz widoczny. I nie tylko materyalny, lecz najważniejszy ze wszystkich: moralny. Ten, którego pan tak użytecznym jest rzecznikiem — dodał uprzejmie, zwracając się do Gruszczyńskiego.

I skinął nieznacznie na żonę, aby dała hasło powstania od stołu.

Po obiedzie jeżeli byli goście Jagienka, jako dorosła już panna, przechodziła z całym towarzystwem do salonu, Jaśka powracać musiała do siebie.

Wychodząc z jadalnego pokoju szepnęła Jagience na ucho:

— Poczekaj na mnie w gabinecie twojej mamy. Coś ci powiem... okropnie ciekawego!

I gdy się same znalazły, rzekła:

— Wiesz, co ci powiem?

— Nie. Co takiego? — spytała Jagienka ze zwykłym sobie spokojem.

A Jaśka, z figlarną miną dziecka, które się podkrada do drzemiącego, by mu nad samem uchem wypalić z pukawki, rzekła:

— Przypatrzyłeś się temu panu? To twój konkurent.

Jagienka drgnęła zdumiona. Delikatny rumieniec opłynął twarz jej i szyję, zaróżowił skraj konchy usznej, wyzieraającej z pod bujnego pasma gładko przyczesanych włosów.

— Co też ty mówisz, Jaśka! — ledwo się zdobyła na odpowiedź.

— Już ty mi wierz. Nie jestem przecie dziecko, wiem co mówię. Panią Gruszczyńską będziesz. Witam! witam szanowną ciocię Gruszczyńską! — chichotała.

— Daj pokój! Proszę cię, daj pokój! — zatrzepotała rączkami Jagienka, zawstydzona i zmieszana.

— Dlaczego mam dać pokój? Wiesz przecie, że pójdziesz kiedyś za męża? Nie wybierasz się chyba na zakonnicę. Pójdziesz za męża, będziesz miała męża i dzieci. Nie życzę ci ich dużo...

— Jaśko, przestań — prosiła Jagienka, rumieniąc się coraz bardziej i nie wiedząc, czy wolno jej słuchać bez grze-

chu tak zuchwałych zapuszczań się w przyszłość.

— Ach, jaka też z ciebie gaska! — zniecierpliwiała się Jaśka. — „Przestań!“ Dlaczego mam przestać, kiedy wiem, że pójdziesz za męża, że będzie cię mąż całował...

Ale ten pocisk ostatni, na wstydlivość jej panięską wymierzony, dobił Jagienkę.

Rękami zatykając uszy, uciekła, nie do salonu, lecz do swego pokoiku, gdzie długo siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą, wzruszona i drżąca wobec uchylonej zasłony, za którą nigdy nie pozwalala zaglądać myśli.

Mniemała, że to jest grzechem niedarowanym i plamą na nieskazitelność jej sumienia rzuconą, i rozmyślała teraz nad tem, jakimby sposobem najłatwiej wygładzić w pamięci rysy, słowami Jaśki zakreślone.

Bo niedoświadczona, lecz przez instynkt istot moralnie zdrowych ostrzegana, lękała się Jagienka, aby rysa, nie-

znaczna z początku, nie rozszerzyła się w szczerbę, przez którą ujdzie czystość i spokój jej wyobraźni, niczem dotąd nie rozbudzonej z błogiej drzemki dziecięctwa.

A Jaśka, która szczerb podobnych zliczyły już w sobie nie umiała, myślała:

— Nie, ona jest zanedto naiwna! To już więcej, niż śmieszność, to nieprzyzwoitość poprostu... Wstydby mi nawet było opowiadać o tem komukolwiek... Każdy wie przecie, że iść za mąż potrzeba... No, a ktoż będzie całował, jeżeli nie mąż?

Wzruszyła ramionami Jaśka i zaczęła ubierać się na odczyt, na którym z rozkazu dziadka być miała.

— Dlaczego nie poszłaś do salonu, Jagienko? — spytała matka, wchodząc do jej pokoiku.

— Rozmawiałam z Jaśką, mam — odpowiedziała Jagienka, jeszcze w sobie zalekniona, jeszcze cała drżąca tym niepokojem wewnętrznym, którego doznają

sumienia przywykłe do ścisłych z sobą obrachunków.

— Jaśkę masz ciągle, a dorosła już panna powinna pomagać matce w bawieniu gości. Ojciec nie lubi twego usuwania się od towarzystwa.

Ojciec „nie lubi“ i ojciec „nie znosi“ — były to dwa niezwykłe argumenty, które Jaworzyńska podparła swoją powagę i trzymała dom cały w posłuchu.

Czyniła to zresztą w dobrej wierze zupełnej. Lubiła, aby ją słuchano, a że sama posłuszną była mężowi, cóż więc dziwnego, że rozkazy swoje podawała za wyraz tej woli, która nią samą rządziła?

Jaśka dawno już poznała się na tem, lecz dla Jagienki „nie lubi i nie znosi“ przypisywane ojcu, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Odparła też z pokorą dziecka i dziecinnemi słowy:

— Przepraszam, mamusiu! Nie zrobię już tego.

— Jak ty się wyrażasz po dziecinnemu, Jagienko — strofowała ją matka. Starsza jesteś od Jaśki, a więcej dziecinna... Rozruszaj się trochę, nabierz pewności siebie... Trzeba umieć się podobać i umieć pokazać się w towarzystwie...

Jagienka podniosła na matkę oczy, rozkwitłe przezczystym błękitem źrenic dziecięcych i spytała zafrasowana.

— Cóż więc czynić mam, mamusiu? Ja... nie umiem...

— Ależ ja cię wcale nie namawiam doroztrzepania, dozalotności — tłumaczyła jej matka. — Chciałabym tylko widzieć cię rozmowniejszą, weselszą. Taką byłaś na owym raucie u Maryniewiczów i dobrze ci z tem było... bardzo dobrze. Pewna też jestem, że podobałaś się.

— Komu, mamusiu? — spytała Jagienka z ciekawością naiwną, bardzo wszakże widoczną.

— Wszystkim — odpowiedziała matka wesoło — tak, jak panna dobrze wychowana podobać się powinna. Bądźże

taką i dziś wieczorem — dodała. — Gości mieć będziemy.

— Po odczycie?

— Tak. Ojciec zaprosił kilkanaście osób, z którymi zapoznać chce Gruszczyńskiego. To bardzo przyzwoity młody człowiek. — Prawda?

I widząc, że Jagienka nie nie odpowiada, przeszła z tonu lekkiego w poważny:

— Cóż? Nie odpowiadasz, Jagienko? Poznałaś przecie pana Gruszczyńskiego u Maryniewiczów, rozmawiałaś z nim... z przyjemnością? Nieprawdaż?

— Prawda, mamusi...

I zarumieniła się leciutko.

Lecz Jaśka miała słuszość: Jagienka była nieprzyzwoicie naiwną. Na myśl jej nawet nie przyszło, że między gadiną Jaśki, a poważnemi upomnieniami matki istnieje jakiś związek.

I gdy w godzinę potem wchodziła z rodzicami na salę odczytową, w skupionej uwadze, z jaką słuchała Gruszczyńskiego, najbystrzejszy spostrzegacz

nie dojrzałby i cienia tej ciekawości, mimo-wiednie zalotnej, z jaką spoglądają panny na domniemanych swoich konkurentów.

A Gruszczyński wybrał sobie za przedmiot konferencji temat, w dzisiejszych czasach drażliwy.

Bronił tezy, której samo postawienie uważałby ktoś może za paradoks zuchwwały: mówił bowiem o poszanowaniu należnem majątkowi, jako przedstawicielowi zbiorowych wysiłków znoju i oszczędności kilku pokoleń; mówił, ile zachowywanie go wymaga przezorności i pracy, a zatem zabiegliwości i rozumu, jak trzeba znać warunki ekonomiczne społeczeństwa swojego oraz chwili bieżącej, aby umieć kapitałem obracać z korzyścią dla społeczeństwa, dla tej lub owej jego grupy, a bez straty dla siebie.

Była to apoteoza kapitału, której najzakamienialszy robigrosze słuchaliby z uznaniem.

Słuchano go ze zdziwieniem nie wiedząc, dokąd zmierza demokrata i spo-

łecznik, głoszący, że pierwszy rozdział ewangelii św. Mateusza jest skończonym kodeksem społecznym.

Ale on, pogłaskawszy zręcznie audytoryum prowincjonalne, w którym, jak mniemał, przewagę mieć mogły zasady ekonomiczne, wyrosłe z uwielbienia dla „*status quo*“, a sobkostwem i obawą przewrotu umocnione, śmiałym zwrotem skreślił na miejscu i przeszedł do drugiej części przemówienia.

Jał tedy wykazywać, że ponieważ majątek powstał z wysiłku zbiorowego, nie może być przeto własnością osoby pojedynczej; wrócić musi do tych którzy się przyłożyli do jego powstania, którzy dziś jeszcze pomnażają go swoją pracą.

Dokonania zaś tej przemiany, słusznego rozdziału owego dorobku, któremu ekonomiści „światła wiary pozbawieni“, nadali miano „nadwartości“, podejmie się—filantropia chrześcijańska.

Filantropia, najsilniejszy cement społeczny, najskuteczniejsze lekarstwo na

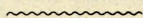
rany zadane przez ustrój wadliwy, bo od drogowskazu Ewangelii stroniący.

Mówił tu o filantropii szeroko i śmiało, bo poza wytworną publicznością inteligentów — skutkiem dobrobytu, a także i wysubtelnienia etycznego, do praktyk filantropii pochopnych — nie stali ścianą zwartą ci, którym zwać się kazał „bratem Adolfem“.

Ci bowiem (znał ich pod tym względem doskonale) wzdrygali się z oburzeniem na samą wzmiankę o filantropii, a jeżeli, przyciśnięci potrzebą, uciekali się do jej usług, to gorycz, przepełniającą im serce, spluwali szeptem złorzeczeń albo słowem dziękczynień uniżonych, nabrzmiałem urazą i szyderstwem.

Ale z tych nie było tu ani jednego. Mógł więc mówić swobodnie i nauczać słuchaczy, że filantropia nie tylko służebnością jest, nigdy ze społeczeństwa chrześcijańskiego nie zdjęta, lecz i łącznikiem najsilniejszym, węzłem, co zrzesza tłumy i rzuca je do stóp Krzyża, miłosnym uściskiem złączone.

I znowu grzmotem oklasków podziękowała mu publiczność za konferencję, której zakończenie wygłosić miał nazajutrz, przechodząc do praktycznych wniosków mowy i wskazując najlepsze sposoby zorganizowania instytucyj filantropijnych, duchowi czasu odpowiednich.



VIII

W środku odczytu uczynił się był szmer w sali.

Ktoś wszedł i cichym krokiem przesuwając się pomiędzy stojącymi, zajął miejsce w ostatnim rzędzie.

Miejsce to przypadkowo zostało wolnem. Siedzący wskazali je kobiecie nikomu tu nieznajomej. Uprzejmem skinieniem głowy podziękowawszy za usługę, usiadła i słuchać poczęła z uwagą nie mniejszą od tej, jaką słuchali słów prelegenta sąsiedzi jej obojej płci.

Ocknęła się z zasluchania wtedy dopiero, gdy podniosły się oklaski. Uśmiechnęła się rozradowana i wdzięczna i okiem

szukać zaczęła Gruszczyńskiego, który znikł z przed jej wzroku, zszedłszy z estrady.

Jakim sposobem dojrzała ją Jagienka, pozostanie to zagadką, rozumiała tylko dla tych, którzy wierzą w tajemnicze drgnienia instyktu, w jasnowidzenie nerwów, napiętych silnem a długotrwałem wrażeniem.

— Tatusiu — szepnęła, wspinając się ojcju do ucha — jest tu pani Eferja.

— Gdzie? Przywidziało ci się, dziecko, zachnął się Jaworzyński.

— Nie, tatusiu, jest, ot, tam! w ostatnim rzędzie, w czarnej sukni i białych koronkach na staniku.

Zafrasował się nieco Jaworzyński, jakby niepewien, co mu uczynić wypada. Spojrzał na żonę, odpowiedziała mu wzrokiem, w którym wyczytał niepokój i zakłopotanie.

Ale już redaktor miejscowej gazety dojrzał był głośną autorkę i witał ją ukłoniem, już gromadziło się koło niej kilka

przez niego przedstawionych osób, które w opróżniającej się sali wyraźnem zarysowały się skupieniem.

Jaworzyński, nagle powziąwszy postanowienie, szepnął żonie:

— Poczekaj tu, dopóki nie wrócę...

I skierował się w stronę sali, gdzie stała Eferja, gronem mężczyzn otoczona.

— Cóż za miła niespodzianka ujrzeć tu panią! — zawołał, składając pełen galanterii pocałunek na podanej mu ręce. — Nie wiedziałem, że pani ma tu znajomych.

Zrozumiała wybornie, że Jaworzyński otwiera jej drogę do zręcznego uporowania wycieczki, której celu sam domyślać się musiał.

Lecz zbyt śmiała i prawa, by się do wybiegów uciekać, odparła prosto, patrząc mu w oczy:

— Nikogo. Przyjechałam tu po to jedynie, aby być na konferencyi pana Gruszczyńskiego.

— I przekonała się pani, że potrafił zająć publiczność — dokończył Jaworzyński najnaturalniejszym w świecie tonem. —

Nie wątpię, że zakończenie, które jutro usłyszeć mamy, nie ustąpi początkowi... Ale skoro pani nie ma tu znajomych, a zatem rozporządza czasem swobodnie, może pani zechce spędzić z nami dzisiaj wieczór.

I zbyt taktowny, aby jej wręcz oznajmić, że będzie u nich Gruszczyński, dodał z grzecznością wyszukaną:

— Pozna pani najlepszą część tu-tejszego towarzystwa, a nie wątpi pani chyba, że każdy będzie miał sobie za zaszczyt być pani przedstawionym. Zaprosiłem kilkanaście osób, aby dać panu Gruszczyńskiemu sposobność zawiązania stosunków, które mu przydatne być mogą.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i przyjęła zaproszenie, poczem Jaworzyński podał jej ramię i powiódł ją przez całą długość sali do miejsca, gdzie oczekiwały nań żona z Jagienką.

— Żono — przemówił swobodnie, udając, że nie widzi zdumienia żony — przyjemną zwiastuję ci nowinę. Pani Eferja uświetni swoją obecnością nasze

zebranie. Podziękuj, że prośbie mojej nie odmówiła.

Jaworzyńska posiadała zbyt wiele obycia w świecie, aby nie wiedziała, jak jej się znaleźć wypada. Zaczęła tedy dziękować uprzejmie i zaprosiwszy panią Eferję do swego powozu, z nią odjechała do domu.

Nie zrozumiała jednak odrazu wysokiej dyplomacyi, którą się mąż w postępowaniu kierował.

— Niewątpliwie dla Gruszczyńskiego tylko przyjechała tu Eferja — rozmyślała, podtrzymując z nią rozmowę uprzejmą.—Może nawet dali sobie rendez-vous? Nie! to nie—sama sobie odpowiadała—on przecie u nas stoi... Ale skoro tu przyjechała, to romans, o którym mówią tyle, musi jeszcze trwać pomiędzy nimi... A zatem z planów naszych (mówiła już sobie śmiało: „naszych“, bo wiedziała, że mąż przyjął za swoją myśl, którą mu mimochodem podsunęła) nic być nie może. Pocóż więc?...

Aż dopiero gdy po rozejściu się gości znalazła się z mężem sam na sam, wytłumaczył jej Jaworzyński, że podobnie jawne uznawanie przyjaznego stosunku — „zrozumiej to, Józiu: *przyjaznego*“ — tłómaczył jej z naciskiem — jaki łączy Gruszczyńskiego z Eferją, najlepszą jest taktyką. Jeżeli romans jeszcze nie zerwany, ułatwi mu to w razie potrzeby zerwanie... Przyjacielem jej zawsze pozostać może, z wielkim dla siebie zaszczytem...

— Ale kto wie, czy nie z ujmą obowiązków nowych? — zaniepokoiła się Jaworzyńska. — Czemże będzie żona młoda, półdziecko, obok tej przyjaciółki tak świetnej.

— Uspokój się, będzie młoda — odpowiedział jej na to mąż — i będzie żoną. Ekskochanka, starzejąca się w dodatku, ustąpi przed nią na plan drugi... Zawsze tak bywa i wierz mi, spokojni być możemy... A do Eferji wybierz się jutro z wizytą i zaproś ją na obiad i na wieczór.

Zanim jeszcze rozmowa ta mogła mieć miejsce, odgadła Jaworzyńska, że mąż życzyć sobie musi okazywania Eferji grzeczności, wyróżniającej ją z pomiędzy innych gości.

Zastosowała się więc do woli jego z łatwością przez wprawę nabytą i rozpromieniona zaszczytem, jaki dom ich spotkał, przedstawiała Eferji przybywających.

Tak ją zastał Gruszczyński, gdy wróciwszy z konferencyi, po której rozmawiał jeszcze dość długo z osobami cisnącemi się do niego dla zawarcia znajomości, wszedł do salonu i niespodzianie spotkał się oko w oko z Eferją.

Zachmurzył się w pierwszej chwili i zbladł ze złości. Spojrzenia jakie rzucał na Eferję, nie powstydziliby się ów legendowy bazyliszek ze Starego Miasta.

Ale Jaworzyński, siedzący właśnie obok przybyłej, uratował sytuację, wołając wesoło:

— Patrz pan, panie Gruszczyński, jaka cię zaszczytna niespodzianka spo-

tyka! Pani Eferya przybywa tu dla ciebie umyślnie. Chlubą to jest twoją, młody człowieku, żeś potrafił zasłużyć na przyjaźń tak gorącą i wierną...

Mówił to naumyślnie tak głośno, aby usłyszeć mogli obecni i śmiał się przytem z dobroduszością patryarchy.

Gruszczyński zorientował się w sytuacji w mgnieniu oka i rozpogodziwszy czoło, podniósł do ust rękę kobiety.

— Przyjaźń ta stoi przy mnie jak stróż dobry — rzekł głosem, którego dźwięcznym brzmieniem nadał pieściwość rzewną.

— I niech stoi jak najdłużej... Zawsze! — dopowiedział Jaworzyński. — Przyjazny związek dusz jest dźwignią bezpieczną i wielką życia osłoda...

Rumieniec zawstydzenia smutnego uderzył na twarz Eferyi.

Ach! ona, idealistka, do wzlotów nad poziomy pochopna, tak ogromnie cierpiała zawsze nad tem, że związek ich nie jest jedynie związkiem dusz i serc miłosnem złączeniem!

I w zmysłów obierzy tak się szarpała boleśnie! A tak zawsze bezskutecznie...

A on nie rozumiał tego, czy rozumieć nie chciał!

I gdyby kochała go mniej tkliwie, o to jedno mogłaby czuć żal do niego.

Ale kochała! Kochała bez pamięci, bez miary i granic i wola jego stała się prawem jej życia.

Dawniej mówiła zawsze do siebie, że najwyższem szczęściem kobiety jest posiadać — w duchu i w prawdzie — mężczyznę, zupełnie do niej, i do niej jednej należącego.

Dziś, oddawszy mu się cała, mówiła tylko:

— Posiadać go wyłącznie i zawsze!

On zaś, należący do ludzi, dla których nie byłoby kary cięższej nad obnażenie ich istoty moralnej w całej ohydzie myśli, do których nie zawsze przynaję się sami przed sobą, wmawiał w nią, że kobieta, mimowolnie czasem lecz niechybnie, siłą fatalności popchnięta, ku

sicielką się staje mężczyzny i obciąża mu skrzydła, zawsze do lotów górnych rozpięte.

Przeczyła temu całą duszą, lecz nie sprzeczała się z ukochanym.

Nie sprzeczała się wtedy nawet, gdy do niej przemawiał tym tonem protekcyjnym, który lubią przybierać mężczyźni, gdy im się zdaje, że odkrywają kobietom jakąś Amerykę—nie istniejącą zresztą wcale, lub wróblom na dachu dawno znaną.

Niesłychanie wdzięczną była Jaworzyńskiemu Eferya za ten sposób prosty i naturalny, w jaki on—człowiek poważny i szanowany—przyjmował jej stosunek z Gruszczyńskim.

Wiedziała, że nie wierzy w związek dusz jedynie, lecz czuła, iż ją sądzi do takiego zdolną.

I tak było w istocie. Jaworzyński znał życie i porywy jego namiętności, lecz wyrozumiałym na nie być umiał, zwłaszcza, gdy to uważał za potrzebne.

A teraz wyrozumiałym był z wyrachowania.

Podobał mu się Gruszczyński. Nie miał racji wątpić o szczerości wygłaszanych przez niego zasad, a wierzył w zdolności jego i nie wątpił, że potrafi zrobić karierę.

Dziś już dochody miał duże i uchodzić mógł za dobrą partycję.

Majątek Jaworzyńskiego nie był tak znaczny, jak mniemano ogólnie, a rodzinę liczną i dużo potrzebującą. Dobra partya nie była więc rzeczą do odrzucenia i Jaworzyński ułożył sobie, że Gruszczyński zostanie jego zięciem.

Ułożyła to wprawdzie żona, ale zamiar ten przyswoił sobie i do wykonania jego torować już zaczął drogę.

A jedyną na tej drodze przeszkodą stanowił stosunek Gruszczyńskiego z Eferyą.

Przeszkodą nie zbyt trudną do usunięcia, jak mówił Jaworzyński.

— Kobieta mądra i szanująca się—rozumował—nie należy do takich, które

się czepiają człowieka jak pijawki. Stosunek ich trwa już lat parę, a rozvodu niema dotąd... Nie zechce pozostać całe życie w położeniu dwuznacznem, chociaż kocha Gruszczyńskiego więcej nie wątpliwie, niż on ją, jako starsza od niego i mniej zapewne w sprawach miłosnych doświadczona... Usunie się... I to tak, jak one to czasem umieją: bez skandalu: bez jednego słowa głośniejszego... I pozostanie mu przyjaciółką, przez takt kobiety światowej, przez dumę duszy podniosłej i czystej... A co więcej, pewien jestem, że życzliwą będzie Jagience... Kobiety z tak wysoką tresurą moralną czynią sobie zawsze z tego punkt honoru...

Nie mylił się Jaworzyński: staćby na to było Eferyę. Ale jej do głowy nawet nie przychodziło, że człowiek, tak gorąco przez nią kochany, oddawna już przeniewierzył się jej sercem.

Bo cechą natur szlachetnych jest przedewszystkiem niepodejrzewanie drugich o to, do czego same nie są zdolne.

A że przytem każda chwila przeżyta usuwała ją z planu pierwszego w rzędy starzejących się kobiet, a życie tryskało z niej jeszcze źródłem żywej wody i serce gorącym, przyśpieszonym biło tętnem, całą więc energię woli skupiła na utrzymanie tej miłości, której godzina uderzać zwykła w przedpołudniowej porze życia, a dla niej wybiła teraz dopiero...

Nie przypuszczała też, aby Jaworzyński, milioner, jak mówiono, mógł mieć widoki na Gruszczyńskiego.

Jagienka też, którą zaledwie zauważyła na wieczorze u Maryniewiczów, wydawała się jej dzieckiem nieledwie.

Teraz, gdy się jej uważnie przyjrzała, uczuła ogromną do dziecka tego sympatyę.

Prosta i smukła, białością sukienki i połyskiem lnistych włosów jaśniejąca, przesuwiała się Jagienka po salonie, podobna do kwiatu, w cieniu świętej dąbrowy wzrosłego.

Raz i drugi powiodła za nią Eferya oczyma.

— Dziwnie jest uroczą córka pana—odezwała się do Jaworzyńskiego, gdy ten ją do kolacyi prowadził — tyle ma prostoty i wdzięku.

Jaworzyńskiemu rozjaśniła się uśmiechem twarz znużona.

— Dobrze, kochane dziecko — odrzekł — i dumną będzie, gdy się dowie, że zwróciła na siebie uwagę pani. W Warszawie jeszcze zachwycą się panią!

— Doprawdy?—ucieszyła się Eferya tak, jakby jej się pierwszy raz w życiu zdarzyło zachwyt w kimś wzbudzić lub choćby spodobać się poprostu.

— Dziwi to panią?—uśmiechnął się Jaworzyński.

— Nie, nie dziwi—z prostotą przyznała — lecz cieszy mnie daleko więcej niż pan myśli. Panowie mniemacie zawsze, że kobiety nie dbają o podobanie się kobietom.

— A tak nie jest?

— Bywa tak, ale wtedy tylko, gdy kobieta pochłonięta jest całkowicie myślą podobania się mężczyźnie. I to nie je-

dnemu, lecz wszystkim—śpiesznie dokończyła, odpowiadając na zapytanie, które we wzroku Jaworzyńskiego dojrzała.—Ale gdy o tem nie myśli, a zwłaszcza gdy, jak ja, wzierać jest obowiązana w tajniki dusz ludzkich, wtedy kobieta, jako istota mniej lub więcej duchem pokrewna, staje się zajmującym i wdzięcznym przedmiotem do badań psychologicznych, a czasem wzbudza tęsknotę za związkiem z nią serdeczniejszym i bliskim, za tem zespoleniem się dusz, które zowiemy przyjaźnią. Przytem powiem jeszcze panu—mówiła, ożywiając się coraz więcej—że romantyczką jestem niepoprawną...

— O! nie potrzebuje pani poprawiać się z wady, której zawdzięczamy tyle utworów, natchnionych myślą górną a pogodną — przerwał Jaworzyński, słuchając jej z uwagą i zająciem.

— Nie o tem chcę mówić i nie swoje prace literackie mam w tej chwili na myśli. Romantyczką nazwałam się dla tego, że pōzbyć się nie mogę wrodzo-

nego mi, bardzo głębokiego współczucia dla wszelkiego rodzaju starć życiowych, dla tych walk pospolitych i powszednich, które stanowią tło życia kobiet.

— Większości kobiet, lecz — nie wszystkim. Pani urządziła sobie zapewne życie tak, że niema w niem miejsca na to kręcenie się w deptaku drobnutkich trosk i zabiegów?

— Tak, ja mam życie względnie swobodne. Ale dlatego właśnie, że znam całą wartość tych wyzwolin z terminatorstwa w mozolnem rzemiośle kobiecości... Tak! tak! niech się pan nie śmieje! wesoło pogroziła Jaworzyńskiemu — kobiecość jest rzemiosłem i to niezmiernie uciążliwym... Więc dlatego, że od niego wolna, tem żywiej interesuję się temi, które, jak pan powiada, kręcą się w deptaku.

— Czyżby pani słuchała z zajęciem rozmowy o kłopotach gospodarskich, o zabawkowaniu dzieci, o modach wreszcie, o ploteczkach.

— To zależy od tego, co pan rozumie pod wyrazem zajęcie? Jeżeli chce

pan wiedzieć, czy się bawię, to — nie. Nie bawi mnie taka rozmowa ani trochę. Ale zajmuje mnie ogromnie! Może to giętkość i niezdolność do skupienia się, tak ogólnie umysłem kobiecym zarzuca, może właściwe literatce, czysto psychologiczne interesowanie się tak zjawiskami życia, jak i reagowaniem na nie duszy ludzkiej, ale rozmowy, o plotkach nawet i modach, słucham ciekawie... Nie zarzuci mi pan przecie ciekawości kobiecej? — zaśmiała się wesoło.

— Nie, lecz zarzucę pani coś gorszego.

— Cóż takiego?

— Dobroć zawiadką, a nawet zawiadką chęć podobania się wszystkim. Lęka się pani, by panią nie okrzyczano za pretensjonalną i daje się pani zanudzać rozmową o błahostkach, byle tylko nie powiedziano, że pani się wywyższa nad innych i nie daje dostępu do siebie tym, którzy nie dorównywają pani wyższością umysłową.

— Wyjdzie na to, że ja jestem ową kurą, która dała się upiec przez dobroć —

śmiała się Eferja jak dziecko.—A ja się o to nie dobijam wcale. Chciałabym tylko być dobrą... prawdziwie dobrą... tą dobrocią ludzką, siostrzaną, która ku wszystkiemu się garnie i wszystkiemu współczuje gorąco...

— I w tem znajduje szczęście.... wtedy nawet, gdy straci już to, co szczęściem własnem nazywa — dokończył Jaworzyński, gdy umilkła, własnymi słowy wzruszona.

A ona zwróciła się ku niemu żywo, z niewymówionem zapytaniem w oczach, wzruszeniem rozgorzałych promieniście.

Nie odpowiedział nic; spojrzał tylko na nią dobrym, tklwym wzrokiem ojca.

Poczuła, że w tym siwym człowieku ma przyjaciela, dla którego jej przeszłość nie jest obojętną i który kamieniem potępienia nigdy na nią nie rzuci.

Więc głos, jak do rozmowy poufnej, zniżając, zapytała:

— Znasz pan ten wiersz przepiękny, w którym zawiera się więcej mądrości życiowej, niż w niejednym traktacie filozoficznym?

I śpiewnym półszepem mówić zaczęła:

„A kiedy szczęścia braknie tobie,
Kiedy twój zachód już się zbliża,
Nie kładź ty serca swego w grobie,
Nie syp mogiły mu w żałobie,
Nie stawiaj nad niem, bracie, krzyża“...

— Znam — odpowiedział Jaworzyński — i każdemu, kto ma serce, jak harfę, o strunach, w ciągłym napięciu drgających, radziłbym wbić sobie w pamięć ciąg dalszy:

„Lecz od zachodu własnej zorzy,
Na wschód wszechżycia obróć lico —
Niech cię owieje duch ten hoży,
Co wiecznie młody, młodość tworzy...
W nim żyj nadzieją i tęsknicą“...*)

Wierz mi pani, kto umie wydłużyć w nieskończoność promień sprawiedliwości i miłosierdzia, ten nigdy nieszczęśliwym się nie czuje.

— Nawet w starości? — szepnęła kobieta, której oczy zadumane spoczywały na twarzy Gruszczyńskiego.

*) Konopnicka: Fragment.

— Pani-ż to mówić o starości? A zresztą starość, to pojęcie względne i zjawisko od wielu warunków zależne. Ekspansywność życiowa, do późnego wieku przechowana, broni serce od skostnienia w egoizmie, chorobie właściwej starości. A ekspansywność tę nabyć można i potrzeba. Rozszerz pani swoje serce wszystkimi sercami, w których zażędz zdołasz ideał, a nie skostnieje ci, nie obumrze... A takich chyba dużo naliczysz pani koło siebie... Pełnemi rękoma rzucałaś ziarno dobre, pożywne i zdrowe...

— Sądzi pan tak naprawdę? Nie mówi mi pan komplementu?

— Prawdę mówię najszczerzą, i to z całą znajomością przedmiotu. Niewiele mam czasu na zajmowanie się belle-trystyką, ale żadna z prac pani nie jest mi nieznaną i wszystkich winszuję pani gorąco. Przysłużyłaś się pani społeczeństwu.

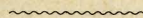
Jakże odmiennemi były te słowa uznania, padające z ust człowieka świat-

łego i wykształconego wszechstronnie, od uszczypliwej krytyki i lekceważącego politowania, z jakim o jej pracach odzywał się Gruszczyński.

Siedział niedaleko i żadne słowo Jaworzyńskiego nie mogło być straconem dla niego.

Eferja rzuciła mu spojrzenie tryumfu radosnego, jakby powiedzieć mu chciała:

— Widzisz! On ma słuszność, ale ja się tem cieszę — dla ciebie!



XI

Nazajutrz, posłuszna życzeniu męża, wybierała się Jaworzyńska z wizytą do Eferji.

— Wszak nie potrzebuję brać z sobą Jagienki?—zapytała, gdy przy herbacie rannej, którą we dwoje tylko pijali, omawiała z nim, jak zwykle, program dnia.

— A to dlaczego?—żywo zaprotestował Jaworzyński.

— Nie wypada może?.. A gdybyśmy tam spotkały Gruszczyńskiego?..

— Jego równie dobrze, jak dziesięciu innych! Pomyślże! Niezabranie z sobą Jagienki byłoby niegrzecznością wyraźną. Zwłaszcza po tem, co mi wczoraj mó-

wiła pani Eferja, która zachwyca się naszą dziewczynką.

— Doprawdy? Myślisz, że mówi to szczerze?

— Zupełnie szczerze. To dusza piękna i wolna od małostek kobiecych. Nie domyśla się zresztą..

— Pewien jesteś?—spytała żona, przywykła do odgadywania wszystkich niedomówień męża.

— Już kiedy tak mówię, to widać, żem pewien—odrzucił tonem autokraty, wierzącego w nieomyłność swoją. — Nie domyśla się i nam wypada udawać nie-domyślnych. Pamiętaj, żono,—nauczał ją tonem łagodniejszym już teraz, lecz dydaktycznym—*my* nie wiemy o niczem, *o ni-czem!*—z naciskiem powtórzył.

— Wie jednak cała Warszawa, nie-
zbyt daleka od Nadbystrza — ośmieliła się zaprotestować żona.

Protest, półgłosem wypowiedziany, uszedł może uwagi męża, bo mówił dalej:

— I o niczem wiedzieć nam nie potrzeba. Tak najdogodniej, bo nieświa-

domość zupełna zostawia nam całą swobodę działania.

Ale widocznie Jaworzyńska buntowniczo dziś była usposobiona.

— Nie rozumiem—wyrzekła nie bez wahania.

— Zaraz zrozumiesz—odpowiedział mąż pobłażliwie, skarciwszy ją poprzednio spojrzeniem.—Stosunek z Eferją cenić należy. Miłość jej dla Gruszczyńskiego jest niewątpliwie komplikacją dla nas bardzo niepożądaną, a dla niej samej nieszczęściem...

— I grzechem... Mężatka!

— Stara się o rozwód i ma jeszcze nadzieję go dostać. Miłość jej, uprawiona małżeństwem, przestałaby być grzechem. Nie należy być zanedo surową... Ale ta miłość—ciągnął dalej—nosi, jak ci wiadomo, nazwę przyjaźni. I jako taka — zaszczyt przynosi Gruszczyńskiemu... Nie byle kim musi być człowiek, wyróżniony przez taką kobietę, jaką jest Eferja.

Jaworzyńska posiadała wiadomości, dość nawet szczegółowe, o Tytanii i ośle,

nie uważała jednak za stosowne popisywać się niemi w tej chwili. Była zresztą pewną, że uczynić tego nie może bez wyrządzenia krzywdy niezasłużonej Gruszczyńskiemu.

— I Jagienka zawczasu przygotować się na to powinna, że przyjazny stosunek z panią Eferją będzie podarkiem ślubnym bardzo cennym.

— Nie przypuszczasz, że może stać się niebezpiecznym?

— Nigdy w życiu. Nie dopuściłaby do tego Eferja sama... Zadumna jest na coś podobnego, zaczysta. Bo, wierząc memu doświadczeniu: to kobieta bardzo czysta...

— Wysokie masz o niej mniemanie!

— I ty powinnaś mieć takie same. A w każdym razie zaprowadzisz dziś do niej Jagienkę. Co do Gruszczyńskiego zaś — dodał pojednawczo — możesz być zupełnie spokojną. Ma do oddania kilka wizyt koniecznych i te mu zabiorą cały czas przed obiadem. Zresztą i on zapewne rozumie, że zachowywać powinien

pozory nietylko ze względu na Eferję, lecz i ze względu na nas.

— Ach, tak!—zawołała z żywością Jaworzyńska, nie wiedząc, czy ma się tem ucieszyć, czy niepokoić owem *na nas*, które mąż wymówił z naciskiem wiele znaczącym.—Zauważyłeś co? Ja byłam tak zajęta gośćmi...

— Ja także zajęty byłem gośćmi, a zwłaszcza Eferją, którą poznać chciałem bliżej—przerwał mąż z nieukrywanem poczuciem swej wyższości, tak męskiej jak i mężowskiej — lecz mimo to zauważyłem, że Gruszczyński przysiadł się parę razy do Jagienki, że rozmawiał z nią, a ona ożywieńsza była, niż za zwyczaj, i wesoła. Przekonamy się później, co z tego wyniknie. A teraz zaprowadzisz Jagienkę do Eferji i nie zapomnisz zaprosić jej na obiad.

— A po konferencji?

— Po konferencji zabierzemy ją także do siebie, tembardziej, że Gruszczyński zaproszony jest na zebranie męskie, na którym i ja także będę. Gutko-

wie zaproszeni również. Będziecie więc same. Dobrzeby było, aby Jagienka nie milczała cały wieczór, jak to ona czynić umie.

— Onieśmielać ją będzie pani Eferja... Ja sama nie wiem, o czym z nią rozmawiać? Za mądra, aby z nią prowadzić rozmowę zwyczajną...

— A zarozumna, aby swoją wyższością imponować.

I przerywając dalszą dyskusję, podniósł się, by przejść do swego gabinetu i zasiąść tam do zwykłej pracy. Żona pocałowała go w rękę i obdarzona pocałunkiem w czoło, udała się do swoich zajęć.

Niespodziane przybycie Eferji nie sprawiło wcale Gruszczyńskiemu przyjemności, której sprawieniem łudziła się zapewne kobieta.

Gdy, wchodząc do salonu Jaworzyńskich z miłym uczuciem gościa, który się w gościnie czuje u siebie, zobaczył Eferję, aż zawrzał cały złością głuchą, tą, — do której są zdolni jedynie blondyni, gdy flegmatyczny mają pozór.

— „*Vieux crampon!*“ — pomyślał. — Przylepiła się do mnie, jak smoła.

W mgnieniu oka jednak zmiarkował, że Jaworzyńscy uważają jej przybycie za rzecz całkiem naturalną. Pomimo zuchwalstwa, z jakim wszędzie wciskać się umiał, nie śmiał jeszcze przypuszczać, że Jaworzyński radby go mieć za zięcia.

Ale jemu samemu zaświtał już był w głowie projekt starania się o rękę Jagienki i powoli dojrzewać zaczynał w plan, we wszystkich szczegółach obmyślany.

Pokrzyżowania zaś planów swoich nie znosił i nie przebaczał Gruszczyński, podobny w tem do wszystkich, którym skrupuły wydelikaczonego sumienia nie stają przeszkodą na drodze do celów zamierzonych.

Przeszkodę w postaci Eferji postanowił już był usunąć, wiedział jednak, że nie przyjdzie mu to z łatwością. Czuł, że z tą współpracowniczką swojej kariery, liczyć się będzie zmuszony, że nie należy ona do kobiet, którym powiedzieć można: „Odejdź! Niepotrzebną mi już jesteś!“

Nie był nawet pewien, czy mu już jest niepotrzebną.

Jak nie wszystkie stosunki jej wyzyskał, tak nie wybrał jeszcze ze skarbnicy jej ducha wszystkich bogactw, któremi dzieliła się z nim tak chętnie.

Ach, gdyby tak można zachować ją, jako przyjaciółkę, a wziąć żonę młodziutką, posażną, potulną!

Ta wiara, jaką zdawał się mieć Jaworzyński w przyjazny jedynie stosunek pomiędzy nim a Eferją, wydała mu się dobrą wróżbą i posłużyła za wskazówkę przyszłej w domu mecenasa taktyki.

Przez cały więc wieczór zbliżał się do Eferji tyle tylko, ile tego wymagało urzędowe stanowisko „przyjaciela,“ a gdy pijąc przy wieczerzy jej zdrowie, przez gospodarza domu wzniesione, zbliżył się do niej z kieliszkiem w ręku, to skłonił się przed nią z poszanowaniem, jakie młokos okazuje poważnej wiekiem matronie i rękę, którą mu podała Eferja, poniósł do ust z wyrazem czci niemal synowskiej.

Zauważył to Jaworzyński i pomyślał: Taktowny chłopiec i z sercem! Umie szanować kobiety...

Ale chociaż zauważył także, iż Gruszczyński rozmawiał z Jagienką, nie mógł słyszeć, że jej powiedział:

— Pamięta pani, cośmy mówili, gdy miałem szczęście widzieć panią po raz pierwszy? . Pani się unosiła nad urodą Eferji, ja mniej i panią to dziwiło. A wie pani dlaczego?

Okazało się, że Jagienka nie ma o tem pojęcia. Nie chciała mu przypominać zapamiętanego wyrazu: „przekwitła“...

— Oto dlatego, że znam ją od lat niezmiernie dawnych.

Nie wyjaśnił, że utwory jej zna, nie ją samą, a Jagienka spytała z tą niepoprawną naiwnością swoją, do nieprzyzwoitości, zdaniem Jaśki, posuniętą:

— Czyżby była taka stara?

— Nie, ale ja dzieckiem byłem prawie, gdy zawiązaną została znajomość nasza. Łaskawą okazywała się dla mnie

zawsze, rozmawiała ze mną jak z dorosłym i przywiązałem się też do niej, jak do krewnej najbliższej. Gdybym nie miał takiej świętej matki, jaką mam, chciałbym być synem Eferji, która zresztą w wielkiej jest przyjaźni z matką moją. Pewien też jestem, że gdy rozmawiają z sobą, mówić muszą o mnie: „Nasz chłopak“...

— Jakiem to musi być szczęściem posiadać przyjaźń tak niepospolitej kobiety! — bardzo szczerze mówiąc, co myśli, rzekła gąska.

— Ojciec pan zrozumiał to i wyraził prześlicznie, gdy powiedział, że związek podobny jest dźwignią bezpieczną i wielką osłodą... Wiele, niezmiernie wiele zawdzięczam pani Eferji. Nie wiem już kto, powiedział bardzo trafnie: „Zbroja duszy nie przylega nigdy ściśle, jeśli nie dopięła jej ręka kobieca“... Czyniła to pani Eferja wespół z matką moją... Reszty dokona... żona — głosem, jakby przez wzruszenie stłumionym, dokończył.

Jagienka słuchała poważna i zamyślona.

— Jakiejżeby to doskonałej istoty potrzeba — odezwała się jakby do siebie, aby skończyć mogła to, co zaczęły matka pana i pani Eferja!

Zawołano ją, odbiegła, lecz w ciągu wieczoru Gruszczyński znowu się obok niej znalazł i, nawiązując przerwana nie rozmowy, zaczął:

— Wspomniała pani o istocie doskonałej... Co pani doskonałością nazywa?

Jagienka, znienacka pytaniem podobnem zaskoczona, zmieszała się ogromnie. Rączki złożyła przed sobą, jak uczennica, zabierająca się do wydania trudnej lekcji.

— Ja... ja nie wiem dobrze — wyjąkała. — Może wielkie poszanowanie dla obowiązku... może wielką miłość dla wszystkiego, co nam kochać należy?... Nie wiem... Pan to lepiej musi wiedzieć odemnie...

— Skądże?

— Bo pan uczył się tyle... bo pan starszy odemnie... więcej zna życie...

— Niewątpliwie. Ale i pani może mieć zdanie trafne, pojęcie wyraźnie określone, a ja pragnąłbym bardzo je poznać.

— Po co? Nie może ono mieć żadnej wagi dla pana, choćbym nawet wysłowieć je umiała. Ale ja nie umiem i może nawet nie potrafię nigdy.

— Zapewniam panią, że pani zanadto dla siebie surowa...

— Czyż można nią być zanadto? — przerwała, a on uśmiechnął się do niej zachęcająco, jak do dziecka, które za grzeczność pochwalić zamierzamy i kończył:

— Zapewne dla tego, że należy pani do wybranych, do szczupłego kółka tych, którzy we wszystkim i zawsze ubiegają się o doskonałość.

— Pan mnie sądzi podług kobiet, które pan zna... Podług matki swojej może, podług pani Eferji — broniła się Jagienka od pochwały. — A ja sobie jestem istotką bardzo pospolitą. Mnie w domu nazywają Gąską! — zawołała z niezwykłą u niej żywością, zdjęta niezmierną potrze-

bą tej prawdomówności i pokory, które Marya Annuncyata kazała jej uważać za podwaliny doskonałości moralnej.

Jemu zaś przemknęło przez głowę: A to cię dobrze nazywają!

Nadał jednak głosowi dźwięk tkliwości głębokiej, a spojrzeniu wyraz czci rozrzewnionej, gdy schylając przed nią czoło, wymówił powoli i cicho:

— Pani jest, jak widzę, z rodu tych, co umieją dopinać zbroje...

A Jagienka zarumieniła się, opuściła jasne, połyskujące rzęsy na oczy, nagle wzruszeniem słodkiem zwilgotniałe i stała tak zadumana, drżąc jakims lękiem rozkosznym...

Ktoś zbliżył się do nich, ktoś przemówił do Gruszczyńskiego i uprowadził go z sobą, ale ona nie słyszała już nic...

„Z rodu tych, co umieją dopinać zbroje...” dzwoniło jej w uszach, jak muzyka...

— „Mater,” czy ten fenomen już się zakochał w naszej gąseczce? — dopytywała się Jaśka, nadejściem matki obudzona.

— Jaki fenomen? Czego ty chcesz odemnie? — ofuknęła ją Kocia, która wróciła z zebrania u ojca w nieszczególnym jakimś humorze.

— Z żalem widzę *que tu deviens ramollie*, mater mea...

— Przestań pleść głupstwa, Jaśka!

— Nie przestanę, póki się nie dowiem. Nie łudź się mater, nadziejami zwodniczymi, bo jako panienka czytana, dowiedziałam się już, że nadzieja jest „matką głupich”.

Kocia wzruszyła zamiast odpowiedzi ramionami, a Jaśka trzepała dalej:

— Fenomen może być tylko jeden, ten, którego Beda Venerabilis ogłosił bohaterem chwili. Ładny chłopiec, prawda? Ja się na tem znam!

— Zawcześnie! — zauważyła matka, źle dziś usposobiona dla jedynaczki.

— Dziedziczny gust! I dzięki otoczeniu twemu, wyćwiczony. Więc, jak powiedziało się wyżej, ładnym jest chłopcem fenomen? Ale wiesz, mater? nie podoba mi się...

— Tak? Dlaczego? — łaskawiej już pytała Kocia.

— Aha! udobruchała się mater? Powiem, dlaczego nie? Nie podoba mi się ten kandydat na pociota...

— Na kogo? Co ty wygadujesz, dziewczyno!

— Na pociota... Stary wyraz polski, oznacza tego, komu po ślubie z ciotką życie zbrzydło. Otóż oni — i zrobiła Jaśka ręką ruch szeroki, mający zapewne oznaczać Jaworzyńskich — chcą zrobić pociota z tej blond czupryny...

— Skądże ty to wiesz?

— Oho! ja wszystko wiem... Pokombinujże, mater, to w oczy przecie bije! A nie podoba mi się, bo niemiły jest i napuszony.

— Chyba dla tego, że nie zwrócił uwagi na ciebie — ujęła się za nieobecnym Kocia.

Jaśka bystro spojrzała na matkę.

— A tobie się podobał, mater? — spytała, szybkim ruchem odgarniając sobie z czoła roztargane snem włosy.

— Co ci do tego? Nie bądź wścibska...

— A, to tak? To ja ci mówię wszystko, a ty masz tajemnice przedemną? Kiedy tak, to możemy skończyć rozmowę.

I zwinnym podrzutem odwróciwszy się do ściany, Jaśka naciągnęła kołdrę na głowę i w chwilę potem spała już smacznie.

A Kocia rozmyślała, „kombinowała,” jak radziła jej Jaśka i powoli dochodziła do wniosku, że przypuszczania Jaśki są słuszne.

Jaworzyński zawsze się z tem odzywał, że córki młodo wydawać za męża należy, i że nie urodzenie, nie majątek, lecz wykształcenie mężczyzny, a zwłaszcza wartość jego moralna są rękojmią szczęścia w małżeństwie.

A Gruszczyński zdawał się odpowiadać tym wymaganiom.

Co się zaś tyczyło stosunku jego z Eferją, zanadto znała świat Kocia, aby przypuszczać mogła, że ten stan na przeszkodzie małżeństwu.

I w jej bowiem pojęciu stosunek taki nie przynosił ujmy mężczyźnie.

Dla niej także, jak i dla wielu, uczciwych zresztą i dobrego serca kobiet, romans młodego człowieka z mężatką, z osobą do towarzystwa należącą, świadczył tylko o niezwykłej sile powabu, jaki młody ów człowiek posiada.

Wyróżnia go to korzystnie i ponieważ stanowi usprawiedliwienie dla tych, które po owej mężatce nastąpią.

A że w stosunku tego rodzaju, kobieta niezeepsuta i szczerza wkłada serce całe, że „romans“ staje się dla niej tragedią, to już rzecz podrzędnego znaczenia i nikt o to nie pyta.

Najmniej zaś ten, któremu jej miłość dawała chwile szczęścia i ułatwiła przyszłe tryumfy salonowe.

Tryumfator żeni się potem z gąską, mniej lub więcej bieluchną i pierwszy jest do rzucenia kamieniem na te, które znieważają miłostkami świętość ogniska domowego.

Ale o tak dalekich następstwach nie myślała Kocia w tej chwili.

Gruszczyński podobał jej się mocno. Nie wyszłaby za niego za nic w świecie, bo wdowią swobodę swoją oddałaby tylko za korzyści partyi, z punktu widzenia światowego, doskonałej.

Ale poflirtować trochę z ładnym chłopcem, dlaczegoby nie?

I to, odbiwszy go Eferji! Co za tryumf! A potem niech go sobie bierze za męża Jagienka... Pani Kocia nic nie ma przeciwko temu...

Tylko, że ta utrapiona Jaśka zaraz wszystko zmiarkować gotowa!

To też, gdy nazajutrz przyszedł Gruszczyński złożyć wizytę starszej córce domu, Kocia mocno się czuła zadowoloną, że w godzinach przedobiednich Jaśka lekcyami jest zajęta.

Ale Jaśka miała swoje sposoby czuwania nad matką i w parę minut po wejściu Gruszczyńskiego ukazała się w saloniku.

Kocia, siedząca na kanapie z taką miną, jakby zamiast wzorzystych, różnego kształtu poduszek, czuła naokoło sie-

bie mięciutki, ciepły puch niewyraźnych jeszcze, lecz rozkosznych, nadziei i myśli, spojrzała na nią ze zdziwieniem:

— A ty co tutaj robisz? Powinnaś być przy lekcji...

— Pan Mirosz nie przyszedł dzisiaj— odpowiedziała Jaśka z miną niewiniątka—przyszłam posiedzieć trochę u ciebie.

Było to we zwyczaju i matce na myśl nawet nie przyszło, aby ją wyprawić do pokoju szkolnego.

Usiadła więc przy oddalonym nieco stoliku i bardzo pilnie zajęła się rysowaniem.

— Córkę pani niedostrzegłem wczoraj wieczorem — zauważył Gruszczyński.

— Zostawiłam ją w domu. Spostrzegł już pan zapewne, że wola ojca rządzi tu nami wszystkimi? A ojciec jest zdania, że rozmowy, jakie się toczą w salonie, chociaż najprzyzwoitsze, nie są stosowne dla dzieci.

— O jakich dzieciach mówisz „mater“? — odezwała się ze swego kątku Jaśka. — Ja nie jestem przecie Jagienką

i przy mnie wszystko mówić można, bo ja wszystko rozumiem. Sam się pan przekona, jak mnie pan bliżej pozna — zwróciła się do Gruszczyńskiego.

I zadowolona z siebie, znowu główkę schyliła nad rysunkiem.

— O, nie wątpię! — zaśmiał się Gruszczyński — ale może dlatego właśnie zdunio panny Janiny ma słuszość.

— Dlatego właśnie jej nie ma. A ja taka byłam ciekawa wczorajszych gości! Chciałam zobaczyć panią Eferję, pana z nią razem, posłuchać rozmowy państwa...

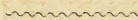
Efekt sprawiła ogromny. Matka zacisnęła usta, aby na głos nie parsknąć śmiechem, Gruszczyński aby jej nie nawymyślać od niezdolnych bębnow.

Nic już więcej nie mając do powiedzenia, umilkła tym razem na dobre i rysować zaczęła zawzięcie.

Obiecywała sobie tylko, że powodzeniem, jakie odniosła, podzieli się z Gutkiem, któremu zawdzięczała — niekompletne zresztą — wiadomości o stosunku, który łączył Eferję z Gruszczyńskim.

Nie zamierzała jednak wcale udzielać wiadomości tej Jagience.

— Poco jej o tem wiedzieć? — miedytowała — ona takie jeszcze dziecko, nie zrozumie, że kawalerowie zawsze się muszą bałamucić przed ślubem... To tylko pannom nie wolno, nie wiem nawet, doprawdy, dlaczego... I mój Gutek bałamuci się też zapewne, a ja udaję, że się tego nie domyślam... Tak... Ale ja znam życie! A Jagienka? Gąseczka!



X

Upłynęło parę miesięcy i zamiast szarug marcowych, maj przesłicznie rozkwitły, od bzów i narcyzów pachnący, pieścił ludzi i upajał czarem wiosny.

Przez różowerzęsypatrzą już wsłońce stokrotki, pod jedwabistym błękitem niebios ciągle jest święto blasku, ciągłych godów pieśń dzwoni weselna.

Spokój i błogość na pół senna wstępuje w dusze znużone, w serca życiem już schorzałe!.. Te, którym młodość nie przestała wygrywać pobudki, rwą się do życia, jak pszczoły, gdy się w cichy poranek wyroją z ula i w słońce lecą, nie wiedząc, gdzie złotem zawisną gronem.

W przyrodzie całej dokonywają się tajemnicze ślubowiny woli tworu z celem stworzenia, radość bytu potężną bucha falą, kult życia obrzędy swoje święci.

A im czystsze jest serce, do pełnienia obrzędów tych powołane, tem zupełniej radość bytu odczuwa, tem rozkoszniej pozwala się unosić jego fali.

Doznaje tego Jagienka. W życiu jej nie nie zaszło nowego, ale taką jasność ma w duszy, tak się czuje szczęśliwą, że czasem aż jej się płakać chce z radości.

Dusza jej, ciągłą słonecznością roz pogodzona, potrafi teraz rozdmuchać najwężlejszą iskierkę szczęścia w wielkie i jasne ognisko, dobroczynnie ogrzewające każdego, kto się w pobliżu jego znajduje.

Jasność od niej bije i ciepło; całe jej zdrowie moralne, przez lat tyle pielęgnowane baczenie, promienieje z niej teraz na zewnątrz niezrównanym urokiem tej doby, w której kobieta najwdzięczniejszą jest oczom ludzkim, to jest: kiedy pozbywszy się cierpkości niedojrzałego

owocu i przywar istoty niedojrzałej, rozkwita czarem kobiecości pełnej jeszcze prostoty, a już siłę swoją czującej.

Jaworzyńscy posiadają w pobliżu Nadbystrza wieś, gdzie rodzina przepędza zwykła miesiące letnie i Jagienka przyjechała teraz do Dużej Woli z matką, aby jej dopomódz w przygotowaniu domu na przyjęcie tak licznych mieszkańców.

Jest z nimi Jaśka oraz czwórka i aleje starego parku rozbrzmiewają śmiechem, krzykami, gonitwą, śpiewem i gwarem ciągłym.

Jagienka nawet rozdokazuje się czasem z nimi. Wtedy sześciolatek Jaś, który za nic uwierzyć w to nie chce, że ona siostrą jest jego, nie ciocią, przygląda jej się ze zdumieniem i oświadcza jej, że gdyby zawsze taką była, kochałby ją nie mniej od sióstr „prawdziwych“, to jest od Koci i Jaśki.

Kocia pojechała do Warszawy, „wy-rwała się“—jak mówi Jaśka, która zresztą wyznaje Jagience w zaufaniu, że „mater“ chce sobie pohulać, przeciwko czemu — ona, Jaśka — nic nie ma wcale.

Żałuje tylko, że matka nie zabrała jej z sobą!

Ale o tem pani Kocia mówić sobie nawet nie dała.

Wogóle ubolewa Jaśka, że matka „ogromnie się teraz zepsuła“!

— Nauczyła się teraz mówić: „Nie pozwolę!“ Tego nigdy przedtem nie było. I gdybyś widziała, jaką przytem robi minę. Kubek w kubek—*Beda Venerabilis*...

— Kto?—spytała Jagienka, nie rozumiejąc.

— Jakto, nie wiesz? Któżby inny, jak nie dziadunio?

— Proszę cię, Jaśko, nie wyrażaj się tak o moim tatusiu...

— Ty chyba wcale nie znasz historyi? I łaciny też nie znasz... *Venerabilis* znaczy: czcigodny! i ów pan był naprawdę podobno czcigodny, chociaż żył okropnie dawno już temu... Nie bój się, i wtedy byli ludzie... Teraz już wierzę w ich istnienie, ale gdy byłaś młodszą, to sobie zawsze myślała, że po-

wymyślały ich guwernantki na doku-
czenie dzieciom. A ty nie?

— Nie. Ja wierzyłam matce Maryi-Anuncyacie.

— Ty każdemu zawsze wierzysz, a za to nie wiesz tego, o czem już wróble na dachu świergocą. Założę się, że nie wiesz, czy pójdziesz za Gruszczyńskiego, czy nie? Pójdziesz?

— Nie wiem, Jaśko... Nikt mi jeszcze nie mówił o tem—odszepnęła Jagienka, śledząc wzrokiem ptaszynę jakąś; żdźbło za żdźbłem znoszącą na gniazdo, w gęstwinie agrestu ukryte.

Spuściła teraz oczy, ale nie było już w nich zaleknienia dziewczęcego, tylko słodycz owa bez granic, która zalewa serce dziewczicy, stojącej u rozchylonych wrót szczęścia.

— Powiedzą ci, jak się oświadczy, nie bój się... A może oświadczy się tobie wprost? Ja dla siebie wolałabym tak... A ty?

— Czy ja wiem?

— Że też ty nigdy nic nie wiesz! Dla czego ja? Już mam wszystko ułożone! A męża bardzo kochać będziesz?

— Powinnością to będzie moja—odparła Jagienka z prostotą i słodyczą dziwnie wdzięczną.

— E! któż tam kocha dla powinności! Jak się kocha to się kocha, wtedy nawet, gdy powinność nie pozwala.

— Ale to grzech!

— Cóż robić! Ma się wtedy wyrzuty sumienia... Kto się kocha, cierpieć musi.

— Skądże ty to wiesz?

— Jakto, skąd? Uczę się, czytam, widzę... Kochała się przecie Messalina, i to podobno ciągle w kim innym, kochała Anielka Płoszowskiego...

— Ale lepiej jest kochać tak, jak kochała Oleńka Kmicica — odparła na to Jagienka, nie mająca zbyt jasnego pojęcia, zarówno zresztą jak i Jaśka, o różnicy pomiędzy jednym a drugim rodzajem miłości.

I znowu wzrok w dal posławszy, nabierała w oczy do pełna przestrzeni

i światła, w pierś czystych i wonnych powiewów, które szły na nią z tchem odwieczera majowego.

Dzień miał się już ku schyłkowi i z lasów, z pól, z łąk, z drzewin ogrodowych, zarówno jak i ze zbóż jeszcze nie wykłoszonych, biły wonie, jak z kadzielnicy. Świeże, wilgotne, zdrowe, ciągnęły zapachy z wietrzykiem,—tak lekkie, jak skrzydełka tych łątek, co ważą się nad wodami w jaskrawej złocistości przedachodniej, lub jak owe muszki, od ziarnek makowych nie większe, co chmurką śniadejkurzawy stoją w powietrzu cichem.

A zapachy te, gdy raz pierś odechnie nimi szeroko, wzbudzą w niej dreszcze zadumy, miłosnej a smętnej, i z ziemią, owych wonności rozdawczynią, zaślubią serce węzłem nigdy niezerwanym...

Czarowi tej chwili mistycznej ulegały bezwiednie Jagienka i Jaśka, tak odmienne usposobieniem.

Zadumały się obie i zamilkły.

Jagienka szukała wzrokiem ptaszy, która zadanie dzienne spełniwszy,

ukryła się teraz w gęstwinie bladą-zielonych jeszcze liści, tak delikatnych i świeżych, że można było pieścić je ustami, jak się pieści twarzyczkę dziecięcia.

Wiosenna tajemnica gniazd i słodkie ich wywczasy nęciły pakującą jej kobiecość.

Jaśka leniwie wyciągnięta na trawie, zdawała się nic wkoło siebie nie widzieć, lecz myślą przedwcześnie rozbudzoną dochodzić rozwiązania tych zagadek, które życie nastrecza co kroku ciekawości dziewczęcej.

Wciągała w siebie z rozkoszą zapach bzu, którego wielkiem bukietem twarz sobie przesłoniła i głaskała łaszące się do niej szczenię.

Śliczne szczenię! Z oczyma, jakby nalanemi złotem śniadem, ze spojrzeniem zamysłonem o czemś tajemniczem i zarazem bardzo prostem... O czemś, co wspólne jest zwierzętom i ludziom czującym żywo, zdrowym, prostym, nie oderwanym jeszcze od łona ziemi-macierzy...

Szczenię to, mające być kiedyś psem łańcuchowym, przygotowywała Jaśka do

życia pieszczotami, od których, jak utrzymywał ogrodnik, przewracało mu się w głowie do szczętu.

— Moje ty zacności! Moja ty cnotliwa psia duszo! — zaczęła przemawiać Jaśka do szczeniaka, który różowym jęzorkiem usiłował dosięgnąć jej twarzy, czemu zresztą Jaśka nie przeszkadzała zbyt usilnie.

— Jak ty mówisz do Zgadnija, Jaśko! Jakby on naprawdę miał duszę!

— A skąd wiesz, że jej nie ma?

— Zwierzę przecie! — upomniała ją Jagienka tym tonem dogmatycznym, który, pomimo łagodności swej, przybierała, ilekroć stawiała w obronie zasad, tak podług niej niewzruszonych i nietykalnych, że dyskusyi nawet nie ulegały.

I podobieństwo jej z ojcem było wtedy tak wielkie, że aż zabawnem się stawało.

A Jaśka, zawsze każdą kwestyę sporną traktująca żartobliwie, zaperzyła się teraz i usiadłszy, aby móżdż patrzeć na Jagienkę, odcięła czempredzej:

— To i cóż stąd? I zwierzęta także Pan Bóg stworzył!

— Ale dał człowiekowi panowanie nad niemi!

Niewiadomo która strona odniosłaby zwycięstwo w dyskusyi, bronionej argumentami, czerpanemi u samego źródła, gdyby Jaśka nie znalazła w swej pamięci innego.

— I nawet na jakimś soborze — trzepała — naradzali się teologowie nad tem, czy zwierzęta mają duszę... Ale nic zdecydować nie umieli, więc nie powiedzieli stanowczo ani tak ani nie... I niewiadomo nic napewno! A ja wierzę, że tak, bo gdyby Zgadnij nie miał duszy... takiej sobie... leciutkiej — i zrobiła Jaśka ręką ruch rozpylania czegoś w powietrzu — psiej duszki, toby nie łasił się do mnie, a nie marszczył nosa na ogrodnika... Cóż ty na to?

A Jagienka, nie odpowiadając nic, chwiała tylko powątpiewająco jasną główką, co widząc Jaśka zatopiła obie ręce w jedwabistych kudłach Zgadnija i obsy-

pywać go zaczęła najczulszemi apostrofami, pomiędzy którymi dawało się raz po raz słyszeć:

— Mój najśliczniejszy!... Mój... mój... Gutku!

I nie ręce już, lecz usta i twarz całą ukryła w miękkim futerku szczenięcia.

Nie słyszała tego Jagienka. Zwrócona na zachód twarzą, całą od łuny spąsowiałą, zdawała się tonąć w jakimś widzeniu rozkosznem. Jasny błękit jej oczu stał się gwiazdzistym od światła, które piła oczyma, drobne usta rozchylały się uśmiechem mimowiednym.

Ruchem nieledwie namiętnym wyciągnęła przed siebie szczupłe ramiona, przegięła wąż figurkę i w wiosenną zieleń parku, delikatnym wstrząsaną wieprzykiem, rzuciła szept radosny:

— Ach, jak mi dobrze... Jak mi dobrze!

Gdy o zmroku już przyjechał Jaworzyński, który lubił nieoczekiwanem przybyciem niespodziankę sprawiać ro-

dzinie, dowiedziała się Jaśka, że matka jej powróciła z Warszawy.

Ale z zafrasowanej twarzy męża poznała Jaworzyńska, że oprócz tej wiadomości, przywozi inną, ważniejszą.

Jakoż, gdy po wczesnej wieszce dzieci spać poszły, a Jaśka i Jagienka usiadły do fortepianu, co Jaśka nazywała trawieniem wedle patryarchalnego obyczaju, Jaworzyński udzielił żonie nowiny, z którą umyślnie do Dużej-Woli przyjechał.

O nowinie tej wiedziała już cała Warszawa, jakkolwiek zajęta wyścigami, oraz ogromną przegraną w karty, którą jeden z młodych magnatów uszczuplił bez skrupułu mienie, po przodkach odziedziczone.

Eferja otrzymała rozwód!

Mówiły o tem sfery, do których należała z urodzenia, mówił cały świat literacki, przyczem nikt nie zdawał się wątpić, że od związków małżeńskich zwolniona, Eferja zostanie w jaknajkrótszym czasie żoną Gruszczyńskiego.

Z wiadomością, tak zbliżką dotyczącą Jaworzyńskich, pośpieszyła Kocia do Nadbystrza.

Plany ojca wiadome już jej były; sprzyjała im zresztą bardzo szczerze.

Kochała przytem Jagienkę tem serdeczniej, że tak niezmiernie różną była od niej samej i od Jaśki; kochała w niej jasną białosć — gąski.

Bo chociaż odmienność bywa często przyczyną nienawiści i kosy białe na śmierć przez zadziobanie naraża, to przecie nie każdemu i nie zawsze tak wstrętną bywa białosć, aby zaraz znęcać się miał nad nią.

Znęcać się nad Jagienką? Boże drogi! Myśl nawet o czemś podobnem nie przeszła nigdy przez głowę Koci, sownie romansami francuskimi nafaszerowaną.

Że Jagienka zajęta już była Gruszczyńskim, o tem nie wątpiła wcale siostra.

Że tenże Gruszczyński mógł mieć względem Eferji zobowiązania moralne, których wypełnienie umożliwia mu teraz rozwód, tego domyslać się można było.

Z niepokojem więc i ciekawością badała Kocia wrażenie, jakie sprawi na ojcu przywieziona przez nią wiadomość.

Ale Jaworzyński wysłuchał gorącego nieco opowiadania córki z zimną krwią zupełną.

— Mam Gruszczyńskiego za uczciwego człowieka — odpowiedział — gdyby nie czuł się zupełnie wolnym, nie byłaby w naszym domu w charakterze starającego się o rękę Jagienki konkurenta.

— Może nie miał już żadnej nadziei poślubienia kiedykolwiek pani Eferji? Może chciał zapomnieć o tamtej miłości... nieszczęśliwej?

— Moja Kociu — upomniął ją ojciec — masz wyobraźnię zanadto rozbudowaną, co nie przystoi bynajmniej wdowie i matce dorastającej już panienki. Skąd przypuszczenie, że stracił nadzieję, a nawet, że miał jakąkolwiek wogóle? A ta miłość... nieszczęśliwa — z naciskiem nieco drwiącym to wymówił — powstała z gadanin ludzkich tylko... Przyjaźń dwóch istot, z których jedna jest wyjątkowo

wyższą, a druga nie tuzinkową, nie potrzebuje odżywiać się nadzieją ślubu. Pewien zaś jestem... uważasz, Kociu?... pewien, że tych dwoje łączyła przyjaźń tylko... Przyjaźń czysta i trwała...

Kocia umilkła i cały wieczór przypiewywała sobie potem: „Między nami nic nie było.“

Ale Jaworzyński, nie tak spokojny, jak się nim chciał wydawać, uczuł potrzebę porozmawiania z żoną o fackie, który, bądźco bądź, nie był bez znaczenia.

Mężowie najdespotyczniejsi, ci, którzy uważają żony za nikły cień swojego rozłożystego „ja“, czują nieraz potrzebę wygadania się przed tym cieniem.

Bo czy żona cieniem jest czy echem, czy jako cień — milczeć będzie, czy jako echo — powtórzone odniesie dźwięki, to zawsze Jego Wysokość Mąż, da upust nurtującemu go niepokojom i ulży sobie odrobinę. Z kamienia, leżącego mu na sercu, odłupie mową najboleśniej uwierając jego kanty.

A zdarzyć się przytem może cud, dość zresztą pospolity: Cień stężeje w kształt

myśli samoisntej, Echo własną zadźwięczy nutą...

Ma się rozumieć, że możliwość i podobnego cudu nie dopuszcza nawet mąż, który chce być panem w domu i o żadnem równouprawnieniu kobiety słuchać nawet nie lubi.

Cud jednak podobny zdarzał się niekiedy u Jaworzyńskich. Żona nie zaprzeczała wprawdzie mężowi, ale mu podsuwała myśli własne, które zręcznie przedstawić umiała za dalszy ciąg wypowiedzianych przez niego.

A czasem zaprzeczenie wyraźne przybierało delikatniejszą formę przypuszczenia:

— Zapewne sam się obawiasz... i t. d. I teraz tak było.

Mimochodem niby uwiadomił żonę Jaworzyński o otrzymaniu przez Eferję rozwodu.

— Kocia opowiada, że cała Warszawa poruszona tą wiadomością, która w gruncie rzeczy ma znaczenie dla jednej tylko osoby: dla samej pani Eferji, uwolnionej od niemiłych jej związków.

— Tak sądzisz?

— Niepodobna mi sądzić inaczej.

— Gruszczyński...

— Gruszczyński — wpadł jej w mowę mąż niecierpliwie trochę i szorstko — stara się o Jagienkę tak jawnie, że cofnąć się nie może bez wyrządzenia domowi naszemu impertynencyi, której nie wybaczyłbym mu nigdy.

— Bez wyrządzenia krzywdy Jagience, powiedz przedewszystkiem. Jagienka go kocha, to widoczne. Dziecko z niej niewinne i szczere, ukryć się z tą miłością nie umie.

— I nie potrzebuje też ukrywać się z nią. Niech kocha... Lada dzień zostanie jego narzeczoną...

— A jeżeli Gruszczyński cofnie się teraz, gdy Eferja otrzymała rozwód? Nie wątpię, że i on kocha Jagienkę, że ją nawet kocha bardzo silnie... Ale tamta kocha jego... O, wiem, nie pozwalasz mówić, że jest może jego kochanką, lecz gdyby nawet kochała go tylko przyjaźnią... A przyznasz, że ta przyjaźń pomiędzy

kobietą tak jeszcze piękną, tak obdarzoną powabami duszy i ciała, a mężczyzną młodym i nieżonatym ma wszystkie cechy miłości...

— Miała je — spokojnie odparł Jaworzyński, pozwoliwszy żonie wygadać się. — Straciła je już teraz. Gruszczyński kocha Jagienkę, sama w to wierzysz, czujesz to sercem matki...

— Ale tanta zachowała wpływ swój nad nim! Wpływ, jakiego Jagienka nigdy uzyskać nie potrafi...

— Ma inny: prostoty swojej i słodczy. I sędzę, że teraz właśnie rozstrzygnie się ostatecznie los jej. Wobec hałasu, jaki sprawiła wieść o rozwodzie, Gruszczyński przyspieszy oświadczyzny.

— Jeżeli tak przypuszczasz, to możeby... — i zawahała się nieco Jaworzyńska, jako osoba nieprzywykła do inicjatywy. — Nie wiem, co na to powiesz... ale ja myślałabym, że dobrzeby było podrożyć się trochę z Jagienką...

I spojrzała na męża wyczekująco.

On pomyślał przez chwilę, jakby zastanawiając się nad rzuconym przez

żonę projektem, poczem odezwał się tak powoli, jakby ważył każde słowo z osobna:

— Sam już o tem myślałem. Wyjechałobyś dokądciś trzeba... Czy masz jakiś plan gotowy?

— Lato się zbliża. Zamiast spędzać je tutaj, pojechałabym z Jagienką do siostry mojej. Nie byłam z nią, odkąd z klasztoru wróciła. Inna okolica, inni ludzie...

— Tak... dobry pomysł. A więc rzecz ułożona: pojedziesz z Jagienką do Leszczycowa w początkach czerwca.

— A jeżeli tymczasem oświadczy się Gruszczyński? — spytała się żona, zbyt dobrze znająca męża, aby nie wiedzieć, że leciutka opozycja projektowi, który sama podała, utwierdzi tylko męża w poziętem tak nagle postanowieniu.

— Jeżeli się oświadczy, to poczeka na powrót Jagienki — odpowiedział mąż ze zwykłą sobie stanowczością człowieka, trzymającego w ręku losy rodziny i złożył uroczysty pocałunek na czole żony.

XI

W świecie literackim warszawskim wrzało jak w ulu.

Dwutygodnik społeczno-literacki „Wydma“, pismo, które w imię religii i moralności równać umiało strychnicem obelg wszystkich, co ze sztandaru nie chcieli robić sobie płaszczyka ani maski, wystąpiło z dwoma artykułami niezmiernie sensacyjnymi.

Jeden, podpisany pseudonimem głównego współpracownika pisma, nosił tytuł „Pseudo-sława“ i wymierzony przeciwko Eferji, był jednym ciągiem brutalnych napaści i wymyślań grubiańskich.

Odzierał ze czci niewieściej kobietę; talent autorki sprowadzał do mikrosko-

pijnie szczupłych rozmiarów, wykształcenia jej zaprzeczał, a wpływ na społeczeństwo nazywał powodzeniem blagi i tryumfem samochwalstwa.

Wielbicieli jej talentu mieszał z błotem, jako ludzi moralnie tak nisko upadłych, że nie należy im się nic więcej, prócz Dantowego „Guarda e passa.“ O ile zaś byli krytykami, mieszał ich z błotem tak samo, odmawiając im w dodatku wszelkiej kompetencji sądenia, wyrokowania, wzbraniając im nieledwie czytania utworów literackich „Pseudo-sławy.“

Nie pierwszy to raz rzuciła się „Wydma“ na Eferję, lecz nie robiła sobie nic autorka z napaści pisma, które więcej poczytnem było, niż wpływowem, a z powodu karczemności swego tonu wzbudzało niesmak w ludziach, dbających o godność piśmiennictwa.

Lecz artykuł, zamieszczony w numerze ostatnim, dojął ją do żywego z tej głównie przyczyny, że uważać go można było za ostateczne postawienie kropki nad i.

Artykuł bowiem zestawiony był umyślnie z wstępnym, niepodpisanym, lecz opatrzonym przez redakcyę wzmianką: „Szanowny autor, ulegając naszym prośbom, pozwolił nam drukować pracę, poświęconą roztrząsaniu zagadnienia, jednego z najważniejszych...” i t. d.

Okazywało się zaś, że zagadnieniem owem jest kwestya rozvodu, omawiana z punktu widzenia ścisłej prawowierności, ściślejszej nawet, niż tego wymagał sam Kościół, bo autor, — wychodząc z założenia, że rozvodu niema, a jest tylko „unieważnienie małżeństwa,” — dowodził, że wyrok, małżeństwo unieważniający, wydanym bywa najczęściej przez sędziów wprowadzonych w błąd kłamstwami, tak zręcznie zestawionemi, że przybierają pozór prawdy i zdają się mieć jednolitość jej i spójność.

Dochodził też autor do wniosku, że prawowierny katolik ubolewać tylko powinien nad zjawiskiem tyle niepożądanem i świadczącym o omylności tych, których należy szanować, jako stróżów i szafarzy prawdy.

W żadnym jednak razie korzystać mu nie wolno z rzekomych praw, jednostce nadanych przez rozwód, są one bowiem wyłudzone podstępnie. Sumienie katolika, zarówno jak i uczciwość człowieka muszą czuć się do głębi oburzone mi zwycięstwem fałszu, a tryumfem żądź ulomnej natury ludzkiej nad zasadą, która czyni małżeństwo nierozzerwalnem, a krzywoprzysięstwo zbrodnią nazywa.

I kodeks napoleoński, jakkolwiek poczęty w głowach nieoświeconych światłem wiary, mądrze jednak postanowił, wzbrańjąc małżeństwa ze stroną rozwiedzioną, stronie, z którą popełnionem zostało wiarołomstwo małżeńskie. Instynkt samozachowawczy, stojący na straży zdrowia moralnego społeczeństw, zaprotestował tym sposobem przeciwko nadużyciom i zdrożnościom, w które popadłoby niechybnie społeczeństwo, gdyby prawodawcy, w zgodzie tym razem z czystą etyką chrześcijańską, nie byli powściągnęli wybryków namiętności zakazem nieubлагanym, a słusznym.

Artykuł napisany był dobrze. Zdobrze nawet, rzeczy można, bo nie tylko bronił zasady, lecz zdawał się bronić i interesu własnego.

Chłodną powierzchnię logiki, operującej pojęciami abstrakcyjnymi, wzdymał miejscami krzyk głęboko ukrytego protestu—czysto osobistej natury; krzyk, który autor starał się zagłuszyć pięknie brzmiącymi słowy gorliwości o dobro społeczeństwa.

A ktoś, kto by czytał artykuł ów bardzo uważnie, ze zmysłem krytycznym, nieufnością względem autora zaostrożnym, stwierdziłby raz jeszcze fakt, dość często w literaturze widoczny, że żaden linoskok nie wywija z taką zręcznością koziołków, nie wykonywa skoków tak karkołomnych, jak logika—dobrze nogą kopnięta przez tendencję.

Ale czytelnik przeciętny i niewtajemniczony nie zwykł zagłębiać się w ukryty sens artykułów, a jedyna osoba dla której mógł on mieć doniosłość praktyczną, nie chciała zastanawiać się nad

tem, kto mógł być autorem artykułu, posiadającego wszystkie cechy argumentu „ad hominem.“

Bo jakkolwiek oddawna otworzyły jej się już oczy na mierność Gruszczyńskiego, kochała go jednak tak gorąco, że widzieć nie mogła, jaką był lichotą moralną człowiek przez nią kochany.

Nie mogła—nie chciała może...

Z pożycia z mężem, lubiącym używać wyrażen więcej dosadnych niż wytwornych, pozostało jej w pamięci odezwanie się jego o sąsiadce, która porzuciła dom i męża dla pierwszego z brzegu młokosa:

„No! spaść z konia, to się każdemu zdarzyć może... Ale jeżeli już spadać, to z dobrego!“

Ona więc, biedaczka, wmawiała w siebie usilnie, że szkapina, która ją poniosła na bezdroża namiętności, była czystej krwi rumakiem...

Wmawiała to w siebie w tajemnicy przed świadomością własną, nie dopuszczając nawet myśli, że wybraniec jej du-

szy lichym jest i nędznym komedyantem, popisującym się przed publicznością, zawsze do otumanienia łatwą, łamańcami, którym nadawał pozory wzlotów w sferę ideałów najczystszych.

I całą siłą miłości swojej i dumy odpychała od siebie Eferja tę falę gorzkiego zawstyżenia, która uderza na kobietę, spostrzegającą, że godność jej i szczęście złożone są w ręce, wyciągające się pożądliwie po wawrzyny—na wierzbach zrywane, popalmy—wykrojone z łopianu.

Ach! fala ta na resztę życia wydziera nieraz kobiecie nie tylko szczęście jej i spokój, lecz to, co od nich droższe: godność i dumę, z którymi można iść przez życie wyprostowaną i śmiało ludziom w oczy patrzącą...

Artykuł o rozwodzie sprawił wrażenie ogromne. Domyślano się autora, który zresztą niebardzo wypierał się autorstwa, chociaż otwarcie nie przyznawał się do niego przed nikim.

Z rąk do rąk podawano sobie artykuł, któremu stosunki prywatne donnie-

manego autora nadawały znaczenie: dla jednych — programu życiowego, dla drugich — spalenia za sobą mostów.

A że poza mostem owym pozostała Eferja, więc w ciągu dni kilku artykuł obiegił całą Warszawę czytającą i znalazł się nawet ktoś życzliwy, co posłał Eferyi zeszyt „Wydmy“, zakresliwszy czerwonym ołówkiem wszystko, co się do niej odnosić mogło.

„Pseudo-Sławę,“ podpisaną przez głośnego szczekacza „Czujnego“ przeczytała, nie biorąc do serca napaści.

Lecz „Kilka słów człowieka świeckiego o rozwodzie,“ nasunęło jej wiele myśli smutnych, zamąciło radość zdjęcia z szyi obroży małżeństwa.

Obroża to tem boleśniej uwierająca, im niedołęźniejszą jest ręka klucz do niej dzierżąc, im łatwiej zrzucić ją może okuta nią szyja kobieca.

Szarpanie się najgwałtowniejsze nie wyżre ran tak bolesnych...

Nazajutrz po otrzymaniu rozwodu doniosła o tem Eferja Gruszczyńskiemu

w kilku słowach, tchnących głębokiem uszczęśliwieniem istoty, na wolność wypuszczonej, lecz nie przypominających mu wcale o zamiarach, których wykonanie zawisło od wyzwolin owych.

Nie odpowiedział na list jej ani słowa.

Gdy posłaniec Eferji przyszedł do niego po raz drugi, oznajmiono mu, że Gruszczyński wyjechał, nie mówiąc, dokąd się udaje, że zapewne powróci za dni parę.

Od tej pory upłynął już tydzień cały.

Nie odpisywał, nie powracał, przebywał niewiadomo gdzie.

A tymczasem pojawił się ów numer „Wydmy“, który zwracał uwagę wszystkich na Eferję i zajmował tak żywo opinię publiczną.

Ktoś widział Gruszczyńskiego w redakcyi, drukującej właśnie ostatnią, mierzalną tworzoną pracę Eferji i doniósł jej o jego powrocie.

Posłała natychmiast po niego; odpisał, że przyjdzie, gdy tylko pozwoli mu na to nawał zajęć.

Czekała znowu dni kilka, niespokojna i smutna, krzepiąc się i podtrzymując wiarą—nie w zachość niepokalaną człowieka, którego panem losu swego obrała, lecz w nieomylność głosu serca, w prawowitość wyboru, przez miłość dokonanego.

Wreszcie, gdy znowu upłynęło dni parę, a Gruszczyński nie pokazywał się u niej, wybrała się z odwiedzinami do jego matki.

Bywała u niej od czasu do czasu, z początku uproszona o tę „łaskę“, jak się wyrażał Gruszczyński, przez niego samego, a następnie dla zadośćuczynienia tej potrzebie dzielenia się z ukochanym zarówno poezją jak i prozą życia,—potrzebie, która jest ogniska domowego stworzycielką i kamieniem jego węgielnym.

Prosta lecz dobra kobiecina lubiła Eferję i chętnie się stosunkiem znajomości z tą wytworną panią, która umiała zniżać się tak chętnie i łatwo do poziomu inteligencyi, nie wybiegającej nad potoczność spraw życiowych, codziennych i drobnych, a podnoszonych do godności

obrzędki i wykonywanych z drobiazgowością fanatyczną.

Polubiła Eferję za jej prostotę i łatwość rozmawiania o rzeczach najbliższych, najpospolitszych, na które rzucić umiała błysk myśli i żar serca własnego, pokochała ją za ów zachwyt rozrzuwniony, z jakim słuchała Eferja opowiadań matki o synu, o jego przywiązaniu, dobroci, zdolnościach i cnotach.

Jeżeli cień choćby powątpiewania o tem wszyskiem mógł wkraść się kiedykolwiek do myśli Eferji, potrzebowała tylko posłuchać Gruszczyńskiej, aby skąpać się nanowo w zdroju wiary i uwielbienia, płynącym z serca matki w targane wątpliwościami serce kochanki.

A instynkt macierzyński ostrzegał matkę, że kobieta, dla której „Dolek mój“ niewyczerpanym był tematem rozmowy, nie była dla niego obojętną...

Gdyby jej kto powiedział, że syn jej ma stosunek miłosny z mężatką, oburzyłoby ją tak gorszące przeciw moralności wykroczenie.

Ale syn przyznawał się tylko do przyjaźni, jako jedynego uczucia, które istnieć mogło między nim a kobietą, młodo jeszcze wyglądającą, jak mówił, lecz dobrze już niemłodą.

Eferja zaś żadnych wyznań nie czyniła Gruszczyńskiej, ułatwiając jej milczeniem te układy z sumieniem, w które wchodzi najuczciwsze nawet kobiety, gdy macierzyństwo przemawia w nich silniej od rzeczywistości, na niekorzyść syna świadczące.

Gdy Eferja zadzwoniła do drzwi mieszkania Gruszczyńskiego w godzinie, o której wiedziała, że nigdy go w domu niema, otworzyła jej drzwi matka jego.

W gładkiej spódnicy beżowej i takimże samym kaftaniku z przybrukanem nieco obszyciem białem u szyi, w nieświeżym już czepeczku z czarnego tiulu na głowie, okrytej resztkami ciemno-blond włosów, mała, niepozorna, nie wyglądała wcale na matkę młodego człowieka, który tak wysoko nosił głowę i tak śmiałym wspinał się krokiem na wyżyny towarzyskie.

Wyglądała raczej na pocziwą, zabiedzoną nieco, starą sługę i za taką brano ją dość często ku nieopisanej desperacyi syna.

Zabronił jej był stanowczo otwierać drzwi przychodzącym, nie dlatego, aby jej trudu oszczędzić, lecz aby oszczędzić sobie kompromitacyi, na którą narażała go niejednokrotnie jej powierzchowność niepoczesna.

Dziś wszakże lokaj posłany został po sprawunki, pokojówka zajęta prasoowaniem, a tablica mosiężna, na drzwiach umieszczona, obwieszcza, że o tej godzinie nie ma pana w domu.

Podreptała więc do drzwi, suwając nieco nogami, obutemi w płóciennie pantofle bez obcasów.

Ujrzawszy przed sobą Eferję, zmieszła się; na zwiędłą twarz jej wybił wyraz zakłopotania i przykrości.

— Ach, to pani! — wykrzyknikiem powitała Eferję i nie dając jej przyjść do słowa, prędko, z szybkim i ciągłym mruganiem oczu mówić zaczęła:

— Dolka niema w domu... Nigdy go teraz niema... Ogromnie teraz zajęty... Ja sama nie widuję go prawie...

— Wiedziałam, że nie zastanę pana Adolfa — cichym i równym głosem odpowiedziała Eferja, niemile dotknięta przyjęciem Gruszczyńskiej. — Przyszłam do pani umyślnie, aby się o jej zdrowie dowiedzieć.

— Ach, tak? Jaka pani łaskawa!... Dziękuję! bardzo dziękuję... Może pani pozwoli dalej?

Eferja zwróciła się w stronę pokoju Adolfa, gdzie zwykle przyjmowała ją matka. Lubiła ten pokój duży, jasny, poważnie i ze smakiem, podług jej własnych wskazówek, urządzony.

Nad biurkiem, założonem książkami i papierami, wisały podobizny znakomitych pisarzy, a pomiędzy nimi piękny jej portret, przez nią samą ofiarowany Gruszczyńskiemu, ujęty w ramę z ciemnowiśniowego pluszu, na którym srebrniał pęk szarotek.

Mawiał jej wówczas Gruszczyński, że niedostępna jest a miękka, jak ów

kwiat, samotnie górskie ubielający, że, jak on, o czymś szlachetnem i wdzięcznem myśleć każe...

Dała mu więc ów portret z napisem: „Najmilszemu gościowi samotni — Szarotka“.

Nie kryła się ani z darem ani z napisem i portret od dwóch lat już przeszło wisiał nad biurkiem Adolfa.

Lubiła myśleć o tem. Wyobrażała sobie czasem, że twarz jej na płótnie odtworzona nabiera życia pod rozmiłowaniem spojrzeniem Adolfa, że usta uśmiechają się do niego, a oczy z nim współwczytują się w treść książki lub w narysowane na papierze wyrazy.

Dzisiaj drogę do gabinetu sobą nieledwie zagroziła jej Gruszczyńska.

— Ach, przepraszam panią, przepraszam... Tam porządki... Dolek kazał... Może do salonu?...

Nie kończyła zdań, mieszała się, dreptała niespokojnie po dywanowym chodniku przedpokoju.

Weszły do salonu, usiadły, ale rozmowa nie poszła dziś zwykłym trybem.

Eferja zmrożone miała serce przecuciem jakiejś czyhającej na nią przykrości i zeszywniała milczeniem, które odbierało śmiałość Gruszczyńskiej, nie umiejącej prowadzić rozmowy o treści, czerpanej z zasobów umysłowych lub z wypadków życia światowego.

— Zdaje mi się, że obecnością swoją odrywam panią od zajęć pilnych—rzekła wreszcie Eferja, widząc, że milczenie, nad miarę przedłużone, zaczyna się stawać kłopotliwem.

— Nie, nie, pani kochana — tłumaczyła się Gruszczyńska — nic nie mam w domu pilnego... Tylko że pani, jako kobieta rozumna, zaraz spostrzegła, że dzisiaj nieswoja...

— Tak... widzę to...

Gruszczyńska nie zaraz zdobyła się na odpowiedź. Dobrą, zszarzaną jej twarz powlokła chmura zafrasowania, ręce oskórze pomarszczonej i grubej, o krótkich palcach węzłowatych miętoszyły brzeg kaftanika.

— Ach te plotki, te plotki! — wy-

buchnęła nareszcie jęklwym głosem pokrzywdzonej — życie każdemu zatrują.

I spojrzała na Eferję, jakby z prośbą o szybkie przybywanie na ratunek.

— Jakie plotki? I dlaczego pani tak się nimi przejmuje?

— Brzydkie, niegodziwe... Na Dolka mego, na panią...

Urwała, przestraszona wygadaniem się mimowolnem i okiem rzuciła na Eferję.

Ale ta siedziała wyprostowana, spokojna, tylko rzęsy opuszczonych jej powiek chwiały się drżeniem niedostrzegalnem, a nozdrza klasycznego nosa rozděły się, jak u wietrzącego niebezpieczeństwo konia wysokiej rasy.

— Jakie plotki?—powtórzyła pytanie.

— A to, widzi pani, mówią podobno ludzie, że pani w Dolku moim... że pani z Dolkiem...—jąkała się Gruszczyńska.— Po cóż mam pani powtarzać? A on taki jeszcze młody, niedoświadczony... Pani jest mężatką...

— Obecnie być nią przestałam. Otrzymałam rozwód i pan Adolf wie o tem...

— Nie mówił mi nic, nie mówił... Ale cóżby to pomogło, proszę pani? Zawsze to takie plotki szkodzą młodemu człowiekowi... A pora mu już myśleć o ożenku...

— Tak?—przeciągle wymówiła Eferja.

— A tak, pani kochana, tak... Z młodzusienną panienną, skromniutką, pobożną. Ja nawet myślę, że już upatrzył sobie kogoś... A tu, ot! takie plotki.. Ach, jacy też ludzie niegodziwi... Gadają bez względu na jego młodość, na wiek pani...

— Czy kto pani wręcz o tem mówił?..

— Nie, dzięki Bogu, nie! Nie mówił mi nikt! Ale powtórzył ktoś Dolkowi... Dolek mój, jak to pani wiadomo, delikatny jest bardzo i taktowny... Zmartwił się ogromnie. Bo co to, proszę pani, takie dla mężatki uczciwej ubliżenie? A i dla niego także na niekorzyść... Zmartwił się, przelął...

— Jeżeli o mnie, to niepotrzebnie.

— O! i o siebie także... Cóż dziwnego? Nie może tak żyć przecie bez żony...

Przelał się więcej może posądzenia o taki grzech ciężki... A że to zawsze szlachetny i o drugich pamiętny, więc zaraz portret pani...

— Wyrzucił? — z goryczą spytała Eferja...

— Ach, pani droga, gdzieżby tam?— Wynieść kazał ze swego gabinetu i powiesić w moim pokoju sypialnym. Ja teraz z milej pamiątki korzystam! A ów napis...

— Tego wynieść nie można—z naciskiem rzekła Eferja — ale wyciąć go można.

— Nie chciał psuć płótna i zamalować go kazał pękiem szarotek. Bardzo dobrze wygląda... Może pani zechce zobaczyć?

— Nie... Śpieszę się do domu...

— To pani innym razem zobaczy... Dolek mój sam zapewne opowie pani to wszystko. Tylko teraz bardzo zajęty...

— Bez wątpienia...

— A ja takiem się rozgadała, że nawet zapomniałam powinszować pani

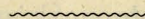
rozvodu... Chociaż to niebardzo i jest czego winszować! Zawszeć to rozwód... grzech i naruszenie świętości małżeństwa... Tylko, że to pani w swoim wieku nie myśli już zapewne o wyjściu za mąż, to i grzechu nie będzie, a kobiecie najenotliwszej miło jest użyć trochę swojej woli, chociażby pod koniec życia, kiedy nie można za młodu...

— O! bezwątpienia...

— Szkoda, że pani tak się śpieszy. Teraz, kiedy już powiedziałam, co najtrudniejsze, mogłybyśmy pogawędzić sobie swobodnie.

— Tak... Ale ja śpieszę się bardzo. Żegnam panią — jak przez sen mówiła Eferja, zmierzając ku wyjściu.

— Żegnam, żegnam drogą, najlepszą panią. A proszę nie zapominać o mnie, bardzo proszę...



XII

Od dwóch już miesięcy gości w Leszczycowie Jaworzyńska z Jagienką.

Gwarno tu, wesoło i hucznie. Stary, niski, gontami kryty dwór mieści pod swoim dachem liczną gromadkę rodziną, złożoną z dziewięciorga dzieci różnego wieku i wzrostu.

Pani Wilczewska tak przywykła do nieustannej wrzawy ich głosów, do tupotu nóg, w ciągłym ruchu będących, że nie bez pewnej goryczy wyrzuca siostrze, iż ta chłopaczków swoich do Leszczycowa nie przywiozła.

— Bo coby to komu szkodziło?—powiada.—Troje więcej, troje mniej... Jeżeli tacy, jak Jagienka?...

Bo Jagienka, najstarsza w gronie młodzieży domowej, od razu przypadła do serca i ciotce i wujowi i całemu rodzeństwu ciotecznemu.

Wśród opalonej, krzykliwej, pyzatej, dzieciarni wujostwa, wyglądała jak kwiatek, wątły nieco, lecz tą wåtłością właśnie pociągający.

Ożywiła się jednak, nabrała cery, przezroczystą białosć jej twarzy różowi delikatny obłoczek rumieńca, usta kwitną barwą kwiecia migdałowego, gdy niem prątki wysmukłe maj obwiesi.

Matka nacieszyć się nie może dobrym jej wyglądem, wuj, wogóle do komplementów skory, a zdania swego nigdy nie obwijający w bawelnę, oświadcza jej w żywe oczy, że jest najśliczniejszym gościem, jaki kiedykolwiek przebywał w Leszczycowie.

Tego samego zdania zdaje się być gość najczęstszy, p. January Darski, daleki krewny pana domu i przyjaciół jego najbliższy.

Nie pierwszej to już młodości kawaler, człowiek zacności nie zrównanej,

zawołany gospodarz, zamożny, rządny, rzetelny, a dobry, jak ta ziemia plonująca corocznie.

Ożenienie jego jest główną troską pani Wilczewskiej, i byłoby rzeczą nader do uskutecznienia łatwą, bo Darski doskonałą jest partya, a w okolicy panien nie brak.

Lecz January, jak go tutaj zwą popularnie, nie jest łatwym w wyborze.

Jak wszyscy starzejący się kawalerowie, pragnąłby mieć przy swoim boku pączek, zaledwie z osłonek dzieciństwa wychylony, choć czarne jego włosy oprószyła już siwizna przedwczesna.

Wiadomo zaś, że „z siwą głową do dziewczyny, to jak do psa z jeżem.“ Zwłaszcza, gdy dziewczyna naturą subtelną jest i marzycielską, a wyrachowaniu wszelkiemu obcą.

Taką jest właśnie Jagienka i to jest jedyną wadą, jaką dostrzega w niej ciotka.

Nic zresztą nie wie o tem, że tam, w dalekiej Warszawie znajduje się ktoś, komu Jagienka oddała już serce swoje.

Bo, chociaż woli rodziców posłuszna, Jagienka przyjechała chętnie do Leszcycowa i nie przykrzy tu sobie bynajmniej, to jednak nietylko nie zapomniała o Gruszczyńskim, lecz teraz właśnie w długich i badawczych z sercem własnem rozmowach, zrozumiała, że go kocha i że miłość dla niego jest źródłem owego szczęścia, którego miękkie, pieściwe fale niosły ją w krainę marzeń tak świetlistych i uroczych, jak owe obłoczki poranne, co się snują po niebie o przedświecie—z mgieł niby nocnych zwiane, a już brzasku różanością przesiąkłe.

Nie wątpiła o tem, że w niedalekiej przyszłości zostanie żoną Gruszczyńskiego, a chociaż czysta jej wyobraźnia nie malowała przyszłości farbami jaskrawymi, to z upodobaniem spoczywała przecie myśl Jagienki na owem spoufaleniu małżonków, dozwolonem, niewinnem, którego dowodem widzialnym było „całowanie,“ tak często powtarzające się w rozmowach Jaśki.

I dotykała go myślą tem ciekawiej, że gaską była rzetelną. Ani jednego

z tych pocałunków, na które pozwalają rozflirtowane „pół-dziewice,“ nie miała na swoim sumieniu panińskiego.

Schyłek pięknego dnia sierpniowego wywabił całe towarzystwo na werendę i na dziedziniec, zasłany ogromnym, starannie utrzymywanym trawnikiem, zarzucony tu i owdzie klombami krzewin ozdobnych.

Tuż koło bramy wjazdowej staroświeckiej, z ostrzeszkiem, z furteczką nad schodami i przełazem na podmurowaniu, znajdował się duży staw czworokątny, kamienną cembrowiną otoczony. Naokoło rosły dwoma rzędami topole włoskie, śmigłe, sztywne, połyskującym liściem rozszeptane z wietrzyka najłżejszego podmuchem.

Taki sam rząd podwójnych topoli okalał dziedziniec cały wraz z ogrodem i szumem, szeptem, dreszczen, wzdychaniem, pogwarem życia roślinnego wtóruje ludzkiego życia odgłosom.

Poszumów tych i poszeptów lubi słuchać Jagienka. Godzinami całymi prze-

chadza się nieraz pośród topoli i wsłuchuje się w tajemnicze ich gwary, od których nie umie czasem rozróżnić bicia własnego serca.

Śni tutaj na jawie precudne sny o szczęściu, tak prostem i dobrem—jak jej serduszko dziewczęce, tak dobroczynnem i ciepłym—jak to słońce sierpniowe, w którego promieniach chylą się kłosy ziarniste i dojrzewa owoc pachnący.

Czysty to sen i święty, i nędzarzem jest ten nieszczęsnym, kto go nie marzył ani razu...

Wieczór cudownie jest piękny. W powietrzu unoszą się zapachy zbóż dojrzających; rozlewne, szumiące morze zieleni paruje tchnieniem balsamicznem; zwierciadlana szyba stawu odbija ciemną zielen topoli i słońcem lśniące ich wierzchołki, pod błękitem niebieskim od lat już wielu zadumane.

W jednym z rogów dziedzińca znajduje się plac, do krokieta przeznaczony i tam skupiło się całe młode towarzystwo, nad którym góruje Jagienka wzro-

stem wybujałym i jasną główką o białej, drobnej twarzy, lekko opalenizną położonej.

Ta opalenizna wprawia w zachwyt specjalny p. Januarego, który na przebijające przez nią żyłki błękitne spogląda okiem doświadczonego znawcy wdzięków niewieścich.

— Cukierek, nie panna! — zwierza się Wilczewskiemu.

A „cukierek“ z młotkiem w ręku, z kulą, wziętą pod stopę wąską, w pantofelek morderowy obutą, w podpiętej na prawym boku białej sukience musli nowej, wygląda nadzwyczaj ponętnie i January żałuje, że ociążałość zbliżającej się czterdziestki, nie pozwala mu należeć do partii krokiet.

Asystuje jej jednak nieodstępnie, dlatego głównie, aby od czasu do czasu zamienić słów kilka z Jagienką.

Okrągły, pulchny, z szerokimi ustami, złożonemi do uśmiechu, z dobrem i frasobliwem ciemnych oczu spojrzeniem, wyglądał na człowieka, którego natura stworzyła do wesołości i pogody, a twarde

warunki rzeczywistości uczyniły stroskanym.

Co stanowiło przedmiot jego troski? Nie wiedział nikt, najmniej może on sam. Życie składało mu się łatwo, bo pragnień wygórowanych nie miał wcale, a pracę swoją kochał i owoce jej zgarniał bez chciwości.

Wykształcenie wyższe zastępowała mu ogląda towarzyska i zdrowy rozsądek, aż do przenikliwości zaostrzony, a chociaż dobroć i słodycz powlekał starannie pokostem skrytości i chłodu, w nikogo jednak wmówić nie potrafił, że jest nieużytym i szorstkim.

Dla dzieci Wilczewskich wzorowym był, choć dalekim wujaszkiem, a że dzieci pokochały niezmiernie Jagienkę, najśmielsze więc z drobiazgu przerwało chwilową przy obiedzie ciszę zapytaniem:

— Wujaszku, czy wujaszek ożeni się z Jagienką? Ona już przecie duża i ożenić się może?

Jagienka roześmiała się wesoło, tak ją zabawił żart Mieczysia, a ciotka po

raz pierwszy w życiu uczuła ochotę nazywania ją „gąską“ w oburzeniu.

Bo nie jest-że gąską panna, biorąca to za żart dziecięcy, gdy braciszek w naiwności serca podsuwa bogatemu kawalerowi myśl starania się o nią.

Teraz więc, gdy obie panie usiadły do gawędy na werendzie, Wilczewska uznała za stosowne zwrócić uwagę siostry na zbytek naiwności, zaszkodzić mogący Jagience.

— Józiu droga—zaczęła, niezupełnie pewna siebie, bo imponowała jej ta siostra, taka strojna, taką atmosferą dostatku otoczona—czy nie uważasz, że śliczna twoja Jagienka mogłaby...

— Być mniej naiwną? — podpowiedziała Jaworzyńska, domyśliwszy się, o co siostrze idzie.—Moja Zosiu, ja jej zawsze to mówię...

— A cóż ona?

— Ona? Zawsze jednakowa: jak dziecko prosta, nie ukrywająca tego co myśli i jak dziecko, wszystkiemu albo

się dziwi, albo wierzy. Jaśka o półtrzecia roku od niej młodsza, a daleko więcej ma taktu.

— Sama powiedz, co sobie mógł pomyśleć January, gdy roześmiała mu się dziś w żywe oczy, zamiast udać, że nie słyszy konceptu Mieczysia?

— Pomyślał, że dziecko z niej jeszcze, chociaż niby panną jest na wydaniu.

— Ale po co ma to myśleć? Gotów się zrazić do Jagienki i odstąpić od zamiaru starania się... A to partya, jakich mało!

— Alboż pewna jesteś, że ma zamiary?

— Zupełnie pewna. Mówił o tem otwarciu z moim mężem, napomynał i mnie parę razy. Jeżeli chcesz, gotów odkryć się z niemi przed tobą...

— O, nie! — broniła się Jaworzyńska — nic przez to nie wskóra, bo ty wiesz, że ja bez męża decydować nie mogę. January jest bezwątpienia człowiekiem bardzo zacnym i partyą nie do

odrzućnia, ale trzeba, żeby się dał poznać memu mężowi i... żeby się podobał Jagience — dokończyła, jakby wahając się nieco.

— Do Nadbystrza pojechać powinien i pojeździe. A Jagienka? Zlituj się, cóżby mu zarzucić mogła? Dobrego urodzenia, majątny, szanowany ogólnie... A ty, która jesteś tak szczęśliwa z człowiekiem, o tyle starszym od ciebie, nie możesz przecie czynić Januaremu zarzutu z różnicy wieku?

— Ale może go czynić Jagienka...

— Takie dziecko! Czy ona zna się na tem?!

— I dziecko wiedzieć może, co mu do szczęścia potrzeba. Jagienka jest naiwną, lecz nie jest głupią. Bywała już zresztą trochę, poznała młodych ludzi...

— Czy starał się już kto o nią?

— Mógł się starać ten lub ów z młodzieży. Mógł się jej nawet podobać... Nie przyrzekliśmy jej jednak nikomu.

— Jakież macie plany co do jej przyszłości?

— Żeby była szczęśliwą! — z przejęciem odparła Jaworzyńska. — Jagienka za mąż pójdzie za głosem serca i zgodnie z wolą ojca. To jedyny plan, jaki mamy. A znając rozum i serce mego męża, wiem, że to plan najlepszy.

— Nic jednak nie masz przeciw Januaremu?

— O! nic wcale! Nie chcę wszakże, aby staranie się jego o Jagienkę stało się dla niej widocznem, dopóki się nie dowiem, jakie zdanie mieć będzie mój mąż o Januarem. O Jagienkę jestem spokojną, ta nie domysli się niczego i ośmielać konkurenta nie będzie.

— A, tego to i ja jestem pewną! — zaśmiała się Wilczewska — sądząc po jej śmiechu przy obiedzie.

Zaśmiała się i Jaworzyńska i nie było już o tem mowy pomiędzy paniami starszemi.

Ale wieczorem, gdy matka i córka znalazły się same w pokojach, które na ich użytek oddano w oficynie, zagadnęła Jaworzyńska Jagienkę, w białej bluzie podobną do snu księżycowej nocy letniej:

— Jagienko, dlaczego tak śmiałaś się dzisiaj z tego, co powiedział podczas obiadu Mieczysław?

— Ach, to mamusia zauważyła? Nie mogłam się powstrzymać... Doprawdy nie mogłam, choć wiem, że to nieprzyzwoicie śmiać się tak głośno.

— I to także, ale przedewszystkiem śmiech twój mógł sprawić przykrość panu Januaremu.

— Dlaczego, mamusiu? Przecież ja się nie z niego śmiałam!

— Jeszczeby tego brakowało! — oburzyła się na córkę Jaworzyńska.

— Ale ten Mieczysław taki zabawny! — tłumaczyła matce Jagienka, jeszcze teraz wspomnieniem owej chwili rozśmieszona. Jakże można powiedzieć coś podobnego!

— Zapewne, że nie jest to w zwyczaju, aby zachęcać młodych ludzi do starania się o panny...

— Kiedy to właśnie najzabawniejsze, że nie było tam żadnych młodych ludzi!

— Był przecie pan January?

— On chyba o nikogo już starać się nie może. Musi być w wieku tatusia albo wujka Stasia?

— Wilczewski młodszy od twego ojca o lat dwadzieścia, a pan January nie ma nawet czterdziestu.

— Nie byłabym się tego domyśliła.

— Ty bo zawsze jesteś nieuważna!

— Nie wiedziałam, mamusiu, że trzeba uważać na lata panów... A pan January nie obraził się na mnie, pewna jestem, bo cały czas rozmawiał ze mną.

— Tak? O czymżeście rozmawiali?

— Pytał mnie, czy lubię wieś, gospodarstwo, czy nie nudziłabym się, mieszkając na prowincyi. Mówił, że przyjemnieby mu było mieć w domu młodą żonę, że miałyby śliczny ogród i kwiaty, że nie żądałby, aby się zajmowała gospodarstwem kobiecem, chodziła do obór i do kurników, tylko żeby służba wiedziała, że ma panią, a on czuł, iż ma towarzyszkę.

— Dobrym będzie widać i kochającym mężem... Cóżes mu na to odpowiedziała?

— Z początku nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo wydawało mi się dziwnem, aby człowiek w tym wieku myślał o żonie...

— Twój ojciec starszym był, żeniąc się ze mną, a ja miałam lat siedmnaście zaledwie skończonych...

— Nie pomyślałam o tem.

— Szkoda! Nie byłabyś miała kłopotu z odpowiedzią — z ironią mimowolną zauważyła matka.—Cóż dalej?

— Nie powiedziałam panu Januaremu, że jest zastary, aby myśleć o ożenieniu się, ale radziłam mu, aby wybrał sobie żonę niebardzo młodą i wychowaną na wsi.

— A on co?—spytała matka, wzruszyszy tylko ramionami z rezygnacją.

— On? Spojrzał na mnie tak jakoś, jakby mnie o co prosił i z tem swoim zafrasowaniem, z którego wiecznie się tu śmieją, rzekł: tylko „Ach, panno Agnieszko, jak mnie pani nie rozumie!“

Pomilczała chwilę, jakby przypominając sobie sumiennie, co więcej powiedzianem być mogło i sposobem komentarza dodała:

— Ja wiem, że nie jestem bardzo mądrą, ale rozumiem przecie, co do mnie mówią... Udałam więc obrażoną i rzekłam: „W każdym razie radzę panu ze szczerzego serca.“ Przyszła na mnie kolej grać, więc musiałam myśleć o kuli, nie o panu Januarym, a on widać zastanawiał się przez ten czas i zrozumiał, że mówiłam tak przez przyjaźń dla niego, bo zaraz potem spytał mnie, czy mu wolno będzie przyjechać do Nadbystrza.

— Pozwoliłaś, ma się rozumieć?

— Moja mamusiu, czyż mogłam zabronić? Nawet namawiałam go bardzo... Powiedziałam, że Nadbystrze jest miastem bardzo starożytnem, że dużo ma ciekawych zabytków, pamiątek, że zobaczyć je warto. Prosiłam nawet, żeby, będąc w Nadbystrzu, był także i u nas...

— A to szczęście, żeś się domyśliła!

— Moja mamusiu!—urazona w swej godności, odparła Jagienka—wiedziałam

przecie, że tak wypada... Krewny przecie wujostwa, taki dobry dla dzieci... Powiedział dziś Mieczysiovi, że jeżeli na jakieś jego zapytanie... zapytanie Mieczysia—objaśniła—wypadnie odpowiedź pomyślna, to podaruje Mieczysiovi kucyka! A Mieczys tak kucyka mieć pragnie!

Tak widoczną było rzeczą, że zamiarów Januarego nie domyśla się wcale, że matka, chcąc zakończy rozmowę, przypomniła jej spóźnioną porę nocną.

Ale Jagienka, rozgadawszy się na dobre, nie miała jeszcze zamiaru zasypiać.

— Mamusiu, kiedy powracamy do Nadbystrza? — po chwili milczenia zapytała.

— Śpieszno ci?

— Tatus tam został... sam... I wszyscy...

— No, nie wszyscy są sami—pocieszała ją matka żartobliwie. — Kocia ma Jaśkę i Ignasia, ojciec Gutka i chłopców. Miewa też zapewne i gości...

— Z Warszawy?—podchwyciła Jagienka z żywością.

I gdyby nawet Jaworzyńska nie wiedziała, co się dzieje w sercu Jagienki, to już z tonu, jakim wymówione zostało to zapytanie, wywnioskowaćby mogła, że w Warszawie szukać należało głównego powodu niedomyślności Jagienki względem zamiarów Januarego.

A January, powracając do siebie, z miłością obejmował wzrokiem swoje pola. Snopy żytnie, rozrzucone po polu, podobne były w bladym świetle księżyca do kobiet, białym rańtuchem odzianych, krępych, na klęczki przypadłych, jak gospodynie starowne, o powodzenie roboty jakiejś zatroskane.

Kopy pszenne, przysadziste i zażywne wywczasowywały się już sobie spokojnie w poświacie pełni sierpniowej; od rżysk ciągnął zapach traw, rosą zwilżonych...

Powagą dosytu i ciszy wiało od tego szmatu ziemi dziedzicznej, szeroko rozestanej pod ciemną ścianą boru.

A z boku czerniły się zabudowania dworskie, topole i lipy zwartym stały

zastępem na straży starego domostwa, które pan January pragnąłby oddać czemprędzej pod rządy młodej pani.

I jadąc, rozważał szanse powodzenia.

Doszedł nareszcie do wniosku, że rodzice niewątpliwie za nim będą.

— A panna? — w myśli zapytywał sam siebie, z żałościwszem niż kiedykolwiek spojrzeniem.

— Panna?—sam sobie odpowiedział. —Panna cukierek najprzedniejszy. Słodkie to, dobre, niewinne... Nie myśli jeszcze o kochaniu, to rzecz jasna... I takie to młodziutkie, że pójdzie bez wahania za tego, kogo jej przeznaczą rodzice. Dobrą będę miał żonę. I ładniutką, bardzo ładniutką! — dodawał, lubując się wspomnieniem owej siateczki błękitnawych żył, przebijającej na skroniach Jagienki z pod opalenizny.

XIII

Życie podobnem jest do schodów. Stopnie bywają wysokie i strome, albo łagodnie pochyłe i miękkim dywanem wysłane... Jak się trafi!

Zawsze jednak wejście na nie wymaga wysiłku i nie należy do momentów przyjemnych. Całe szczęście, że wypoczywać można na półpiętrzach, na ławeczkach...

Szanować je trzeba i cenić. Dają nam chwilę wytchnienia i pozwalają nabrać sił do dalszego pięcia się w górę.

Takiem półpiętrzem stało się dla Eferji przybycie kuzynki, z którą łączyło ją raczej wspomnienie wspólnie przeby-

tej młodości, wspólni znajomi i krewni, niż istotne powinowactwo ducha.

Pani Helena nie była inteligencją wyjątkową i umysłowości swojej nie poddawała uprawie zbyt starannej.

Ale miała dużo wrodzonego rozsądku i taktu, dużo znajomości życia i słowa z ust jej wychodzące były zawsze wernym odbiciem myśli jasnej i prostej, a czasem zadziwiająco przenikliwej i trafnej.

Małżeństwo nie przyniosło jej zbyt wielkiego szczęścia. Piękny i przedsiębiorczy inżynier zaplątał się w jakieś interesy, z których nie wyszedł z dobrą sławą nie naruszoną, nadszarpał mienie żony, rozpił się dla zalania frasunku; kręcił się lat parę po Warszawie, staczając się coraz niżej, aż wreszcie znikł gdzieś bez wieści, co pozwoliło Helenie schronić się z resztkami mienia na prowincję.

W miasteczku powiatowem, położonem w jednej z najbardziej malowniczych okolic kraju kupiła sobie dworek niewielki, ukryty w gęstwinie bzów, aka-

cyi, lip, czeremch, jaśminów, wszystkiego, co kwitnie białą i pachnie czerpaną z ziemi prawdą życia. Za dworkiem leżał obszerny sad owocowy, poza sadem cztery włóki dobrej ziemi i małe to gospodarstwo, z zamięłowaniem i znajomością rzeczy prowadzone, dawało Helenie środki do życia i stało się głównym jego celem.

Od świtu do wieczora zajęta, tak sobie życie wypełniła pracą, że nie została w niem najmniejszego kąta, przez który weisnąłby się mógł żal, poczucie osamotnienia i, najgorsze ze wszystkiego, rozpamiętywanie ubiegłych chwil życia — tej przeszłości, co choćby pamięcią już tylko rozpoznawana, nie bólem, wchłaniania jednak w siebie część energii, potrzebnej do podolania zadaniom chwili bieżącej.

Od czasu do czasu odwiedzała Helena Warszawę.

— „Schłopiała!“ — z ubolewaniem wzgardliwym mawiały o niej dawne znajome. I w rzeczy samej z wytwornej niegdyś osóбки zmieniła się w istotę rozmyślnie sprostaczającą, w istotę, która po

długiem i milczącym łamaniu się z sobą oddzieliła się od wszelkich bodźców delikatniejszej natury skórą, przez zgrubienie od wrażliwości uwolnioną.

Nieźle jej z tem było, jak mówiła. Otoczyła się w swoim Okrawku końmi, bydłem, drobiem, kotami, psami. Wszystko syte, dobrze utrzymane, obłaskawione, wszystko żyło w zgodzie z sobą, łąsiło się do ludzi i było przez nich pieszczone.

Ulubieńcem pani domu był jednak piękny pies owczarski, długi, na krótkich nogach, jedwabistą fręzlą obrosłych, o wydłużonym pysku i mądrych, złoto-orzechowych oczach. Szczenięciem był małym, gdy go dla niej odłączono od matki-irlandki i przez Helenę wychowany, rozumiał każdy jej ruch i każde słowo.

Z czasów jeszcze owych, gdy we łzach przepędzała noce całe, a Zostań lizał jej ręce, skomląc cicho, pozostało jej dla niego uczucie tkliwej nieledwie wdzięczności.

Bywają bowiem chwile, w których obecność przy nas, choćby tylko zwierzęcia przywiązane, dodaje znękanemu sercu otuchy i dopomaga mu w przedłużaniu wysiłku życia.

Raz na rok dawała Helena na Mszę za duszę męża. Nie z tego powodu, aby miała zupełną pewność jego śmierci, lecz aby pewność tę wmówić w siebie, aby mózdz być spokojną o swobodę swoją i spokój, o resztki mienia i co dzień jej milszy warsztat pracy, aby mózdz wreszcie żywić błogie przeświadczenie, że spełnia akuratnie obowiązki dobrej żony, modlitwą dopomagając swemu mężowi do wybrnięcia z zatargów, jakie opój i ladaco mógł mieć ze sprawiedliwością pozagrobową.

Należąc wiekiem do tego pokolenia kobiet, które już jest protestem, a nie jest jeszcze świadomie wytkniętą dążnością, wierzyła tylko w niektóre prawdy. Wierzyła jednak w nie tak silnie, że całe jej życie ulegało ich przemocy.

I na podstawie tych wiar wyrobiła

sobie własną filozofię życiową, opartą na przeświadczeniu głębokiem, że umiejętność unikania nieszczęść jest najwyższym dowodem rozumu, że zresztą nie warto kłócić się z życiem ząb za ząb, bo ono jest równie uparte, jak głuche.

Przyrzekła sobie, że mu już nie powie ani słowa, że żyć będzie dniem dzisiejszym jedynie i zbyt rozsądna, aby nie być trochę samolubną, mawiała tonem głębokiego przekonania:

— Wola nasza nie ma wpływu ani na bieg rzeczy, ani na postęпки ludzi. Wszystko idzie trybem sobie właściwym, od naszego chcenia niezależnym... Najlepiej więc nie mieszać się do niczego i zobojętnieć na wszystko. Nawet na szczęście... Dla zwierząt tylko można nie obojętnieć — dodawała — bo psu powiesz: „Zostań!” i usłucha. A szczęście nie usłucha, choćby się je na klęczkach błagało...

Wydawała się egoistką i była nią prawie, nie znajdując w życiu nic i nikogo, dla kogo wartoby było się poświę-

cić. Wiedziała z doświadczenia, że nikomu i nikomu nie można powiedzieć: „Zostań!”.

I mowa jej była czasem cierpka i gryząca, jak najzjadliwszy z kwasów, znanych chemikom...

Eferja lubiła Helenę i z przyjemnością spędzała nieraz lato w Okrawku, gdzie było czysto, cicho, dostatnio i wygodnie.

Więcej jednak lubiła przyjmować ją u siebie, i mieć ją za gościa przez parę tygodni niekiedy.

Zdawało się jej nieraz, że w atmosferę jej domu, ciężką od przeżytych tam wzruszeń serdecznych, od poniesionych wysiłków myśli twórczej, wnosi z sobą Helena lekkie i wolne tchnienie powietrza, nasiąkłego świeżością bzów, akacyi, lip, czeremch, jaśminów, wszystkiego, co kwitnie białe i pachnie czerpaną z ziemi prawdą życia.

Wiązał zresztą obie kobiety, tak usposobieniem odmienne, łącznik—jeden z najsilniejszych może. Razem spędziw-

szy młodość, mogły sobie rzucać wzajemnie pytanie: „Czy pamiętasz?“, mogły powoływać do życia ów cień, milczący i blady, jaki rzuca nam w duszę każda minuta ubiegła.

Helena, szczupła, średniego wzrostu szatynka, nie była brzydką i na wiek swój wyglądała młodo. Zaniedbywała się tylko w ubraniu ku wielkiemu zgorzeniu Eferji, ubierającej się z elegancją estетки i kobiety, która ciągle o tem pamięta, by oczom ukochanym miłego dostarczać wrażenia.

W ładnym saloniku Eferji, gdzie na miejscu najwidoczniejszym stoją sztalugi z portretem Gruszczyńskiego, siedzą na wygodnej kanapce obie przyjaciółki.

Helena przyjechała przed godziną zaledwie, ale już obeszła całe mieszkanie, poprawiła wiszącą krzywo firankę, zwróciła uwagę pokojówki na kurz, dostrzeżony na liściach filodendronu, kucharce wydała rozporządzenie, jak przechowywać należy zapasy z Okrawka przywiezione i jak na dziś jeszcze upiec pularde,

poczem usiadła obok Eferji i spojrzawszy uważnie w twarz jej wymizerowaną i smutną, spytała ją:

— Powiedzże mi teraz, coś robiła, aby tak zmizernieć?

— W tym celu specjalnie... nie — siląc się na uśmiech odparła gospodyni domu.

— Nic? To ja ci powiem, coś robiła. Uwierzyłaś, że możesz robić kilka rzeczy naraz: pisywać po całych nocach, martwić się po całych dniach, pić filiżankę po filiżance mocnej herbaty i nie jeść nic wcale, a przytem być jednocześnie w kilku miejscach i to w takich, gdzieś wcale być nie potrzebowała. Zmizerniałaś też tak, że cię już niema prawie... Co z ciebie zostało?

— O! zawsze jeszcze zostało dosyć... — z goryczą szepnęła Eferya.

— Czego? Duszy, serca, rozumu... może! Ale ciała zamało, stanowczo zamało...

— Cóż robić? Musisz mnie brać taką, jaką jestem...

— Daj mi się tylko wziąć... Zabrałabym cię z Warszawy dziś jeszcze. Zamęczasz się tutaj.

Nie zaprzeczyła Eferja. Spojrzenie jej pobiegło ku portretowi: schwyciła je w przelocie Helena i westchnęła.

Nie lubiła Gruszczyńskiego i nie do wierzała mu, a smutek i mizerność Eferji jemu przypisując, mówiła sobie w myśli, że z przyjemnością prawdziwą wyrzuciłaby portret za okno, a oryginał wyprawiała, nie tracąc czasu, tą samą, co portret drogą.

— Czy piszesz co teraz?

— Nic.

— A ten urywek: „Moja“, drukowany niedawno w „Snopie“?

— To dawniej napisany urywek większej całości, niedokończonej... Nie dokończę jej już...

I znowu oczy zwróciła na portret, jakby mówiąc mu spojrzeniem: „Nie dokończę, bo ową całość, „Ultima“, obmyślaliśmy niegdyś we dwoje... A teraz!...“

— Dlaczego? „Moja“ ślicznym jest drobiazgiem. A jak ją chwaliła krytyka!...

„Męski talent i pomysł prawdziwie męski, rzeczywistość odczuta po męsku z punktu widzenia prawdy. Kobiecość przejawia się tylko w subtelności uczucia.“ Tak chwalił cię sprawozdawca nie wiem już którego dziennika. Musiałaś czytać?

— Czytałam.

— I urosłaś w dumę? „Męski“, „męskiego“ i t. d. przez wszystkie przypadki i liczby! Myślałby kto, że to ten „superlatif absolu“, o którym uczyć się nam kazano za młodu! Pamiętasz?

— Pamiętam—uśmiechnęła się weselej Eferja, a Helena ciągnęła dalej:

— I pamiętasz, jak mówiłam zawsze: „Gdybym miała córkę, nie uczyłaby się gramatyki francuskiej.“ Pamiętasz?

— Pamiętam! Ale pamiętam również, że miała się nie uczyć wielu innych przedmiotów i w końcu nie iść nigdy za mąż. Pamiętam też doskonale, że wówczas już zrodziło się w mojej głowie przypuszczenie, że ty sama, jeżeli za mąż pójdziesz, to jedynie po to, aby móżdż wydać na świat ową córkę. Byłyśmy wówczas

w tym wieku, w którym się mniema, że małżeństwo jest warunkiem „sine qua non” macierzyństwa... Pamiętasz?

— A jakże! Pamiętam doskonale. Otóż widzisz, córki nie mam i nie miałam jej nigdy, ale gdybym ją miała, powtarzałabym jej zawsze: „Słuchaj, Jądziu czy Wandziu, czy jak ci tam na imię...” Pamiętasz też zapewne, że na imię tej córki nigdy nie mogłam się zdecydować?—Zwróciła się znowu do Eferji.

— Nazwijmy ją „Niebyłą”... Czy zgoda?

— I owszem! Więc: „słuchaj, Niebyła! Ani mi się waży myśleć, że mężczyźni są takimi doskonałościami, aby stać się do nich podobną, miało być ideałem kobiety. Kobieta przyszłości, a ty taką będziesz, Niebyła, musi być nieśkończenie wyższą etycznie od mężczyzny, takiego, jakim go dzisiaj znamy...

— Nie znałyśmy go wówczas, gdyś postanawiała, że Niebyła pozostanie niezamężną. Czy zresztą nic się nie zmieniło w prospekcie owego... wydawnictwa niedoszłego?

— Nie. Punkty zasadnicze pozostały te same, przybyło tylko parę innych. Musi żyć otoczona zwierzętami, i to od najmniejszego dzieciństwa.

— Aby naśladować matkę?

— Nietylko dlatego. Ale gdy będzie miała psy, kuce, osiołki, koty, świnki morskie, nauczy się panować nad stworzeniem rozumnem, choć niemem i zjednywać sobie przywiązanie i posłuch. Niech ma także moc drobiu i różne ptaszki oblaskawione, aby się nauczyła poznawać cenę okruszyny chleba i kropki wody... Nic nie masz przeciwko temu?— spytała tonem tak poważnym, jakby naprawdę bez rady Eferji wychowywać nie umiała córki.

Mówienie o tej córce było istną u niej manią, jedną z tych, którym podpadają tak często osoby samotne, nie lubiące rozwodzić się zbyt nad sobą i szperać w duszy własnej dla jątrzenia tam ran i dotykania blizn. Będąc dziewczynką małą, mówiła o córce żartem... Teraz kobietą będąc dojrzałą, mówiła o niej

zupełnie na seryo i na seryo również zapewniała ją Eferja, że nie widzi nic złego w otoczeniu Niebyłej całą menażerją zwierząt domowych.

Uspokojona na tym punkcie, Helena wyznała jeszcze:

— I musi umieć wbijać gwoździe!

— Zlituj się! A to poco?

— Bo ze wszystkich zajęć, jakim się oddaje, żadne nie sprawia mi tak żywego zadowolenia. Niechże więc dozna go i ona!

— Niech dozna, daj jej Boże... Ale nie rozumiem...

— Bo gdy to czynię, to mi się zdaje, że coś zwycięzam, przemagam, niszczę... I czynię to z całą świadomością pożytku, jaki stąd spłynie na wszystko, co przedstawia sobą ład, schludność, wygodę, ozdobność...

— Widzę, że myślałaś niemało nad wychowaniem córki.

— Cóż chcesz? Dzień w Okrawku, chociaż pracą zapelniony, ma przecież zawsze szesnaście do ośmnastu godzin, bo ja snu potrzebuję niewiele. Myślę więc...

— I do jakich dochodzisz pewników?

— O, żadnych nowych nie wymyślałam. Doszłam tylko do przeświadczenia, że praca zdrową jest dla człowieka...

— Któżby o tem wątpił?

— A widzisz! Pewniki moje to A, B, C filozofii życiowej, ale ja sobie do nich stosuję i życie własne i całe życie Niebyłej. Cóżbyśmy, ona i ja, poczęły bez pracy? Słuchaj... jakże ci tam?

— Niebyła—podpowiedziała Eferja.

— A więc: „Słuchaj, Niebyła, praca nietylko da ci kawałek chleba i pozwoli zachować godność kobiecą i ludzką, ale może przyjdzie chwila, że stanie się dla ciebie pociechą...”

— Przypuszczasz i to? — szepnęła Eferja.

— Ma się rozumieć, że przypuszczam—odrzekła Helena, rzucając na kuzynkę spojrzenie przelotne lecz przenikliwe.—Powiesz mi może, że i o tem nikt nie wątpi?... Ty, Eferjo, powiedzieć mi to możesz, bo Niebyła stać będzie milcząca, jak trusia... Ale ja powiem jej

jeszcze: „Praca oderwie cię od wpatrywania się w życie, w ludzi, w świat, co nie zawsze miłym, a często przerażającym jest widokiem; przeszkodzi ci w badaniu tego niezrozumiałego *ja*, które siedzi w każdym z nas.“ Czyż nie mam racji.

— Jak najzupełniejszą!

— Wszystko to wiem z własnego doświadczenia. I to jeszcze praca dobrego ma w sobie, że zabawia naszą próżność, oszukuje naszą bezsilność, wlewa w nas nadzieję miłych, pomyślnych zdarzeń i daje nam złudzenie siły, woli, niezależności... Ale tego nie powiedziałabym już Niebyłej, bo poco to dziecku wszczepiać pesymizm? My, między sobą, to co innego! Ja ci więcej nawet powiem: praca lekarstwem jest na niepochoje sumień zbyt drażliwych, stępia wstręty natur zbyt estetycznych. I to wiem z doświadczenia!

Eferja przypomniła sobie, jak, porzucona przez męża, wahała się przez długi czas Helena, czy ma prawo rozpo-

ządzać samowolnie niedogryzionemi okruciami majątku... Pomyślała też, że nie z łatwością przyszło zapewne tej światowej niegdyś wykwintnisi przywyknąć do obcowania z ludźmi prostymi, oraz do ujmowania w ręce wypieszczone i drobne narzędzi pracy gospodarskiej.

I patrzała na Helenę ze zdziwieniem osoby przywykłej zamykać się w sobie, na jakiejś wyżynie nie dla każdego dostępnej. A oto, pustelnica dobrowolna, spostrzega nagle, że droga do jej duszy niezatarasowana, że ją ktoś znalazł i idzie nią krokiem pewnym i śmiałym...

Z prostotą też i serdecznością odrzekła:

— Dziękuję ci, że doświadczeniem swoim dzielisz się ze mną, że tak mówisz otwarcie, do mnie wprost, nie do Niebyłej... Dziękuję i rozumiem cię... I ja pracowaćbym chciała... Ale dusza we mnie opadła, serce skurczyło się... myśl znieruchomiła, osłabła... Jakże mi pracować?

— Zmusz myśl do działania, do ruchu.

— I co z tego? Po pierwsze: myśl niełatwo ulega przymusowi... a powtóre, kto wie, czy nie cierpię na okropną chorobę: na świadomą niemożność przetworzenia myśli w czyn, nadania jej widomych kształtów słowa. To dla mnie jedyna postać pracy.

— Spróbuj wziąć się do innej.

— Ja? Do jakiej?

— Kup sobie taki Okrawek i gospodaruj. Wierz mi, to praca dobra... Uzdrawia!

— Nie umiem... Nie podołam...

— Podołasz! Czegobyś ty nie potrafiła? Sprościejesz trochę, nie tyle co ja, boś z natury już subtelniejsza, ale wyzbędziesz się przesubtelnienia i zdołdziesz zobojetnienie na wszystko, co nie ma bezpośredniego związku z pracą twoją.

XIV

Miesiąc już upłynął od dnia, gdy otrzymała rozwód Eferja.

Przez cały ten czas nie widziała się z Gruszczyńskim ani razu.

Wyjeżdżał... Był zajęty... Ważną miał sprawę do przeprowadzenia, wymagającą skupienia wszystkich władz umysłu.

Tak przynajmniej tłumaczył się Eferji w krótkich bilecikach, które od czasu do czasu otrzymywała od niego.

Matki jego nie widziała również ani razu.

Wróciła od niej z miłością własną w tyłu miejscach postrzepioną przez drobne ukłócia językowe, tak się czuła urażoną i obrażoną, tak bezpowrotnie,

choć niby łagodnie usuniętą poza obręb życia człowieka, który wszystkim był dla niej przez lat tyle!...

Przez jak długo? Nie pamiętała już sama.

Zdawało jej się, że — odkąd żyje. A tak się życiem czuła zmęczoną, jakby wymarłemu już pokoleniu starców rówieśnicą była — osamotnioną.

Zapominała, że śmierć sama zabiera nam mniej przyjaciół, niż życie...

Czuła tylko, jak osamotnienie wysysa jej z serca resztki nadziei, odwagi, siły, jak ją opląta dławiącym uściskiem węzowym.

I odsuwa ją gdzieś daleko, daleko, gdzie życie nie kwitnie, gdzie w odrętwiałości i osłupieniu bezmyślnem, w rozleniwieniu gorączki powoli trawiącej duszę, słucha się, jak spadają jedna po drugiej te krople deszczu, z których tworzy się fala czasu.

Dom jej obrzydł. Panowała w nim zazwyczaj cisza, dobra towarzyszka pracy, w której myśl wyteżona poczyną dzieło

i rodzi je, z wysiłkiem i męką, lecz do życia zdolne i kształtne.

Ta cisza stała się dla niej teraz udęceniem.

Zdawało jej się, że czyhają tu na nią widma tworów jej wyobraźni, że wszystkie postaci, przez nią do życia tu powołane, wyrzucają jej ból swój i mękę, mszczą się na niej za wszystko, co przecierpieć im kazała.

— Po co? Pocoś to uczyniła? — wołały, następując na nią szeregiem zwartym i groźnym. — Wydobyłaś nas z łona Niebytu, z pra-łona wszechistnień, dałaś nam duszę szeroko otwartą na nieznane swity i objawienia... Po co?

A ona odpowiedzieć im tylko mogła, że im szerzej otwartą jest dusza, tem głębiej kraje ją płóg cierpienia...

Skarżyły się jękiem żalosnym i łamały ręce z kwileniem niemowląt skrzywdzonych, lub groziły jej niemi z nieważnością ulegających gwałtowi...

Od widm tych uciekała w gwarne rojowiska życia miejskiego.

Lubiła towarzystwo i sama gościem była przez wszystkich pożądanym. Ale nudzili ją ludzie, ją, tak dotąd interesującą się wszystkim, co było powszednim, lecz szczerym życia wyrazem. Głupi sprawiali jej wrażenie — idiotów, a rozumni — blagierów.

Nigdzie zresztą spotkać nie mogła Gruszczyńskiego, którego szukała mimowiednie.

Jeździła na dalekie spacery zamiejskie, szukała samotności w ciszy parków, w cieniu drzew, z rosy jeszcze nie obeschłych.

Ale ból, nurtujący jej serce, ból wyrzucony po za obręb świadomości, szedł i tam za nią, uparty...

Wracała do domu, upadająca ze zmęczenia...

Każdy, kto cierpi fizycznie lub moralnie, czuje, jak go uwiera boleśnie ciężar dnia, dobiegającego do końca, czuje trwogę przed zbliżającą się nocą...

Eferja padała na łóżko wyczerpana i senna, lecz sen, który zamykał jej po-

wieki, nie mógł jej pograżyć w ową niepamięć błogą, która jest najdobroczynniejszym z leków...

W takim usposobieniu zastała ją Helena i od razu odgadła, że nadszedł dla Eferji jeden z tych momentów wyrocznych, w których najsilniejsze nawet natury poczynają oglądać się za oparciem.

Nie mówiły z sobą o Gruszczyńskim. Wiedziała jednak Helena, gdzie ma swoje źródło ów smutek, którego ukryć nie umiała Eferja, bo przywykła widywać u niej codziennie Gruszczyńskiego.

Przed półtora rokiem, gdy po raz ostatni bawiła tu dłużej Helena, spędzał u Eferji każdą godzinę wolną, wywiadywał się zazdrośnie, jak czasem swoim rozporządza, kogo przyjmuje, dokąd ma zamiar udać się w odwiedzin.

— Miłość taka, to prawdziwa niewola egipska—mówiła wówczas Helena, a Eferja uśmiechała się na to, tak szczęściem rozpromieniona, że nie chodzić się zdawała po ziemi, lecz płynąć na jakimś obłoku świetlistym.

Było to przed półtora rokiem...

A dziś?

Dziś—zapomniał, zdawało się, drogi do mieszkania, o którem mawiał dawniej, że jest domem dla jego serca i kolebką najlepszych jego myśli.

I pani tego domu napróżno tęskniła za nim rozpaczliwie, drżąc na każdy odgłos dzwonka, za każdym powrotem do domu gorączkowo przerzucając pozostawione podczas jej nieobecności bilety wizytowe.

Widok tej męczarni nieustannej, maskowanej pozorami swobody światowej, budził w Helenie współczucie żywsze, niż do niego być zdolną mniemała, napępiał ją złością głuchą zarówno przeciwko Gruszczyńskiemu, jak i przeciwko temu, co nazywała nieuleczalną głupotą kobietą...

...Coś trzeba przedsięwziąć!... myślała. Nie można przecież pozwolić, aby taki umysł jałował, takie serce kurczyło się do wyczuwania własnego tylko cierpienia! I to dla kogo? Dla takiego... chły-

stka!...—kończyła ze złością, nie przypuszczając jeszcze, że ma zupełne prawo powiedzieć: nikczemnika.

Koniec czerwca się zbliżał, a Eferja nie myślała jeszcze, dokąd wyjedzie na lato.

Helena miała nadzieję, że zabierze ją z sobą do Okrawka na jakie parę miesięcy, podczas których rozluźniony stosunek z Gruszczyńskim zakończy się zerwaniem zupełnem, a ona, Helena, wmówić potrafi w Eferję, aby kupiła kawałek ziemi i utopiła w niej wszystkie nadzieje i pragnienia, łona tej macierzy wzejść ukojeniem mające.

Jej samej zaczynało już być pilno do domu. Życie miejskie, którego chwilowym była komparsem, nużyło ją hałaśliwą zawrotnością swego biegu, a w Okrawku czekał na nią rytmiczny chrzęst kołysanych przez wiatr kłósów, poszumy drzew, otchnionych świeżością ranków letnich i Zostań, wybiegający na jej spotkanie za skowyczeniem radosnem.

— Jadwiniu — zaczęła więc raz po odejściu kilku osób, które przed wyjaz-

dem na letnie wczasy, pożegnać przyszedłszy Eferję—jakie masz zamiary na lato?

— Żadnych. Nie myślałam jeszcze o wyjeździe.

— Czas już myśleć, a nawet i wyjeżdżać wkrótce. Chciałam zabrać cię z sobą do Okrawka.

— Ach, gdyby to można... Odpoczęłabym...

— Cóż cię tu trzyma? Jedź! jedź razem ze mną...

— Nie mogę... Muszę jeszcze czekać...

— Na co?... Na kogo?... Jadwiniu, nie chcę się wdzierać w twoje tajemnice, ale ja... patrzeć na ciebie nie mogę...

— Nie dziwię ci się... Ja także obrzydłam sama sobie...

— A widzisz! Rzuć Warszawę i wszystko... I wszystkich! — ze znaczącym naciskiem kończyła Helena...

— Ach, gdybym mogła...

— Zechciej! Topniejesz tu, jak świeca na przeciągu.

— Jak ogarek... Jaka tam ze mnie

świeca!—z ironią zniechęcenia machnęła ręką Eferja.

— No, widzisz sama, widzisz... moja Jadwiniu złota!—krzepiła ją, jak mogła, Helena, nie mając śmiałości dotknąć słowem bolączki, o której myślały obie.—Zaprzepaścisz mi się tutaj, biedaczko!...

— Już się to stało... Wpadłam w potrzask życia i... przepadłam!...

— Ależ nie, nie, nie!—protestowała Helena.—Wyrwiesz się... ja cię wyrwę, ptaku mój piękny... Słuchaj, Jadwiniu, pomówmy raz otwarcie... Wiesz, że wiem wszystko...

Irzuciła ręką w stronę portretu Gruszczyńskiego.

Eferja uśmiechnęła się z rezygnacją istoty bezsilnej.

— Któżby o tem nie wiedział?... Nie tałam się... Poco? Nie traciłam nadziei, że zostanę wolną... Kochał mnie... A teraz...

Zamikła i odrzuciła głowę na wznak, a przymknięte powieki oczu drgały jej od napływu powstrzymywanych łez.

— A teraz?—pytając podjęła Helena.—Na co czekasz?

— Na niego...—z wysiłkiem niewypowiedzianie ciężkim wyznała Eferja i zawstydzona, znękana, splecionymi obu rąk palcami oczy i czoło sobie zakryła.

Helena zerwała się z miejsca oburzona. To jedno słowo było promieniem światła, rozjaśniającym jej to, czego dotąd zrozumieć nie mogła.

— Jadwiniu, ty czekasz? ty, Eferja? Ależ to na ciebie czekaćby powinien na kolanach taki...

I chciała już rzucić: chłystek, ale Eferja zakryła jej usta ręką:

— Nie mów nic złego o nim... Kocham go...

— Za co?

Cały szereg zapytań miała jeszcze na pogotowiu. Nie dopuściła jej jednak do słowa Eferja.

— Za co?...nie wiem! Wiem tylko, dlaczego kocham...

— To i ja wiem. Kochamy wszystkie dlatego, żeśmy głupie...

— Nie! Dlatego, że miłość to po-
tęga, wobec której cały nasz program

życiowy, to rysunek na piasku ruchomym kreślony...

— Ano, tak. Tylko że tym piaskiem ruchomym jest—mężczyzna!

Eferja nie już nie odpowiedziała na to. Z rękoma bezsilnie opuszczonemi na kolana, z głową odrzuconą na niską poręcz kanapki, siedziała, tak w bolesnej zadumie pogrążona, że nie słyszała Heleny, która biegając po pokoju, półgłosem mówiła do siebie:

— Słuchaj, ty... jakże ci tam?... Ty nie tylko za mąż nie pójdziesz, ale nigdy kochać się nie będziesz... Nigdy! W żadnym Gruszczyńskim! I w Jabłkowskim także nie... Zapamiętaj to sobie! Pod błogosławieństwem zabraniam...

Wzburzona była dzień cały i ciągle rozmawiała w myśli z córką, którą nie nazywała ani „Jakże ci tam?“, ani Nie-
byłą, tylko poprostu: Jadwinią.

Parę razy nawet powiedziała do niej „Eferjo“ i w mądrych, uważnie patrzących oczach miała wtedy lzy politowania.

Do Eferji nie odzywała się już prawie. Ale wieczorem, gdy ta udała się

na posiedzenie jakiegoś Towarzystwa dobroczynnego, którego była przewodniczącą, Helena usiadła do biurka i napisała list następującej treści:

„30 czerwca 19...

„Szanowny Panie!

„Od tygodnia przeszło tu bawię, a nie miałam sposobności widzieć Pana ani razu. Uważałabym to za rzecz zupełnie naturalną, o ile o mnie chodzi. Ale był tu Pan dawniej gościem codziennym i przyjaciółką moja — czego jej zresztą bynajmniej nie pochwalam — przywykła dopuszczać Pana do udziału w planach swoich i postanowieniach. Obecnie zabracbym ją pragnęła do siebie, i to jak najprędzej. Przed wyjazdem potrzebuje jednak Jadwiga widzieć się z Panem, a że nie mogę pozostawać tu dłużej nad dni parę, wzywam Pana przeto do wywiązania się jak najprędzej z tego obowiązku, za jaki uważa Pan niechybnie zadośćuczynienie życzeniu kobiety.

„Uprzejmie pozdrawia przytem Pana
Helena Gł.“

Napisawszy list powyższy, który uważała za szczęśliwe połączenie tego, na co zasługiwał Gruszczyński, z tem, co się należało Eferji, wyprawiła go przez posłańca i uspokojona, zaprzestała rozmowy z córką.

Przez dni parę nie było odpowiedzi i Helena znowu burzyć się zaczęła w sobie, nie dotykając wszakże w rozmowie z Eferją kwestyi, którą obie nieustannie miały na myśli.

Aż dopiero dnia czwartego, gdy Helena, powróciwszy do domu, obchodziła całe mieszkanie, szukając w każdym pokoju Eferji, ujrzała na jej biurku list, niedawno przyniesiony, jak jej to oznajmiła służąca.

Tknęło ją przeczucie niedobre.

List? Dlaczego nie przyszedł sam? Ze Święto-Krzyżkiej na Warecką nie jest przecie daleko... Dawniej po parę razy na dzień wpadał aż na Piękną...

Eferja, jakby przeczuciem wiedziona, wcześniej powróciła dnia tego. Nie zrzucając kapelusza, weszła do salonika prosto i oczyma rzuciła na biurko.

Zobaczyła list i chwyciwszy go drżącą ręką, obejrzała się, jakby chcąc się przekonąć, czy nikogo niema w pokoju.

Helena, widząc to, wyszła, a Eferja, zostawszy samą, jeszcze nie zaraz odważyła się rozerwać kopertę, w której wnętrzu czaić się na nią mogło coś, co potwornem jest i krwiożerczem, a ofiary swe napastuje znienacka...

Czaiło się! Była już tego pewną, gdy zobaczyła nagłówek listu:

„Szanowna Pani!”

Najczulszych przezwiań dobierał niegdyś dla niej. Zwać ją „Szarotką” wydawało mu się zamało. Nazywał ją „Złotą różą natchnienia” i „Dzwonkiem szczęście zwołującym,” a teraz... smutny kwiat, z cudotwórczych mocy obrany i żalujący upalnych tchnień lata — czytała, co następuje:

„Szanowna Pani!

„Z uczuciem skruszonego grzesznika, zgębiony i upokorzony ogromem wspólnej naszej winy, piszę do Pani te słowa,

ostatnie, jakie pióru memu skreślić dozwolono.

„Piszę je bowiem na biurku mego spowiednika, pod ojcowskim okiem kapłana, którego obrałem za stróża mego sumienia! Nie da mi on powrócić na manowce, na które weszła niedoświadczona młodość moja, nie umiejąca się oprzeć pokusie, przez czas tak długi w postaci Pani dla mnie uosobionej.

„Tak! Nie wrócę już na te manowce, choćby wabił mnie na nie głos wykrętniej pseudo-moralności światowej, pozwalający nam korzystać z otrzymanego przez Panią rozvodu. I on jednak toleruje tylko to nadużycie, którego zresztą prawy katolik i człowiek szanujący prawo dopuścić się nie może, nie obciążając sumienia winą nigdy nie zmazaną.

„Wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mi doznać ani jednej chwili szczęścia, i tak już wielce wątpliwego z powodu zachodzącej pomiędzy nami znacznej różnicy wieku.

„Nie mógłbym także znieść widoku łez pobożnej i świętej matki mojej, przed

którą sam, miłością synowską powodowany, wyznałem ze wstydem i skruchą, jakiej jest natury stosunek, łączący mnie z Panią. Dręczona obawą kary Bożej, odmówiłaby mi swego błogosławieństwa, nie nazwałaby nigdy synową małżonki wiarołomnej.

„Do tego, co piszę obecnie, a co nieweczy nadzieje, we mnie przez Panią pokładane, chciałem Panią przygotować ubocznie. Wybrałem do tego drogę, która mi się wydała najlepszą, najmniej urażającą miłość własną Pani (wszystkim kobietom wspólną, a w Pani przez pochwały życzliwej krytyki spotęgowaną). Czytała Pani zapewne artykuł mój w „Wydmie“ p. t.: „Kilka słów człowieka świeckiego o rozwodzie“? Dalszy ciąg artykułu, tym razem nazwiskiem mojem podpisany, wyjdzie w najbliższym numerze i stanowić będzie niejako moje wyznanie wiary—publiczne, a zatem zobowiązujące nieodwołalnie—z góry o tem Panią uprzedzam.

„Jakkolwiek o lat dziesięć młodszy od Pani, jestem już w tym wieku, w któ-

rym człowiek myśleć powinien o założeniu ogniska domowego. Modlitwy matki wyproszą mi zapewne u Boga tę, którą mieć pragnę za przyjaciółkę dożgonną: życia nie znającą, nieświadomą porywów namiętnych, z wyobraźnią i myślą wciśniętą między cztery ściany domu.

„Drogi nasze rozejść się więc muszą. Wstępując na nową drogę, wybaczam Pani z całego serca wprowadzenie mnie na tę, z której cofać się teraz muszę, winą grzechu obarczony. Przed sprawiedliwością Boską uniewinni mnie, tuszę, młodość moja; całe życie dalsze zadość uczynieniem będzie ustawicznym. Pani zaś, którą uniewinnić trudniej, oczyścisz się z grzechu—nie gonitwą za powodzeniem i rozgłosem, lecz właściwem wiekowi Twemu i płci Twojej usunięciem się w ciszę, z której—oby się nigdy nie wychylały kobiety nasze!

„Temi słowy rad i życzeń najlepszych żegna Cię, Pani,

Życzliwy mimo wszystko przyjaciel
Adolf Gruszczyński.“

Własnym oczom nie wierząc, czytała Eferja te słowa.

...Jakto? więc *do niej* je pisze ten, który u nóg jej się włościł, błagając o zmiłowanie nad jego męką? Ten, który jej przysięgał, z objąć jej wyszedłszy, że ona tylko jedna żoną być mu może, bo w pocałunku oddawała mu nie ciało, lecz—duszę swoją...

Czystą, gorącą duszę kobiety-człowieka, na towarzyszkę mężczyzny stworzonej przez Boga...

...Więc te wyrazy, z których każdy policzkował ją upokorzeniem, pisał on, *jej* Adolf, który w chwilach zbliżeń najtkliwszych modlił się doniej: „Żono moja!”

...Więc człowiek, którego społeczeństwo nie odtrąciło jako zbrodniarza... mniejsza o to! człowiek, któremu się *ona* oddała, może być do tego stopnia obłudnym i wiarołomnym, może być nikczemnikiem, któremu powiedzieć jedynie należy: „Nie znam na cię hańby słowa?...“

On jej „wybaczał!” On dawał jej rady!

Taka miotająca nią burza bólu i oburzenia, że sama nie umiałaby powiedzieć, w którym miejscu rozdarła jej duszę fala łez rzesistych, gorzkich... łez, z którymi spływa z serca nie ból, lecz ostatnie, nie-wygasłe jeszcze resztki nadziei...

Jeżeli ze łzami takimi nie spłyną i resztki miłości, to kobietę należałoby oddać do domu waryatów poprostu.

Lecz utrzymują lekarze-psychiatrzy, że na dziesięć jednostek, krążących wśród nas swobodnie, połowa co najmniej dotkniętą jest pomieszaniem nieszkodliwym, bardzo więc być może, że tę właśnie połowę stanowią kobiety!

Długo, długo siedziała nad listem tym Eferja, ciągle odczytując go nanowo, rozraniając sobie serce każdym z osobna ustępem, bo w każdym z dowodów, którymi usprawiedliwiał Gruszczyński nikczemne swoje postępowanie, tkwił oścień, przeszywający żelazcem zatrutym...

I zdjęła ją żalność ogromna, nie nad utraconą nadzieją szczęścia, nie nad roz-wianiem się słodkiej uludy miłosnej, lecz—nad upadkiem jej własnym.

Bo gdy czytała to, co pisał Gruszczyński o błogosławieństwie matki, o wyborze przyjaciółki dozogonnej, ze wszystkich kątów jej duszy wypełzały niskie, mściwością i złością tchnące myśli, których istnienia nie podejrzewała w sobie dotychczas.

I dla niej, dumnej z czystości swoich uczuć, ze szlachetnej wzniosłości myśli, była to kropla ostatnia, przepełniająca i tak już po sam skraj pełną czarę goryczy...

— ...Zawiodłam się sama na sobie! — płakała w niej dusza zawstydzona. — Miłość nic mi nie dała, a wszystko mi odebrała... Wszystko! Nawet szacunek dla siebie samej!...

Zawodowa znawczyni duszy ludzkiej teraz dopiero przekonywała się dowodnie o tem, co z teoryi tylko wiadomem jej było, że w każdym z nas kryje się istota całkowicie nam nie znana, istota, o której nie wiemy, czy nie jest zupełnem przeciwstawieniem tego, czem być mniemy...

I gdy ją ujrzymy znienacka, ogarnia nas wtedy rozpacz, ponad którą niema już cięższej...

Bo często, ach! jakże często to oblicze nieznane, które się z głębin jaźni naszej wyłania, szczerzy ku nam zęby potworu i cuchnie zgnilizną rozkładu...

W takich dumaniach pogrążoną zastała Eferję Helena, gdy zaniepokojona długotrwałą w saloniku ciszą, weszła doń nareszcie.

Eferja zwróciła ku niej twarz zgaszoną, w przeciągu paru godzin do niepoznania zestarzałą i milcząc, podała jej list Gruszczyńskiego.

Helena przeczytała go spokojnie, posłała tylko w stronę portretu spojrzenie pogardy i nienawiści i głaszcząc splecione palcami ręce, na których się wspierała znękana głowa Eferji, rzekła prosząco:

— Jedź ze mną... Nie będę już nawet mówiła o mojej córce... Tylko jedź!

— Pojadę...

Jakoż nazajutrz były jnż w drodze do Okrawka.

XV.

W końcu sierpnia wracała Jagienka z matką do Nadbystrza, stęskniona za ojcem i za domem, z utęsknieniem oczekująca chwili, w której ziściłby się mogły marzenia, snute pod topolami dziedzińca w Leszczycowie.

Coraz były świetlistsze i bardziej tęczowe, codzien też wyraźniejsze przybierały kształty.

W godzinach zadumań samotnych myślała już teraz o sobie, jako o żonie Gruszczyńskiego i dzięki składając Bogu za ogrom czekającego ją szczęścia, dręczyła niewinne sumienie obawą, czy szczęścia tak wielkiego jest godną.

I ślubowała w głębi duszy, że życie jej całe będzie jednym aktem dziękczy-

nienia, jednym okrzykiem: Hosanna!, jednym momentem posłuszeństwa ofiar-
nego.

Wszystkie jej rojenia młodociane, wszystkie porywy i pożądania serca wystrzeliły teraz w kwiat miłości, tak uroczy i wonny, jak nimi być mogą tylko owe lilie mistyczne, z nieba przez aniołów przynoszone.

Kwiat ten upajał ją wonią, przepełniał ją roztkliwieniem słodkim, czynił z jej serca świątynię, rozbrzmiewającą najczystszymi modlitwami wiosny.

Wiedziała, że los jej rozstrzygnie się niebawem, wkrótce po powrocie do Nadbystrza.

Jaworzyński wymagał, aby żona, z którą dość często zmuszony był łączyć się na dłużej, prowadziła dla niego rodzaj dziennika.

Musiła mu zdawać sprawę z nowozawartych znajomości, książek świeżo przeczytanych, z rozrywek, zajęć, z myśli i z wrażeń swoich.

Wymagał, aby duszę całą otwierała przed nim na oścież, jak księgę, której zna-

mienne ustępy obowiązana była podkreślać, by zwrócić na nie uwagę pana i władcy tej duszy.

Czyniła to z akuracją kobiety, lubiącej prowadzić rejestra porządnie: najprzelotniejsza znajomość wciągnięta była i oceniona, najpotoczniejsze wydarzenia nie tylko zanotowane, lecz opatrzone komentarzami, które podnosiły lub obniżały jego znaczenie.

Czy z równą sumiennością starała się o to, by dziennik swój uczynić zwierciadłem myśli i wrażeń, czy zadanie to, codzien odrabiane, nie stawało się dla niej czymś w rodzaju pańszczyzny—nie wyznawała nikomu, może nawet i sobie samej.

Mąż czytał uważnie, odpowiadał na pomnieniami, wskazówkami, udzielał rad, pochwał lub nagan, a zawsze kończył nauką, że wymagania jego, choć niekiedy wydawać się jej mogły uciążliwymi, zawsze przecie dobro jej moralne mają na celu.

Utrzymywał nawet, że stosunek podobny stanowi istotę małżeństwa, że bez

złania się dusz w jedno, bez dzielenia się myślą każdochwilną, pożycie wspólne jest tylko formą bez treści.

Sam też pisywał do żony serdecznie i z zaufaniem, nie tając przed nią nic, co się odnosiło do spraw majątkowych, do stosunków z ludźmi, wchodzącymi w krąg ich życia pozadomowego.

Nie uważał sobie wszakże za obowiązek spowiadać się przed żoną z myśli każdej, ani nawet z planów i zamiarów, dotyczących przyszłości, którą zgotować chciał temu lub owemu z członków rodziny.

Faktu za to żadnego z dziedziny oboje ich obchodzącej nie zataił nigdy przed żoną i za nią poczytywał to sobie zasługę.

I teraz więc, pisując do żony, donosił jej, że Gruszczyński odwiedza go co parę tygodni, że krótkie tylko oddając wizyty znajomym, jakich ma w Nadbystrzu, całe wieczory z nim spędza.

„...W rozmowie ogólnej, toczącej się o kwestyach zasadniczych i poważnych,

dla społeczeństwa naszego żywotnych, najlepiej poznać można sposób myślenia człowieka — pisał Jaworzyński do żony. Gruszczyński ma o wszystkim zdanie zdrowe, zdanie, jakie mieć przystoi wernemu synowi Kościoła, człowiekowi, który nie z imienia tylko jest chrześcijaninem, jak większość, niestety, młodzieży dzisiejszej. Umysł to mniej może szeroki, niż sobie z początku wyobrażałem, ale wynagradza to myśleniem bystrem i zdolnościami, wyrobionemi ćwiczeniem ciągłym... A co do charakteru, ten nic do życzenia nie pozostawia i o szczęście dziecka naszego możemy być spokojni. Jagienka znajdzie w nim dobrego męża, ja — syna, duchowo bliżej ze mną spokrewnionego niż rodzony...“

W innym liście pisał znowu:

„Kocia często teraz jeździ do Warszawy do dentysty. Opowiadała mi, że ile razy spotka Gruszczyńskiego, ten zawsze składa jej wizytę i cały się oddaje na jej usługi. Dobrze świadczy o młodym człowieku ta uprzedzająca grzecz-

ność dla rodziny, z którą połączyć się zamierza. Szanowanie związków rodzinnych coraz więcej wychodzi z użycia, nadczem, jak ci wiadomo, boleję zawsze...“

W połowie sierpnia otrzymała Jaworzyńska list, w którym mąż donosił:

„Gruszczyński oświadczył mi się o rękę Jagienki. Oświadczył się nietylko z zachowaniem wszystkich form, ale ze wzruszeniem głębokiem, które świadczy najlepiej, że rozumie całą ważność kroku, który czyni. A nawet dostrzegłem w nim pewne zaleknienie i nieśmiałość i temi przyznaje, zjednał mnie sobie najbardziej. Lękałem się, aby nie był trochę zarozumiałym, jak ogół młodzieży dzisiejszej; z radością przekonałem się, że go posądział niesłusznie.

„Powtórzono mi potem w domu, że ranki całe, podczas gdy ja oddawać się musiałem moim zajęciom, on przesiadywał u Koci. Córki moje tak mało są do siebie podobne, że na razie zrozumieć nie mógł, jaką przyjemność znajdować może młody człowiek charakteru poważ-

nego w towarzystwie takiej śmieszki i trzpiotki, jaką jest, mimo wdowieństwa i lat podeszłych, Ubyszowa. Potem dopiero dorozumiałem się, że, niepewny, co na prośbę jego odpowiem, musiał Gruszczyński próbować, czy nie uda mu się dowiedzieć czegokolwiek u najstarszej z rodzeństwa, a zatem, w jego mniemaniu, całe zaufanie ojca posiadające.

„Napisałem: ranki całe, bo półtrzecia dnia bawił w Nadbystrzu Gruszczyński, zanim mu dałem odpowiedź. Nie dlatego, abym nie był zdecydowany na przyjęcie go, lecz potrzebowałem wybać go nieco, upewnić się, jak spędził pierwsze lata młodzieńcze, czy nie ciąży na nim żadne zobowiązania moralnej lub materyjalnej natury.

„Odpowiedzi dawał mi proste i szczerze. Ze skruczą człowieka pobożnego przyznawał się do miłostek młodzieńczych, o których sam dziś wspomina ze wstrętem. Ze stosunku, który zgodziliśmy się nazywać przyjaźnią (zbyt może blizką, zbyt mało uważającą na pozory),

wycofywać się począł od chwili, w której po raz pierwszy ujrzał Jagienkę. Od wszelkich zobowiązań jest wolny.

„Otrzymanie rozwodu nie wpłynęło już wcale na zmianę jego stosunków ze szlachetną istotą, która, mam nadzieję, pozostanie nadal przyjaciółką Gruszczyńskiego i Jagience przyjaźni swojej nie odmówi. Sam prosić ją będę o to, nie tając, jak bardzo pragnę, aby córka nasza szczycić się mogła jej życzliwością.

„Wyjaśnwszy w ten sposób sytuację, odpowiedziałem Gruszczyńskiemu w mojem, a razem i w twojem, rzecz prosta, imieniu, że może uważać się za narzeczonego Jagienki, o ile ona sama na związek z nim przystanie. My, rodzice, wiemy już oddawna, że prośbie jego nie odmówi Jagienka; potrzeba jednak, aby młody człowiek nie myślał, że przyjmujemy go zbyt skwapliwie.

„Córka nasza może wybierać, skoro, jak mi donosisz, Darski nie zraża się jej obojętnością i trwa w zamiarze przyjechania do Nadbystrza w charakterze konkurenta.

„Niech przyjedzie; nic nie mam przeciwko temu. Kocia wiekiem dla niego stosowniejsza, podobać mu się może po trafi, a sędzę, iż podobać mu się będzie chciała. Otwarcie zaś powiem, że Jagienkę wolę mieć bliżej siebie, wolę ją widzieć żoną człowieka bliższego mi duchem, niż być nim może Darski, zadowolony w głuchym zaścianku półpanek.

„Powracaj więc w końcu tego miesiąca, nic wszakże nie mówiąc Jagience, że marzenia, które snuje, są blizkie ziszczenia się. Co do marzeń tych — możemy mylić się jeszcze... Może to, co bierzemy za powolne rozwijanie się uczucia, jest tylko odruchem serca, zbudzonego ze snu dzieciństwa, pierwszym drgnięciem wyobraźni, przed którą otworzyła się perspektywa życia. Nic nie trzeba przesądzać zawczasu i nie trybować sztucznie, a dziecku tak posłusznemu jak Jagienka, można pozostawić swobodę wyboru.

„Niech wybiera pomiędzy Gruszczyńskim a Darskim. Pewien wszakże je-

stem, że — jeżeli nie kocha Gruszczyńskiego, to tembardziej nie odda swej ręki — Darskiemu.

„Uczyniliśmy wszystko, co należało do rodziców dbałych o dobro dziecka: resztę pozostawić możemy woli Boga, którego Opatrzność czuwa dotąd widomie nad domem naszym, skoro obdarzyła mnie żoną tak zgodną w podzielanu pojęć moich i tak chętnie ulegającą wskazówkom moim... Nie wątpię, że i Jagienka, poszedłszy za Twoim przykładem, będzie kiedyś żoną przykładną, zwłaszcza, gdy znajdzie w mężu człowieka, umiającego wprowadzać w czyn wzniosłe i piękne zasady, na których się opiera życie rodziny chrześcijańskiej...”

Pomimo głębokiej wiary w męża i w jego nieomyłność, list ten czytała wszakże Jaworzyńska z tym uśmiechem pobłażliwej nieco ironii, jaki zawsze ma na ustach żona, gdy widzi, że mąż równie jest głęboko — jak ona, — o nieomyłności swojej przeświadczony.

Gdy zaś ona przeświadczenia tego nie podziela, wtedy uśmiech łagodnej

ironii zamienia się w grymas lekceważenia wzgardliwego.

— Ach! jak to dobrze, że wracamy, mamusi! — wołała Jagienka, przygotowując się do drogi. — Tak-em się już tęskniła...

Nie mówiła, za kim, lecz matka wiedziała dobrze, że tęsknota za ojcem i za domem nie była jedynym powodem pospiechu, z jakim rwała się Jagienka z Leszczycowa.

Cała rodzina Wilczewskich wspólnie z Darskim odprowadzała Jaworzyńską do najbliższej stacyi kolei żelaznej.

Pociąg, mający je unieść do Nadbystrza, czekał już na stacyi, gdy nadjechały powozy z Leszczycowa.

Zaledwie był czas pożegnać się i wnieść do wagonu pakunki pań, ale gdy weszły do zajętego dla nich przedziału, okazało się, że Darski, pamiętny o obowiązkach konkurenta, zdążył ustroić ich przedział całym bogactwem kwiecia jesieni.

Wielki kosz różnokolorowych astrów i georginii o płatkach postrzępionych,

rukawatych, powykręcanych w różne kierunki fantastyczne, stał na stoliczku pod oknem; z takichże samych astrów i georginii ułożone poduszki znaczyły miejsce każdej z pań, którym, oprócz tego, wręczył Darski bukiety z róż, gwoździków i wcześniej rozkwitłych złoćieni.

— Chciałem, aby kwiaty stąd wywiezione przypominały pani Leszczycowo — mówił Darski, gdy Jagienka dziękowała mu, ucieszona, nie hołdem oddanym jej przez konkurenta, lecz posiadaniem tak wielkiej ilości kwiatów.

— O! czyż ja zapomniećbym mogła wujostwa! Tak dobrzy byli tu wszyscy dla mnie... I pan także — dorzuciła z pospiechem, szczęśliwą myślą tknięta i przekonana, że tym dodatkiem zadość czyni wymaganiom przyzwoitości towarzyskiej.

A on stłumił westchnienie, spojrzał na nią swemi dobrymi oczyma zafrasowanego dziecka i rzekł, żałośliwie kiwając głową:

— Oj, panno Agnieszko, jak pani rozumieć mnie nie chce!

— Ty chyba umyślnie robisz to, Jagienko!—szepnęła jej ciotka, zgorszona.

Jagienka nie miała już czasu zapytać: „Co, ciociu,²“ bo drugi dzwonek zmusił odprowadzających do wysiadania z wagonu.

W Nadbystrzu zastała Jaśkę osowiałą i skwaszoną.

— Coś się tu dzieje, czego nie rozumiem—ubolewała przed Jagienką, zatapiając obie ręce w zwichrzonej czuprynce krótko ostrzyżonych włosów. — „Mater“ popsuła mi się do szczeru! Zostawiała mnie w Dużej Woli jak dzieciaka, a sama do Warszawy co chwila... co parę tygodni—poprawiła się Jaśka po namyśle—do Warszawy: do dentysty. Pytam się, poco? Zęby ma jak orzechy...

— Może ją mimo to bolą?

— Nieprawda! Niby to ja jej nie znam... Ją, i zęby, i wszystko, co jej jest...

— Niesiedziała przecie ciągle w Warszawie?

— Ma się rozumieć, że nie! Nie pozwoliłabym na to... Ale powracała jakaś inna...

— Męczyły ją zapewne wizyty u dentysty—tłómaczyła Jagienka, zmartwiona osmuceniem Jaśki.

— Hm! Zapewne... Cóżby innego?—z pewnem jednak powątpiewaniem wtórowała jej Jaśka.

Pomyślała chwilę, a potem, tym samym zawsze tonem urazy, mówić zaczęła:

— Niewesoło było w tym roku w Dużej Woli. Mało kto przyjeżdżał, bo wiadano, że was niema, a jeszcze gdy ten i ów nie zastał „mater“ w domu, to, ma się rozumieć, powiedzieli sobie ludzie, że niema po co przyjeżdżać do Dużej Woli. Możesz więc sobie wyobrazić, jak się dobrze bawiłam!

Jagienkę zaczynało dręczyć sumienie, że ona bawiła się tak dobrze.

Gotowa była zacząć przeproszać Jaśkę, ale ta nie dała jej przyjść do słowa.

— Przyjeżdżał parę razy do Dużej Woli Gruszczyński. Ale cóż? Nie miałam z tego żadnego pożytku... Ciągle jakieś z nim konszachty, jakieś rozmowy, se-

kreta... No, to jeszcze rozumiem, bo pewno o tobie rozmawiali...

Nie wątpiła o tem Jagienka, a Jaśka trzepała dalej:

— Z takim poważnym panem nie miałyby nawet „mater“ żadnego używania... Ależ nagadali się o tobie! Na resztę życia chyba? Nie wyobrażałam sobie, żeby można mieć tyle do mówienia z przyszłym szwagrem...

Jagienka uważała to w duchu za rzecz zupełnie naturalną. Wszak ona sama wiodła z sobą nieskończone rozmowy, których treść jedyną stanowił zawsze... Gruszczyński.

Nieraz jeszcze powracała Jaśka do tego przedmiotu, widocznie kamieniem jej leżącym na sercu. Nie mogła darować matce, że—jak mówiła—wyrzekła się jej dla Warszawy.

W parę dni po powrocie Jagienki ze wsi zawołał ją ojciec do swego pokoju.

Nie wchodził tam każdy, kto chciał i kiedy chciał.

Przeciwnie, zwyczajem było, oddawna ustanowionym i przestrzeganym ściśle,

że gdy pan domu chciał widzieć kogo z rodziny, uderzał w dzwonek, przeprowadzony do pokoju żony, a tylko przez niego samego dotykany.

Żona przybiegała natychmiast, aby wysłuchać, co miał jej do powiedzenia małżonek i przenosiła dzieciom lub domownikom wydane przez niego polecenie.

Nawet Jaśka przyznawała się przed tymi, do których żywiła osobliwe zaufanie, że traci zupełnie rezon, gdy wchodzi do pokoju dziadka.

Przyciemniony ciężkimi firankami, obstawiony pięknymi mahoniowymi szafami, pełnymi książek, pokój ten tezną surową nieco powagą i odpowiadał charakterowi swego mieszkańca.

Nic tu nie było błyskotliwego, żadnych mebelków łatwo przenośnych, wywrotnych, nietrwałych, o liniach fantastycznie powyginanych. Wszystko było prostokątne, mocno na nogach stojące, w prostocie swojej wytworne. Na ścianach kilka dobrych obrazów religijnej lub historycznej treści, portrety rodziców Ja-

worzyńskiego, parę krajobrazów swoich. Nad biurkiem portrety obu żon z natury malowane, pędzla jednego z najlepszych portrecistów, na biurku fotografie dzieci i wnuków oraz niezbędne do pisania przybory.

W wielkim, ze szkła czeskiego kałamarnu, artystycznie w srebro oprawnym, obiecywała sobie Jaśka wykapać najpierwsze dziecko swoje. Zamiar ów trzymała wszakże w tajemnicy najgłębszej przed dziadkiem.

— POCO mnie tatuś woła?—spytała Jagienka matki.

— Nie wiem—odparła Jaworzyńska, która domyślała się wprawdzie, co mąż ma do powiedzenia Jagience, lecz bez upoważnienia jego nie śmiała wyrzec ani słowa. — Idź, Jagienko, idź... Nie każ ojcu czekać na siebie.

Poszła więc i zanim przestąpiła próg pokoju, który przejmował ją zawsze uczuciem uszanowania, dość bliskiego bojaźni, wsunęła jasną główkę pomiędzy faldy ciemno-oliwkowej portyery.

— Tatusiu...—półgłosem nieśmiałym oznajmiła swoje przybycie.

Jaworzyński, z piórem w ręku nad biurkiem schylony, położył pióro, wyprostował się, fotel, na którym siedział, odsunął nieco od biurka i zwracając się twarzą ku córce, rzekł z wielką łagodnością w głosie:

— Chodź tu bliżej, Jagienko. Mam z tobą do pomówienia.

— Co tatuś każe?

— Nie rozkazywać chcę, lecz pomówić z tobą, jak ojciec z dorosłą już córką. Usiądź tu obok mnie, kochanko.

Podeszła bliżej i zanim usiadła na krześle, które oczyma wskazał jej ojciec, pocałowała go w rękę, spoczywającą na rzeźbionej poręczy fotelu.

Jaworzyński uniósł się z siedzenia i nacisnął umieszczony z boku nad biurkiem guzik dzwonka.

— Oboje z matką mówić z tobą będziemy. Oboje kochamy cię zarówno, o czem nie wątpisz zapewne...

— O, tatusiu! — gorąco zapewniła Jagienka — czyżbym mogła?

— Żono — obrócił się Jaworzyński do wchodzącej pośpiesznie żony — wezwalem cię, aby w obecności obojga rodziców wyrzekła córka nasza słowo, którem postanowi o swej przyszłości. Siadaj, żono.

Usiadła, a Jaworzyński zagłębił się w fotelu, obie ręce na poręczach jego położył, odchrząknął i powolnym, mierzonym głosem mówić począł:

— Słuchaj mnie uważnie, Jagienko. Wiadomo ci, że powołaniem kobiety jest iść za męża. Nie wiem jednak, czy zastanawiałaś się nad tem, jaki rodzaj małżeństw bywa najszczęśliwszym. Zapewne nie, bo młode osoby rzadko myślą poważnie.

Jagienka otwierała już usta, aby ująć się za sobą i zapewnić ojca, że dużo i poważnie myślała o małżeństwie swoim... z Gruszczyńskim i wie, że ono właśnie tem najszczęśliwszem będzie.

Zabrakło jej wszakże śmiałości. Poprawiła się na krześle i rumieniec, który nagle twarz jej oblał, zakryła, jak mogła, jasną, połyskującą rzęsą skromnie spuszczonej powiek.

— Otóż my, rodzice, o dobro dzieci troskliwi, za was o tem myślimy. I teraz oto w mojem i matki twojej imieniu powiem ci, Jagienko, że małżeństwami najszczęśliwszemi bywają te, które się opierają na gruntownej znajomości charakteru obojga młodych. Znajomość podobną mieć mogą tylko rodzice i gdy się przekonają, że charakter mężczyzny, przyszłego kierownika rodziny, jest opoką, na której ugruntować można istnienie rodziny chrześcijańskiej, wtedy...

I czyniąc ręką ruch otwierania czegoś powoli, dokończył po chwilowem zawieszeniu głosu:

— Wtedy... ale nie pierwszej, Jagienko, zezwolić mają prawo na porozumienie się osobiste między domniemanymi współmałżonkami. I jeżeli wynikiem tego porozumienia się będzie skłonność zobopólna, bardzo ważna szczęścia rękojmia, wtedy ufać można łasce Bożej, że dokona reszty i małżeństwo szczęśliwem uczyni.

Ruchem obu rąk szeroko już teraz

roztworzył jakieś wrota zamczyste i jakby oczekując potwierdzenia słów swoich, spojrzął na żonę pierwszej, a następnie na córkę.

Milczały obie. Na twarzy Jaworzyńskiej malowała się ta nuda utajona, której najżarliwsi obronić się nie mogą podczas zbyt długiego kazania. Twarz Jagienki wyrażała skupienie rozrzuwione.

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym przebijała wielka tkliwość ojcowska i głosem, mniej już uroczyście nastrojonym, mówił dalej:

— W kolei wydarzeń przyszedł moment, w którym i dla ciebie, Jagienko, wypadło nam podjąć owo zadanie, które nazwę najpoważniejszym zadaniem rodziców. Od kilku już miesięcy ja i matka twoja badamy pilnie charakter pana Gruszczyńskiego, który upodobał cię sobie. Wiesz o tem zapewne, Jagienko?

Nie odpowiedziała na to pytanie, będące tylko figurą retoryczną—o czem zresztą wiedział dobrze i sam Jaworzyński.

Ręce jej tylko, na kolanach złożone spokojnie, splotły się palcami, jakby do

modlitwy dziękczynnej, a z oczu, które podniosła na twarz ojca, wyzierało szczęście bezbrzeżne, w słodką i cichą utulone zadumę.

Zauważył je ojciec i uśmiechnął się łagodnie.

— Panu Gruszczyńskiemu nic nie znaleźliśmy do zarzucenia. Wady, od których, jako człowiek, wolnym nie jest, nie są tego rodzaju, aby stanowić miały przeszkodę do szczęśliwego z nim pożycia. To też, gdy oświadczył mi się o twoją rękę, powiedziałem, że jeżeli ty, Jagienko, zgodzisz się na oddanie mu swej ręki, my, rodzice, chętnie przyjmemy go za syna. Cóż ty na to, Jagienko?

Siedziała wyprostowana, z kibicią nieco w tył odrzuconą, z przymkniętymi od nadmiaru wzruszenia powiekami.

Na jasnych, połyskliwych rzęsach drżały łzy, ale na ustach błdził uśmiech błogości tak wielkiej, że do ekstazy dochodzącej nieledwie.

Ojciec pochylił się ku niej i przykrywając dłonią obie jej ręce, dłońmi zwarte modlitewnie, zapytał miękko:

— Cóż moja dziewczeczka odpowie, gdy ją Gruszczyński poprosi o tę rączkę?

A na to Jagienka osunęła się ojcu do kolan i, wtulając mu jasną główkę pod ramię, cichym głosem odparła:

— Będę mu dobrą żoną, tatusiu...

Nazajutrz po tej rozmowie przyjechał Gruszczyński i usłyszawszy z własnych ust Jagienki odpowiedź przychylną, przedstawiony został całej rodzinie jako jej narzeczony.

Jaśka, którą zadługie już skwaszenie usposabiało do pesymizmu, nie uczuła zbyt żywego zadowolenia. Pierwsze wrażenie jakie sprawił na niej Gruszczyński, utrzymało się: był jej niemiłym.

Porównywała go w myśli do... indyka.

— ...Gąska z indykiem, to nie para— mówiła sobie— ale... Jagienka go kocha... Teraz, gdy za mąż wyjdzie, gdy będzie mogła całować męża i jeść czekoladki, ile sama zechce, zapewne gąską być przestanie... A indyczką nigdy nie będzie... Już ja ją znam!

Obiecywała sobie wszakże nie nazy-

wać Gruszczyńskiego inaczej jak pocio-tem.

Nikomui, oprócz żony, nie powiedział Jaworzyński, że zanim przystąpił do rozmowy z Jagienką, przeprowadził z Eferją korespondencję następującej treści:

„Szanowna i najzacniejsza Pani!

„Jakkolwiek nie mam zaszczytu znać Pani poufnie, ani widywać jej często, śmiem jednak twierdzić, że mam prawo nie uważać pani za obcą, a zatem mówię z nią będę tak otwarcie, jak się mówi jedynie z osobami wielkiego umysłu i serca.

„Przystępując do rzeczy, nie przepraszam Pani nawet, że o sprawie czysto osobistej mówię z nią będę. Zanadto dobrze znanym jest Pani ciężar życia, bym nie miał ufać w pobłażliwość jej dla ojca, który pragnie być spokojnym o szczęście córki.

Pan Gruszczyński, przyjaźnią Pani zaszczytany, nie taił przed Panią zapewne, że pragnie połączyć się węzłem małżeńskim z moją córką, tą, która miała

szczęście podobać się Pani i nawzajem powzięła dla Niej sympatyę, blisko graniczącą z uwielbieniem.

„Nie będę tał przed Panią, że Gruszczyński jest zięciem po mojej myśli. Dobrze myślący, zdolny, może mieć przed sobą piękną przyszłość, do której tem wytrwalej dążyć będzie, że to, czem jest, samemu sobie zawdzięcza, a to, czem się stanie pod moim kierunkiem i dzięki wpływowi moim, dorówna niewątpliwie wszystkiemu, czego pragnie dla niego rozumna i gorąca przyjaźń Pani.

„Źle się wyraziłem, mówiąc przed chwilą, że wszystko samemu sobie zawdzięcza. Rozumiem to równie dobrze, jak on — a może i lepiej od niego — że wdzięczność jego dla Pani powinna być bezgraniczną. Odszukawszy łaskawie dowody łączącego go z Panią powinowactwa, przysparnęła Pani ubogiego krewniaka i wpisała jego nazwisko do złotej księgi szlacheństwa. Szlacheństwo przez Panią mu nadane pozwala mu uważać się — i przez wszystkich być uważanym —

za prawego współdziedzica tych skarbów, których Pani hojną jest rozdawczynią.

„To jest główną przyczyną, że nazywałem Gruszczyńskiego zięciem po mojej myśli. A przytem Jagienka moja czuje ku niemu skłonność, która zapowiedzią jest miłości, tak w związku małżeńskim niezbędnej. Pomimo to, gdyby dziś jeszcze dowiedziała się od nas, że dla jakichkolwiek przyczyn powinna zamknąć serce przed człowiekiem już jej nieobojętnym, uczyni to bez szemrania, choć może nie bez cierpienia, bo dziecko z niej dobre, do posłuszeństwa przywykłe i nauczone szanować obowiązek. Uszanuje go też pod każdą postacią, nawet taką, która jest dla niej nieznaną, a niewiadomą pozostanie na zawsze.

„Pani, która zna Gruszczyńskiego lepiej niż my (lepiej może, niż on zna samego siebie), Pani, której prawości ufam nieograniczenie — powiedziec nam potrafi, czy w życiu jego niema zobowiązań podobnego rodzaju. Jeżeli istnieją, my pierwsi jesteśmy zdania, że należy im

zadosyćuczynić, jako mającym pierwszeństwo przed zamiarami później powziętymi. Przykrość, dziś przez moją córkę doznana, byłaby mi łatwiejszą do zniesienia od widoku jej nieszczęścia. Nieszczęśliwą zaś byłaby niewątpliwie, gdyby się okazało, że ciążące na jej mężu zobowiązania odrywają go od żony całkowicie mu oddanej i słusznie przeświadczonej, że prawa jej do męża mają pierwszeństwo przed wszystkimi innymi.

„Na zdaniu więc Pani—i tylko Pani—polegamy tak zupełnie, że los Jagienki wtedy dopiero zostanie rozstrzygnięty, gdy odpowiedź Pani otrzymamy. Jeżeli Jagienkę oddamy Gruszczyńskiemu, za dowód wielkiej dobroci Pani uważać będziemy okazywanie córce naszej tej życzliwości, którą Pani sama uważa bezwątpienia za najcenniejszy z darów, jaki złożyć można żonie przyjaciela. Jeżeli go córka nasza otrzyma, stanowić on dla niej będzie jedną więcej rękojmię szczęścia, jeden więcej dowód, że słusznieśmy uczynili, u Pani szukając rozstrzygnięcia naszych wątpliwości rodzicielskich.

„Pozostaje mi tylko zapewnić Panią, że jakakolwiek będzie treść oczekiwanej przez nas odpowiedzi, nie potrafi ona zmniejszyć uczuć szacunku i poważania, z jakimi pozostajemy dla Pani oboje.

„Od siebie zaś osobiście proszę o pozwolenie ucałowania tej ręki, która skreśliła tyle myśli wzniosłych, osiślałemu, jak ja, pracownikowi, ukazujących drogę ku niezmiennym ideałom dobra i prawdy. Czcieli mi nie podobnych znajdzie Pani wielu, lecz do najgoretszych niech Pani zaliczyć zechce

Szczerze oddanego Pani

J. Jaworzyńskiego.“

List ten nie zastawszy Eferji w Warszawie, powędrował za nią do Okrąwka, gdzie znękaną i rozbolełą, otaczała Helena pieczołowitością, świadczącą o skarbach tkliwości, ukrytych w sercu kobiety, która utrzymywała, że o ziemię tylko i o zwierzęta dbać warto, bo te nie odchodzą, gdy im się mówi: „Zostań!“

List Jaworzyńskiego wyrwał Eferję

z leniwego odrętwienia, w jakim dni całe spędzała.

Gdy go przeczytała, pierwszym jej wrażeniem był ten odruch niesmaku, jakim wzdrygają się instynktownie natury szczerze i prostomyślne, gdy staną wobec dyplomacyi, tak subtelnie przez szczerotę przefiltrowanej, że smakiem swym i zapachem złudzić może mniej doświadczonych.

Pierwszą jej myślą było prawdę rzucić w oczy Jaworzyńskiemu: prawdę — prawdziwą, w prawdziwości swojej brutalną.

„Kochankiem był moim Gruszczyński, nie przyjacielem. Żenić się obiecywał ze mną i za szczęście to sobie uważał. A teraz, gdy mniema widzieć perspektywę przyszłości materyalnieświejszej, gdy obyczajem mężczyzny zapragnął zmiany, porzucił mnie nikczemnie i za wolnego się uważa, choć nikt z ludzi uczciwych nie nazwie wolnym człowiekiem który łamie przysięgę dlatego jedynie, że, nie przed ołtarzem złożoną, złamać może bezkarnie.“

Takie i tym podobne, silniejsze wyrazy prosiły się pod pióro Eferji w tej nieprzepartej potrzebie szczeroci, która przynosi czasem tę samą ulgę pozorną, co krzyk ciała, nad siły udręczonemu.

Mogła bowiem określić swoje położenie tak, jak je określała Helena, gdy w rozmowach, zdala od niej wiedzionych z Niebyłą, mawiała:

„Słuchaj: nie jesteś dzieckiem, powinnaś już mieć rozsądek... Sama powiedz: co gorszego przytrafiłoby się już mogło Eferji? Ona jest w położeniu ryby nie tylko w sieć złowionej, lecz z sieci wyjętej i ugotowanej. Mniejsza o to, jakim sosem będzie podlana.“

Po namyśle okazało się jednak, że przejście po kładce dyplomacyi Jaworzyńskiego dogodniejszym jest od palenia mostów za sobą...

W następujących więc słowach odpisała Eferja:

„Szanowny Panie!

„List Pański zrozumiawszy tak, jak zapewne pragnął Pan, aby słowa jego

zrozumianemi zostały, mogę tylko podziękować Panu za położoną we mnie ufność. Nie byłabym jej godną, gdybym nie umiała ocenić tak słuszności kierujących Panem pobudek, jak i wielkiej, delikatności Pańskiej, zalety tak rzadkiej a tak cudownie wpływem swoim kojącej nieuniknione w życiu rozdrażnienia i gorycze.

„Gwoli też tej delikatności odpowiadam otwarcie, a bez goryczy najmniejszej: Nie, Panie Szanowny, pan Gruszczyński wolnym już jest od wszelkich zobowiązań, któreby mu przeszkadzały sięgnąć po rękę córki Pańskiej, a razem z tą ręką i po wszystkie korzyści, jakie mu otrzymanie jej zapewnia.

„Gdyby Pan mnie zapytał, czy zdaniem mojem, ręki tej jest godzien, odpowiedź moja wypadłaby inaczej. Córka Pana wnosi mężowi wiano przebogate: niepokalaną dziewiczość serca i wyobraźni, oraz urok świeżej i czystej wiosny swojej. Mężczyzna, wiana takiego pozbawiony, ubiega się jednak za niem, co

pozwala mieć nadzieję, że, otrzymawszy je—uszanować je potrafi... Tej nadziei—oby nie zawiódł pan Gruszczyński i to życzenie jest z mojej strony dowodem jak najprzyjaźniejszego dla panny Jagienki usposobienia.

„Okoliczności tak się zapewne ułożą, że stosunki nasze nie będą mogły być ani codzienne, ani nawet zbyt częste i zażyłe. Niemniej jednak córce Pana nie odmówię nigdy uścisku przyjaciółki, tem goręcej pragnącej jej szczęścia, że, jako znacznie od niej starsza, wiem z doświadczenia, jak płochliwym ptakiem jest szczęście, oparte na uczuciu miłości, z natury swej zapewne już zmiennem...

„Dużo i często rozmyślałam nad słowami, usłyszanymi od Pana podczas pierwszej poufniejszej z nim rozmowy. Tak! ma Pan słuszność: „Od zachodu własnej zorzy“ zwrócić się trzeba „na wschód wszech życia.“

„Łatwo jest wtedy czuć się wolnym od ciężkich oków życia. Potrzeba tylko, aby nic nie łudziło nas obietnicą szczęścia, potrzeba mieć siłę nie pragnąć szczęścia.

„Niema już nic, coby mnie łudziło, a siłę może zdobyć z czasem potrafię...

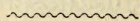
„Ale o tej filozofii zórz zachodnich nie pora jeszcze wiedzieć pannie Jagience. Ona, dziecko prześliczne, niewinnością jak puklerzem okryte, w brzaski idzie i'w świty... Niechże jej się rozjarzą w dzień pogodny...

„Czyż mogłabym nie pragnąć tego dla niej? Czyż znalazłoby się technienie zatrute, chmury na błękit jej nieba zwiewające?

„Dobrem życzeniem i wróżbą dobrą odpłacam Panu za okazane mi zaufanie, polecając się i nadal życzliwej Jego pamięci...

„Eferja

(Jadwiga Fr.).“



XVI

— Co czytasz, Jadwiniu? — pytała w parę tygodni potem Helena, wsuwając głowę przez okno, wycięte w gęstwinie pnączów, ocieniających werendę, na której z książką w ręku siedziała Eferja.

— Patrzę w szlachetną i gorącą duszę kobiecą.

— Ładny masz widok... Czyjaż to dusza?

— Zofii Kowalewskiej. Czytam jej „Pamiętnik.“

— I dowiedziałas się...

— Że pod każdym stopniem szerokości i długości geograficznej cierpi się tak samo... gdy się cierpi...

— A nie można zagrzebać cierpienia w stercie pszenicy, lub zagrzebać go w roli pod siew przygotowanej? Bo to środek doskonały i bardzo pewny.

Nie na to nie odpowiedziała Eferja. Oczy jej bezdennie smutne, pozbawione tej promienności, która czyniła je podobnymi do dwóch gwiazd szafirowych, zwróciły się znowu na książkę.

— Posłuchaj-no, Heleno — rzekła — tego określenia stanu duszy, na które trafiłam przed chwilą: „Jestem nieszczęśliwa, jak pies! Myślę zresztą, że psy, na szczęście dla nich, nigdy nie mogą być tak nieszczęśliwe jak ludzie, a zwłaszcza jak kobiety.“ Jakie to proste, a prawdziwe!

— Bardzo. My istotnie umiemy być nieszczęśliwe. Mamy do tego zdolność specjalną i pewna jestem, że na czaszkach kobiecych musi się znajdować guz, umiejętność tę znamionujący.

— A ja ci powiem co innego. Ta z nas cierpi najokropniej, która cierpieć wcale nie umie... Dużo nad tem my-

ślałam. Nie przyczyna bowiem cierpienia, lecz odzew, jaki mu dusza nasza daje, służy nam za miarę bólu, doznanego.

— Więc trzeba sobie znieczulić duszę na tym punkcie?

— Nie! Trzeba umieć być wyższą nad swoje cierpienie! Tylko ponad nie... wyższą nad cokolwiek lub kogokolwiek być nie potrzeba.

— Może tę umiejętność osiąga się pracą? — po chwili wahania rzuciła pytanie Helena.

— Pracą? Ciągłe do tego powracasz i nie myśl, że nie rozumiem cię, Heleno. Wiem: lekarstwo chcesz mi doradzić, to samo, którego zbawienność wypróbowałaś na sobie.

— Uznajesz więc sama, że zbawienne?

— Bardzo. Ale zapominasz, że nie na wszystkie organizacje ten sam sposób działa jednakowo. Jednym szkodzi chinina, drugim nie pomaga arsenik, a są to przecie środki lekarskie wypróbowanej sprawności. Tak i ze mną. Ja

nie mogę „zagrzebać cierpienia w ster-
cie pszenicy“. Ja je muszę przetworzyć...

— Jednem słowem: z wroga chcesz
zrobić sprzymierzeńca?

— Ból nie jest wrogiem, Heleno,
a przynajmniej jest nim dla tych tylko,
którzy nie umieją rozplątać powikłanego
zwoju sprężyn przyczynowości i walczą
z tem, czemu poddać się trzeba, jak ko-
nieczności.

— O! — z gwałtownym protestem
rzuciła Helena, czyniąc ruch taki, jakby
chciała upiora odegnąć od siebie.

A Eferja, na protest ów nie zważa-
jąc, mówiła dalej, zamysłona:

— Poeta o duszy lotnej, lecz ze skrzy-
dłami zwichniętymi wyrzekł: „Ból jest
macierzą tworu“. Ja inaczej powiem:
Ból jest tworzywem i cała sztuka życia
na tem polega, aby je umieć zużytkować

— Z drapieżnika chcesz zrobić wołu
roboczego! Ciekawam, jakim sposobem
to potrafisz?

— Nie wiem jeszcze... Ale zdaje mi
się, że potrafię... Zdaje mi się, że drogę
przed sobą już widzę...

— Odrzucasz sposób pracy propo-
nowany przeze mnie. A że znam cię, nie
potrafisz usiedzieć bezczynnie, więc za-
pewne pogrążysz się po sam czubek gło-
wy w pracę autorską? A no, i owszem...
Stworzysz nam znowu coś pięknego.

— Nie... nie... Ty nie masz pojęcia
Heleno, jak ja nie znoszę osamotnienia!
Samo już milczenie domu, w którym
się żyje samotnie, jest dla mnie czemś
tak okropnem, że paraliżuje we mnie
działalność władz umysłu. Nie potrafię
pracować, jeżeli nie mam obok siebie oso-
by, obracającej się w tej samej, co i ja,
sferze idei... Potrzebuję mieć kogoś,
z kimbym mogła podzielić się pomysłem,
ktoby dodawał mi bodźca, udzielał za-
chęty... Kogoś, ktoby wiedział, że pracą
moją nie społeczeństwo, ale jego—duszę
bratnią i jednostkę wybraną obdarzam...
Wspólna praca z kimś bardzo ukochanym,
to dla mnie ideał szczęścia, a pewna
jestem, że taka praca wydałaby owoc
i piękny i zdrowy...

Oczy mówiącej miały ten wyraz

bezbrzeżnego żalu, z jakim patrzymy na twarz ukochanych zmarłych... Już się na nią wieko trumny opuszcza, już w ciemności wiekuistej nam znika, a my jeszcze żegnamy ją wzrokiem, jeszcze uśmiechy jej pamiętamy i pocałunki...

A mówiła to tylko, co wiadome jest wszystkim naturom głębokim—nad którym uczucie osamotnienia ciąży niby klątwa i męką jest niewysłowiona, a wieczną... Całe życie, jako szczęściu najwyższemu, marzą o doskonałym zespoleniu duszy i serca z kimś wybranym, z kimś współcześnie z nimi przeżywającym każdy moment psychologiczny, a szczęścia tego osiągnąć nie mogą!

Bo gdyby je osiągnęły, cóżby się stało z tym współbiedniakiem, który „macierzą jest tworu“? Nikt go nie zaprasza, a on zawsze, zawsze przybywa zając miejsce szczęścia oczekiwanego...

— Tak, nie potrafię już tworzyć — podjęła po chwili Eferja. — Mam takie wrażenie, jakbym była po tylko co zrobionej operacji... Coś mi odjęto... Nic mnie nie boli, ale mi czegoś brakuje...

— Nic cię nie boli?—ze współczuciem powątpiewania spytała Helena.

— Życie boli! Czyż to nie dosyć? Boli zresztą i to przeświadczenie, że trzeba mieć dosyć siły duszy, aby samej dźwigać cierpienie swoje czy radość... pragnienie czy żal...

I znowu zamilkły obie, na tym punkcie zupełnie z sobą zgodne.

Ale Helena, umysł do praktycznych wniosków zawsze dążący, potrzebowała wiedzieć, jaki gatunek przędzy z tworzywa bólu wywinie Eferja.

— Bo ja, gdybym miała córkę — zaczęła—powiedziałabym jej: „Słuchaj... jakże ci tam?“

— Niebyła—podpowiedziała machinalnie Eferja.

— „Tę tylko pracę spełniamy dobrze, w której mamy upodobanie.“ Ty zaś, Eferjo, lubiałaś swoją?

— Tak... I jako środek lubiałam ją i jako cel... Ale z początku młodość, a potem... potem warunki, w jakich żyłam, nie pozwalały mi czuć się samot-

na... Od chwili, gdy mi osamotnienie duszę przygniotło, pisać przestałam... Sama to zauważyłaś? Nikt jednak nie domyślał się przyczyny, a ja nie przyznawałam się do niej sama przed sobą... Cierpiałam...

— Mówiłaś o przetworzeniu cierpienia — podchwyciła Helena.

— Ktoś rozumny i lepiej niż wówczas przypuszczałam, rozumiejący stan mojej duszy, rzekł mi niedawno: „wydłużyć w nieskończoność promień sprawiedliwości i miłosierdzia...”

— Rozumiem, że ze słów tych uczynić sobie można hasło... Ale trzeba mu nadać postać czynu. Jakiego?

— Dotąd przedstawia mi się on w ogólnych tylko zarysach: pracy nad gromadzeniem zasobów dla swej zbiorowości... Wpoić bowiem trzeba w umysły nowe pojęcie społeczeństwa, jako realnego interesu zbiorowego, nad którym każdy uczestnik jego ma obowiązek czuwać i którego bronić musi. To dzieło samozachowania...

— Piękne dzieło! — zawołała Helena wzruszona. — I gdybym miała córkę...

— Tę, niemającą iść za mąż — wtrąciła Eferja.

— Oddałabym ją pod twój kierunek. I to razem z dochodami z Okrawka.

— Nad którym podwoiłabyś wówczas pracy...

Nie zdążyła odpowiedzieć Helena, bo hoża i zgrabna dziewczyna, w malowniczym stroju włościanek księstwa Łowickiego, wniosła przywiezioną z poczty torbę, pełną gazet i listów.

Wśród tych ostatnich, zwróciła jej uwagę koperta z wydrukowanym na niej nazwiskiem adwokata, o którym tyle tylko wiedziała, że prowadził sprawę rozwodową Eferji.

List był pod adresem Heleny. Z ciekawością rozerwała kopertę i szybko oczyma pismo przebiegłszy, obracała jakiś czas list w rękę, jakby niezdecydowana, co z nim uczynić.

Adwokat Eferji donosił jej bowiem, że nie będąc pewnym, czy pani Jadwiga

w Okrawku się znajduje, czy gdzieindziej, przesyła tej ostatniej za pośrednictwem p. Heleny, otrzymaną z zagranicy wiadomość.

Mąż Eferji, wygrawszy w Monte-Carlo sumę, wynoszącą trzykroć sto tysięcy franków, odebrał sobie życie. Zostawił list, w którym przepraszając żonę, że życie jej zatrul, że część posagu stracił, a resztę oddać sobie kazał za zezwolenie na rozwód, przekazuje jej cały swój majątek. Do samobójstwa zaś popychają go dwa powody. Po pierwsze: zrujnowane zdrowie oraz przesyt nie pozwalają mu użyć majątku tak, jak on używać nie rozumie. Powtóre: gdyby żył, straciłby niezawodnie wszystko, co posiada, a bądźco bądź, czuje wyrzuty sumienia, że żonę ogołocił z mienia. Odbiera więc sobie życie, którego mu zresztą już nie żał, a żona niech odniesie korzyść z jego śmierci.

Helena, niezupełnie pewna, jak na tę „korzyść“ zapatrywać się będzie Eferja, milczała tak długo, w list wpatrzona i tak

nad nim znieruchomiła, że zastanowiło to Eferję.

Utkwiła w Helenie spojrzenie pytające, którego tamta zdawała się nie odczuwać wcale.

— Heleno?—zagadnęła ją wreszcie. —Nad czem tak zadumałaś się głęboko?

Helena, ocknąwszy się z zamyślenia, nie ociągała się z odpowiedzią.

— Jaka to szkoda, że nie jesteś moją córką! — westchnęła.

— Coby ci z tego przyszło? I tak nie wiedziałabyś nigdy, jak mi na imię.

— Mniejsza z tem! Ale mogłabym ci powiedzieć: „Słuchaj... Ale prawda... tybyś przecie wcale za mąż nie wychodziła — sama sobie przerwała Helena.— Jako moja córka, ma się rozumieć, bo... jako Eferja, wyszłaś za mąż...

— I nie jest to najrozumniejsza rzecz, jaką zrobiłam, chcesz powiedzieć? Mówiłaś mi to już nieraz...

— Ale nie powiedziałam ci ani razu, że... żeś owdowiała — po chwilowem za-

jąknieniu się, oznajmiła Helena, tonem wahającym się pomiędzy — powinszowaniem a — kondolencją.

— Ach! Tak? — przeciągle i pytająco rzekła Eferja.

— Masz... Czytaj... Adwokat twój pisze... Wiadomość z zagranicy... Nie wiedział, gdzie cię szukać... — prędko i trochę bez związku, rzucała jedno za drugim Helena, podając list przyjaciółce.

Nie dowiedziała się nigdy, czy w sercu kobiety, po raz drugi nie w porę odzyskującej wolność, zerwała się burza żalu, czy wstąpiło w nie ukojenie to — smętne lecz dobroczynne, — którego doznajemy, gdy — ze stratą, lecz ostatecznie — zamykamy rachunek z całej jednej epoki życia.

Eferja przeczytała list uważnie, złożyła go, wyrównała starannie na zagięciach i oddając go Helenie, rzekła:

— Biedny szalencie! Nie umiał żyć, lecz potrafił umrzeć dla mojej, jak mu się zdawało, korzyści...

— Ach, Jadwiniu, mogłabyś teraz kupić majątek, ze sześć razy większy od Okrawka! Pomyśl tylko: takie pole pracy...

— Nie, inne mnie pociąga. Córka twoja, gdybyś ją pod mój kierunek oddała, nie potrzebowałaby ci odbierać dochodów z Okrawka... Starczyłoby tego, co mam...

A podczas gdy w Okrawku kobieta, przez miłość zawiedziona, zwracała się w stronę, skąd wieje

„... duch ten hoży,
Co wiecznie młody, młodość tworzy“
w Nadbystrzu młodość Jagienki rozkwitała szczęściem miłości dozwolonej, podzielanej, błogosławionej wzruszonym uśmiechem tych, co już przeżyli najpiękniejszą dobę życia... Żyła miłością, żyła z nią i dla niej i nie ukrywała się z nią wcale.

Dlaczego czyniłaby to miała? Obowiązek nakazywał jej przecie kochać przyszłego małżonka, a przed głosem obowiązku ustąpić musi wstydlivość nawet dziewicza...

Nawet chłodne serce Gruszczyńskiego rozgrzewało się przy tej dziewczęce

tak zupełnie mu oddanej, a tak czystej, tak przytem wątłej i szczupłej, że kształty jej, zamiast nęcić rozkwitem kobiecości, zdawały się być tylko niezbędną osłoną dla duszy, stanowiącej właściwą jej istotę.

Z rzadko przytrafiającą mu się szczerością mógł przemawiać do niej słowami poety:

„ Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał. Łza gorąca
Nigdy mu jasných skrzydeł nie splamiła...”

I przemawiał. Całemi godzinami czytywał jej nieraz utwory wielkich wieszczów naszych, a potem rozmawiał z nią długo i w suchą, twardą duszę karyerowicza wstępowało dobre i miękkie uczucie na pół opiekuńcze, na póły braterskie.

Sam sobie się dziwił, że go doznaje, bo w niczem nie było podobne do tych, które dawnej nazywał miłością.

Czuł, że wyszlachetniał na duszy i świadomość tej przemiany przejmowała go głęboką wdzięcznością dla słodkiej dziewczeczki, która była szczęsnej przemiany sprawczynią.

A odkąd się przekonał, że ciche to i w niego wpatrzone stworzenie, ma jednak nad nim moc większą, niż to kiedykolwiek przypuszczał, utracił nieco ze swej zarozumiałości, co Jaśka natychmiast zauważywszy, oznajmiła Gutkowi w słowach, niekoniecznie dla Gruszczyńskiego pochlebnych:

— Pociot zaczyna tracić na minie. Nie tak często przypomina mi indyka.

Pomimo to, ile razy spotkała go w saloniku matki, witała go zawsze niechętnie i miała taką minę, jakby walczyła z chęcią wyrzucenia za drzwi gościa.

Gość, jakby to przeczuwał, przychodził najczęściej w godzinach, w których Jaśka zajęta była lekcjami.

Jagienka pozostawiała cały ranek niewidzialną. Dopomagała matce w zajęciach domowych, bywała na Mszy rannej w kościele, parę godzin poświęcała ochronce lub czwórce, z którą prowadziła pogadanki pouczające.

Przy śniadaniu dopiero zbierali się wszyscy członkowie rodziny, czas poran-

ny spędziwszy, jak komu wypadło. Miał więc Gruszczyński do rozporządzenia swego godzin kilka i w tej porze najczęściej odwiedzał Kocię.

— Pojęcia nie mam, o czym „mater“ z nim rozmawiał! — dziwowała się Jaśka.

— Zapewne o tem, co i ja — odpowiedziała Jagienka, instynktownie ujmując się za narzeczoną.

— Ech, Gąseczko! o czym innem mówi się z narzeczoną, a o czym innem z jej siostrą. Mater lubi „śmiechy i chichi“, a twój narzeczony poważny, jak...

— Jaśko, moja złota! — prosiła ją Jagienka.

— No, dobrze już, dobrze! Nie powiem ani słowa. Tylko, że twój „On“ nie dla mater, to nie!

— Bo mój! Bo mój? śpiewało w duszy Jagience.

Pewnego dnia uknuła Jaśka z Gutkiem Rajskim spisek, do którego zmuszona została wciągnąć Jagienkę. Zachciało jej się przejażdżki samochodem, którego dostarczenia podjął się Gutek.

Jagienka przystawała chętnie na towarzyszenie Jaśce, jedyną więc trudność stanowiło uzyskanie pozwolenia dziadka. Jaworzyński bowiem nie lubił nowości wszelakich wogóle, a „szastania się“ panien po mieście w szczególności.

Ustał jednak natarczywym naleganiom Jaśki, którym wtórowały nieśmiałe prośby Jagienki i dał zezwolenie pod warunkiem, że przejażdżka odbędzie się w godzinach porannych, w których mało kogo spotkać można na mieście, że Gruszczyński należeć do niej nie będzie i że obaj Gutkowie towarzyszyć będą pannom.

Mało brakowało, aby Jaśka nie skoczyła na szyję dziadkowi!

Nazajutrz rano o dziesiątej, młode towarzystwo było już z powrotem. Gutkowie nie wysiadali, mieli bowiem przewieźć jeszcze samochodem czwórkę, już czekającą na dole, panny poszły więc same na górę, do mieszkania Jaworzyńskich.

Były już u drzwi przedpokoju, gdy odezwała się Jagienka:

— Wiesz, Jaśko, tak mi się jeść chce, jak nigdy! A do śniadania daleko!

— To chodź do nas. U was za wielki porządek, aby módz jeść o każdej porze, a ja przewracam w kredensie, jak sama chcę. Znajdę coś dobrego... Przegryziemy.

Zawróciły się i przeszedłszy dziedzińiec, udały się na schody, prowadzące do mieszkania Koci.

— Chodźmy przez garderobę — proponowała Jaśka. — Jedna ubiera „mater,” druga sprząta pokoje, zanim się dodzwonimy, pomrzemy z głodu. A po drodze wpadniemy do pokoju „mater“... Nie widziałam jej dzisiaj...

Gabinecik, w którym Kocia przesadywała godziny ranne, oddzielony był od pokoju jadalnego portyera, wbrew zwyczajowi, zapuszczoną w tej chwili.

— Cicho, Jagienko — szepnęła Jaśka. — Nastraszymy „mater“...

I trzymając się za ręce, do rozfiglowanych dzieci podobne, podeszły na palcach do portyery i obie jednocześnie

uniósłszy jej fałdy, wsunęły głowy do pokoju.

Na otomanie, wzorzystymi poduszkami zarzuconej, siedział Gruszczyński, wygodnie w niej zagłębiony, z łokciem na siedzeniu opartym. Na kolanach jego spoczywała głowa Koci, która oba ramiona rzuciwszy za siebie, przyciągała niemi do ust swoich twarz młodego człowieka.

— „Mater“! — krzyknęła Jaśka przerażona — „mater“!

A gdy zerwali się z miejsc oboje, zmieszani, Jaśka, nie mniej od nich zmieszana, wołać poczęła, trzęsąc się cała, jak w febrze:

— „Mater“... jakże ty możesz... Ty przecie nie pójdziesz za niego... To narzeczony Jagienki... To pociot tylko, „mater“...

A Jagienka nie rzekła ani słowa, zbladła tylko jak płótno, jasną rzęsą zakryła oczy i zbielełymi wargami, które jej drżały, jak u dziecka blizkiego płaczu, szepnęła Jaśce:

— Cicho, Jaśko... Nie krzycz tak...
Usłyszają...

I zawróciwszy się z progu, wyprostowana, sztywna, jak automat stąpająca, poszła wprost do pokoju ojca.

Siedział tak zagłębiony w pisaniu, że na leciutki szmer jej kroków nie odwrócił nawet głowy.

Stała dość długą chwilę nieruchoma.

— Tatusiu... — słabym głosem odezwała się nareszcie.

— Dziewczynka moja! — zadziwił się wesoło Jaworzyński. — Wróciła z przechadzki i tak sobie obcesowo do tatusia...

Ale spojrzawszy na twarz jej tak bladą, jakby z niej ostatnia kropla krwi uciekła, przerwał sobie nagle i zaniepokojony, zapytał:

— A tobie co, dziecinko? Zmęczyło się kochanie moje?

I obie ręce wyciągnął ku niej, jakby ją chciał na kolana posadzić.

Ale ona, nie poddając się pieszczocie ojcowskiej, bezdźwięcznym głosem wyrzekła:

— Tatusiu... ja przyszedłam tutaj... przyszedłam powiedzieć... że ja... ja za pana Gruszczyńskiego nie pójdę...

Westchnęła z głębi piersi i obie ręce po bokach sukni opuściwszy, stała tak bez ruchu i bez głosu, z przymkniętymi, jak u omdlelej, powiekami.

— Co... co ty mówisz? Dlaczego? — dopytywał się Jaworzyński.

I ruchem instynktownym nacisnął dzwonek, przywołujący żonę.

Nadbiegła natychmiast i spojrzeniem niewysłowionego zdumienia ogarnęła męża i córkę.

— Józiu — zaczął Jaworzyński, zominając o apostrofie „Żono!“, używanej w chwilach uroczystszych — nie wiem, co się stało Jagience... Przyszła mi powiedzieć, że nie pójdzie za Gruszczyńskiego.

W Jaworzyńskiej szarpnęło się bólem serce matki... Coś może podejrzewała, czegoś się domyślała i wiedziała, że to Coś musiało okazać się prawdą i rozdarło duszę jej dziecka.

Podeszła ku Jagience i przechyliwszy ją ku sobie, głowę jej na swoim ramieniu oparła.

— Czy stało się co, Jagienko? — spytała ze współczuciem, twarz swą do jej włosów przytulając.

Jagienka wzdrygnęła się cała, jakby obraz, niedawno widziany, stanął jej znowu przed oczyma. Nerwowym ruchem wyprężyła opuszczone na suknię ramiona, zacisnęła blade wargi, lecz nie odpowiedziała ani słowa.

Nadaremnie wypytывali ją rodzice. Nic z niej wydobyć nie mogli.

— Nie... nie pójdę za niego — powtarzała tylko — nie mogę...

— Ale dlaczego nie możesz? — dopytywał się ojciec.

— Nie mogę, tatusiu... Nie mogę już...

— Nie przestałaś go przecie kochać? — badała ją matka.

Milczała chwilę, jakby prawdy powiedzieć nie chcąc, a obawiając się kłamstwa.

— Nie mogę już kochać go, mamusi — odrzekła.

Rodzice spojrzeli posobie zafrasowani.

— Skandal... Rozgłos... Gadaniny ludzkie... — myślał ojciec, zawsze opinie ludzką mający na względzie.

A matka, cierpienie dziecka odczuwająca, myślała:

— Coś się stało... Coś ugodziło w nią znienacka... Kocha jednak... Zapomni więc... przebaczy...

Zaczęli tedy perswadować jej oboje, że z narzeczoną wiąże ją słowo dane, świętością swą przysiędze niemal równe...

Zdawało się wtedy matce, że zerwie się w niej ogromny jakiś krzyk żalu i oburzenia na krzywdę doznana...

Ale przemogła się i odpowiedziała cichutko:

— Wiem to... Dotrzymałabym, gdybym mogła... Nie mogę...

— Zostaw więc sobie czas do namysłu — prosił ojciec.

A ona, z niezwykłą u niej stanowczością, bez wahania się, odrzuciła natychmiast:

— Nie!... nie! Nigdy zdania nie zmienię... Nigdy!

I męką nad siły wyczerpana, dodała prosząco:

— Pójdę już tatusiu... Moja mamusi, pójdę... Nie mogę...

Przechodząc przez pokój przyległy, spotkała lokaja, który, w progu pokoju Jaworzyńskiego stanawszy, oznajmił:

— Pan Darski zapytuje, czy państwo przyjmują?

Nie dosłyszawszy odpowiedzi i wolno, ociężałym krokiem przeszedłszy szereg pokojów, dostała się nareszcie do swego pokoiku.

Znalazłszy się u siebie, upadła na kolana przy łóżeczku ocienionem draperyą, na której tle, bardzo blado-liliowem, majaczyły ciemniejsze nieco irysy i odcinały się wyraźnie wielkie, proste lilie białe.

W rojeniach przedsennych marzył jej się tu niedawno rycerz jakiś, w panterzu z blachy srebrnej, z orlemi u ramion skrzydłami, z krzyżem w jednej a piórem w drugiej ręce...

A potem... ten sam rycerz mówił jej, że ona z rodu jest tych, co umieją „dopinać zbroje“...

A potem... obiecywała ojcu i sobie, że dobrą żoną będzie ukochanemu... Ach, jak ukochanemu gorąco!...

A teraz?...

I z głową w dłoniach ukrytą rozpłakała się Jagienka łzami rzewnymi.

Plakała cichutko, żałośnie, długo...

— O, mój Boże... mój Boże!... — wśród łkań tłumionych powtarzała.

A w mieszkaniu Koci, Jaśka, zamknawszy się w swoim pokoiku i na poduszki kanapki upadłszy twarzą, od łez zaczerwienioną i mokrą, biła nogami o siedzenie, oburącz wichrzyła włosy i szlochając spazmatycznie, krzyczała z gniewem i żalem:

— Ach, „mater“! „mater“! Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała! Ja przecie nawet Gutka... nawet z Gutkiem nie jestem taka... A Jagienka... Jagience... Ach, pocioty to zrobiła, „mater!“

KONIEC.





50, -

884-3

Pražmowska
Romans